

**KAROL
BUNSCH - ODNOWICIEL**

POWIEŚCI PIASTOWSKIE

**DZIKOWY SKARB
OJCIEC I SYN
ROK TYSIĘCZNY
BRACIA
BEZKRÓLEWIE
ODNOWICIEL
IMIENNIK
I. ŚLADEM PRADZIADA
II. MIECZ I PASTORAŁ
PRZEKLEŃSTWO
ZDOBYCIE KOŁOBRZEGU
PSIE POLE
POWROTNA DROGA
WAWELSKIE WZGÓRZE
WYWOŁAŃCY
PRZEŁOM**

Więść o wygnaniu Rychezy doszła Kazimierza, gdy już zamierzał wracać do Poznania. Spowodowała w nim rozterkę. U Wiślan panował jeszcze spokój, ale wszczęty na Śląsku rozruch pospólstwa rozszerzał się. Wygnaniem matki nie był zaskoczony, rządzić próbowała jak w zdobytym kraju, budząc niechęć prostego ludu i opór możnowładców, a zwłaszcza Awdańców, którzy wpływ mieli na króla. Nie w ostatku było to przyczyną rozdzwiewu między rodzicami, zakońzonego rozwodem. Mimo to Rycheza wróciła do kraju, by dopilnować następstwa po Mieszku dla syna, którego ten zgoła nie pragnął. Bez jego wiedzy uzyskała w tym celu od przepuknego papieża zwolnienie Kazimierza od ślubów, wywołując rozdwojenie w kraju, zakońzone jej wygnaniem, w obawie zaś by Kazimierz nie mścił się za wygnanie matki, zjazd możnowładców w Uniejowie uchwalił wygnać i jego.

Kazimierz nie wiedział, co począć ze sobą. Nie tylko pamiętał o danym ojcu przyrzeczeniu, że o władzę walczyć nie będzie. Bolko ma za sobą prosty lud, a on niemal nikogo, ale sama myśl o objęciu władzy w kraju napawała go niepokojem i troską o los ojczyzny. Bolko nie tał, że zburzyć zamierza istniejący porządek i obalić krzyż, oznacza to jednak wojnę domową, której postronni nie omieszkają wykorzystać. Ale Kazimierz bezradny się czuł.

Nie mogąc powziąć postanowienia, zatrzymał się w małej osadzie ze swym szczupłym orszakiem. Skoro matka wyjechała, nie ma po co wracać do Poznania i niezbyt to nawet bezpiecznie. U Wiślan nie mógł pozostać, wszędzie przyjmowano go z wahaniem i niechęcią. Rozumiał, że wobec wygnania Rychezy i uchwały możnowładców w Uniejowie, nie jest pożądanym gościem. Nie wątpił natomiast, że matka wyjeżdżając z kraju musiała pomyśleć o jego losie i nie pozostawi go w niepewności.

Na tym się nie zawiódł. Krótki dzień jesienny skracały jeszcze chmury, zanosilo się na deszcz i Kazimierz wcześniej zatrzymał się na nocleg. Komes Biecza, gdzie bawił ostatnio, nie zatrzymywał go. Wiodocznie rad by się pozbyć niepożądanego gościa. Toteż Kazimierz nie

spieszył się donikąd, matka musi o nim pomyśleć. Czekał na wiadomość od niej, by wiedzieć, co począć.

Siedział przed namiotem, patrząc zamyślonym wzrokiem, jak płonące przed nim ognisko nabiera blasku, w miarę jak gasło światło dzienne. Ludzie z jego orszaku krzżeli się, przygotowując wieczerzę, szmer powodowało też żucie obroczonej koni.

Zamyślenie Kazimierza przerwał zbliżający się odgłos idących w skok koni, który urwał się. Kazimierz powstał, słysząc, że ktoś dopytuje o niego. Przypuszczenie, że szuka go poselstwo od matki, zamieniło się w pewność, gdy w świetle ognia ujrzał rycerza, który się oznajmił posłańcem królowej i nie czekając na zapytanie, powiedział:

- Miłościwa pani zleciła mi rzec, że oczekiwać będzie na waszą miłość w Saalfeld. Radzi jechać przez Węgry, jazda bowiem przez zbuntowany kraj grozi zgubą. - Wskazując za siebie dodał: - Jucznego mam ze spyzą, gdy przez bezludny kraj jechać przydzie, i kiesę ze srebrem, która w dalszej podróży może będzie potrzebna, przewodnika znającego kraj i węgierską mowę i pacholka do posługi.

Kazimierz nie zaraz odpowiedział. Ma iść na wygnanie, pozostawiając dzieło przodków w ruinie. Po chwili rzekł:

- Pocznijcie. Wyruszym, jeno brzazgać nacznie. Posłaniec mówił po niemiecku, ale ludzie z orszaku Kazimierza domyślali się widocznie, z czym przybywa, bo zamiast brać się do wieczerzy, szeptali niepokojnie. Kazimierz podszedł do gromadki i zwracając się do rycerza Wysoty, który orszakowi przywodził, powiedział:

- Przychodzi mi iść na wygnanie. Nie ma powinności służby poza krajem, tedy od waszej woli zależy, chcieliście pójsć ze mną lubo w kraju ostać.

- Wybaczcie, wasza miłość, że nie pójdzem z wami. Wy macie u Niemców krewniaków i swojaków, my jeno w kraju. - Jak do siebie dodał: - Gorzki jest chleb wygnania.

Kazimierz zagryzł wargi. Tu gdzie miał władać, nie ma dla niego miejsca. Opanował się i zapytał:

- Co tedy zamierzacie począć?

- Za siebie jeno mogę odrzec: nie przystanę do pogańskich gromad, jako niejeden inny uczyni, by choć szyję ratować. Słysząc, że Mojsław na Mazowszu rad widzi każdy miecz lubo sulicę¹. Wolej mi to, niżli iść służyć królewicowi Bolkowi, jen sprawcą jest onego zamętu i pod kłatwą pozostaje.

- Tedy żegnać się nam przychodzi - powiedział Kazimierz. - Nie mam czym odplacić za służby, tedy jeno niechaj Bóg odplaci i z Nim pozostanie.

- Krzepcie się, miłośniwy panie - odparł Wysota. - Żywot przed wami. Nie pirwy to raz rozdwojenie w narodzie. Niech jeno postronny wróg uderzy, odnajdzie się jedność.

- Nie daj Bóg takową cenę za jedność płacić - powiedział Kazimierz z westchnieniem.

- Nie ceni się, co darmo przychodzi - odparł Wysota. - Nie ja jeden będą czekał waszego powrotu.

Rankiem przyszło się rozstać. Wysota chciał odprowadzić Kazimierza do granicy, ale sprzeciwił się temu rycerz Walo, że w bezludnym kraju spyży dla takiej gromady nie starczy, a mniejszą gromadką łatwiej też jest przemknąć się niepostrzeżenie. Przystawa², który by bezpieczeństwo w dalszej podróży zapewnił, nie wcześniej mogą dostać aż w Lewoczy, zwanej po węgiersku Locse, najbliższym granicy grodzie niedawno zbudowanym. Bez tego dalsza podróż była niebezpieczna lub zgoła niemożliwa, przewodnik jednak miał nadzieję, że jeśli nie słowem, to srebrem da się sprawę załadzić u żupana.

Pogoda nie sprzyjała podróży, coraz krótsze i słotne dni zmuszały wcześniej stawać na noclegi, aby sklecić jakieś schronienie. Wlekła się też i jesień już była w pełni, gdy gromadka przekroczyła granicę. Do Lewoczy było już tylko niespełna trzy mile, ale pora była wysuszyć nawilgłe szaty i uzupełnić mocno już zużyte zapasy żywności. Lesisty i górzysty kraj rzadko był zaludniony, dopiero w grodzie spodziewano sieje uzupełnić. Drugiego dnia po przekroczeniu granicy mały orszak

¹ Sulica - włócznia.

² Przystaw - przewodnik.

zatrzymał się w karczmie na podgrodziu, bramy bowiem już były zamknięte. Karczma połączona była z zajazdem, w którym dość wygodnie spędzono noc, a raniem rycerz Walo w towarzystwie przewodnika jako tłumacza wybrał się na gród, by prosić o przystawa.

Walo wrócił koło południa nieco zmieszany i rzekł:

- Szczęście to, że miłościwa pani pomyślała o trzosie na drogę, bo pono dłużej nam tu stać przydzie - a na pytające spojrzenie Kazimierza dodał: - Żupan mi rzekł, że przystaw przysługuje jeno poselstwu, w innym wypadku zezwolenia może udzielić nador ispan¹ lub sam król. Zjazd będzie w Albie na Gody, tedy sposobną porą o zezwolenie zapyta.

Kazimierz zamyślił się. Oznaczało to zwłokę co najmniej do wiosny, a w razie odmowy konieczność powrotu do kraju, gdzie go nikt nie czeka. Zapytał:

- Rzekliście żupanowi, kto jeśm?

- Nie zdawało mi się potrzebne, a nawet bezpieczne - odparł Walo, ale Kazimierz podjął:

- Nie czekać mi, aż żupan po Godach wróci, ani to pewne, co przywiezie. Wracajcie do niego, rzeknijcie mu, ktom jest i że u króla zabiegać chcę o pomoc przeciw pogańskim gromadom. Srodze u siebie wytepił pogaństwo, nawet bratankom nie przepuścił, bo pono mu sprzyjali, i aż do Czech musieli przed nim uchodzić.

- Wždy miłościwa pani na was czeka, jako rzekłem, w Saalfeld - powiedział Walo zaskoczony, nie miał bowiem ochoty wracać do Polski, gdzie żaden obcy, nawet duchowny, nie utrzymałby się przy władzy. Kazimierz jednak dodał żywo:

- Z Bolkiem walczyć nie będę. Ale na nic nam tu czekać. Z Białogrodu do Austrii bliżej niż stąd, najważniejsze, by dostać przystawa. Co potem, czas będzie pomyśleć.

Walo odetchnął z ulgą i zaraz zebrał się ponownie do żupana. Tym razem wrócił z pomyslną wiadomością: żupan prosi królewicza na gród, przystawa wyznaczy na dniach i zlecenia przekaże do żupanów w Zolyom, Salmec-Banya i Komarom, by królewicza godnie przyjęli

Nador ispan - funkcja odpowiadająca polskiemu palatynowi.

i ułatwili dalszą drogę. Walo dziwił się nawet tak nagłej zmianie położenia, nie wiedział, iż żupan pamiętał, że za wydanie Bezpryma Stefan zyskał od Mieszka kraj aż po Dunaj. Król niewątpliwie rad będzie mieć w ręku Mieszkowego syna. Tak czy inaczej potrafi to wykorzystać.

Odpuściwszy przez kilka dni Kazimierz ze swym szczupłym orszakiem wyruszył w dalszą drogę. Zgoła nie był pewny, jak go przyjmie król, gdy się dowie, że nie chodzi o pomoc przeciw Bolkowi i pogańskim gromadom, lecz o przedostanie się do Niemiec. Z Alby w najgorszym razie będzie mógł uwiadomić matkę, gdzie przebywa, a jej rzeczą będzie wymóc, by mu z wyjazdem nie czyniono trudności. Przystaw starał się, by w podróży nie brakło wygod i Kazimierz zadowolony był z podstępów. Tak czy inaczej, zbliżał się do połączenia z matką. Przyszłość jednak była niepewna. Kazimierz nawet myślał o powrocie do klasztoru, a z żalem i niepokojem o losie ojczystego kraju.

Król Stefan miał już wieści o wypadkach w Polsce i wygnaniu Rychy wraz z synem. Wywalczona niezależność od cesarstwa zapewniła mu spokój od zachodu, Czechów nie potrzebował się obawiać. Natomiast innych trosk i zgrzyoty mu nie brakło. W podeszłym już wieku stracił jedyne ukochanego syna i następcę, Emeryka. Żegnał jadącego na łowy młodziana w rozkwicie sił i młodości, pierwaj się gromu z jasnego nieba mógł spodziewać, niż że nie ujrzy go już przy życiu. Od tego ciosu minęło pięć lat, ale rana zadana jego miłości i dumie jątrzyła się. Zbliża się już kres własnego życia, coraz częściej zapadał na zdrowiu, coraz częściej zmuszony był myśleć, komu przekaże swe dzieło, zjednoczenie Węgier i wytepienie pogaństwa, czemu zawdzięczał przydomek apostoła. Wiedział, że to dzieło nie było jeszcze zakończone, a wypadki w Polsce mogły stanowić zachętę do podniesienia przez pogaństwo głowy także i na Węgrzech. Żyli wprawdzie bratankowie po Wazulu, ale jeszcze za życia Emeryka zmuszeni byli uchodzić do Czech, ścigani zwłaszcza nienawiścią królowej Gizeli, która obawiała się współzawodnictwa dla syna. Emeryk wprawdzie już nie żyje, ale nienawiść pozostała i królowa wiedziała, że w razie śmierci męża nawet życia nic będzie pewna. Z małżonkiem rzadko mówili, trudno było o czym innym niż o nieszczęściu, jakie

ich spotkało. Gdy jednak Stefan jesienią znowu zachorował obłóźnie, sprawa następstwa zdała się pilną i królowa postanowiła rozmówić się z małżonkiem. Stefan na starość zgryźliwy się uczynił, a pytanie, kogo wyznaczysz swym następcą, było drażliwe. Zapytany o to, odburknął:

- Jeszcze nie umieram!

- Niechaj mnie Bóg od tego uchroni - odparła - ale za żywota swego następcę wyznaczyć należy i wszem wobec to oznajmić. Mniemam, że z bratanków waszych żaden nim nie ostanie, by zburzył wasze dzieło nawrócenia narodu na prawdziwą wiarę.

Król zdał się namyślać. Z dynastii Arpadów w męskiej linii pozostali już tylko bratankowie. Ale żyje w dalekiej Wenecji siostrzan jego, Piotr Orseolo. Matczynej mowy zapewne już zapomniał, ale rychło przyuczyć się może. Rzadko dochodzące wieści o nim były jednak pochlebne. W piśmie kształcony, wojownikiem zapewne nie jest, ale w uładowym kraju, gdy znikąd nic nie grozi, może być władcą jakiego kraj potrzebuje.

Jakby zgadując myśli małżonka, Gizela rzekła:

- Siostrzan wasz żrały już jest i jak słyhać, wdały. Wezwać go, by przybywał. Zda się go poznać i wzajem ludzi z nim poznać, niechajby nawykli widzieć w nim waszego następcę.

- Rozważę - powiedział król, ale w rzeczywistości powziął już postanowienie, wołał jednak uprzednio dowiedzieć się, co o tym myśleć będącego doradcy. Królowa znając małżonka wiedziała, że nie zwykł pochopnie podejmować postanowienia i nie znosi nalegania, odwróciła przeto rozmowę:

- Co zasię zamierzacie począć z polskim królewicem? Czeka na waszą odpowiedź.

- Niechaj czeka! - odmruknął Stefan. - Jemu spieszno, nie mnie. Obaczmy, jak się w Polsce sprawy obróć. Nie było bez korzyści mieć w ręku Bezpryma.

Wiedział, że z następców Mieszka pozostał w Polsce jedyny Bolesław, ale wiedział też, że ma licznych przeciwników w kraju i nie wiadomo, czy się przy władzy utrzyma. Z Kazimierza w Niemczech żadnych sobie nie obiecywał korzyści.

Kazimierzowi zas czas dłużył się nieznośnie. Ni gość, ni jeniec, wprawdzie nie brakło mu niczego, ale nawet spotkania z królem do czekać się nie mógł. Nie znając węgierskiej mowy, nawet mało z kim mógł się rozmówić, niemal wyłącznie z duchownymi, którzy radzili mu cierpliwość, o którą tym trudniej było, gdy wiedział, że matka czeka na niego i zapewne niepokoi się. Przewodnik i tłumacz, widząc że Kazimierz nie wybiera się w dalszą drogę, zażądał wynagrodzenia za dotychczasowe usługi i odszedł. Rycerz Walo też niecierpliwił się. Ryczeza przyrzekła mu wynagrodzenie za bezpieczne przeprowadzenie syna do Saalfeld, rychło jednak zmiarkował, że nie wiadomo, kiedy będzie mógł to uczynić. Wprawdzie miał większą swobodę niż Kazimierz i włóczył się nawet po mieście, ale gdy nadeszła wiosna i pora była już sposobniejszą do podróży, zjawił się u Kazimierza oświadczając, że obyc się postanowił bez przystawa i sam uda się do Saalfeld; pyta przeto, co ma królowej od Kazimierza przekazać.

Królewicz nie był tym zaskoczony, sam nieraz myślał, jak przekazać matce wieść o położeniu. Odparł:

- To, co sami wiecie. Jako w niewoli tu jeśm, król widno ni gadać ze mną nie chce. Na co czeka, nie wiada. Może macierz jakową radę najdzie.

Walo nie zwłóczył i już nazajutrz Kazimierz został z jednym tylko pachółkiem Wrocikiem. Obrotny był i kręcił się po mieście, zagadując ludzi, z kim się rozmówić potrafił, rychło nawet umiał wymiarkować, o czym mówią Węgrzy. O wieści z Polski nie było łatwo, kupcy jeździć tam przestali. Nie było z kim handlować, nie brakło natomiast zbójców. Kazimierz gryzł się i nie mógł zrozumieć Bolka. Sam pozostał przy władzy, a zdał się nie dbać o to, by jakiś ład w kraju wprowadzić. Nie mając z kim, mówił o tym z pachółkiem, który wieczorami znosił mu nowiny, jakich zdołał się dowiedzieć. Pewnego dnia przyszedł podniecony i od progu oznajmił:

- Królewic Bolko nie żywie.

Kazimierzowi ręce opadły. Po to wyszedł z klasztoru, by patrzeć, jak marnuje się dziedzictwo przodków?

Śmierć Bolka nie mogła długo pozostać tajemnicą, mimo że zabronił o niej mówić. Ludzie widzieli jednak, że dowódca resztek poznańskiej konnej drużyny, Biegan, wraz z synami wyjechał w ślad za nim. Powrócili dopiero późnym wieczorem i, nie odpowiadając na pytania, poszli spać. Zdarzało się, że Bolko nie wracał na noc, ale gdy nieobecność jego przeciągała się już przez kilka dni, zaczęły się niespokojne szept. Bolko nieraz nocował u bartników, sokolników i smolarzy, Biegan go poszukiwał, tym razem jednak, choć nieobecność królewicza przedłużała się ponad miarę, siedział ponury i zamknięty w sobie, nie troszcząc się nawet o drużynę. Sroga zima przytłumiła wprawdzie rozruch, zmuszając swawolne gromady do szukania dachu nad głową, ale i Bolko nie mógł żyć jak zwierz w lesie. Zaczęły się podejrzania, że nie ma go już między żywymi, a milkliwość Biegana kierowała je przeciw niemu. Trudno jednak było wyjaśnić, co mogło skłonić go do pozbycia się Bolka, wspominano jednak, że giermek Mieszka również podejrzany był o zabójstwo swego pana i nie było już tajemnicą, że z ramienia Bolka życiem to przypłacił.

Ku wiosnie już szło i przypuszczenia, że Bolko nie żyje, zamieniły się niemal w pewność. Ruch na drogach niemal ustał, ale wieści, choć z wolną, rozchodziły się i dotarły do Skarbną, gdzie Awdańce gotowali się do odparcia napaści, w niedostępnych komyszach zabezpieczywszy rodziny i co pozostało z zasobów.

Wieść, choć niepewna, wywołała poruszenie. Wiadomo już było, że wygnany Kazimierz przebywa jakby w niewoli na Węgrzech. Jeśli Bolka nie stało, kraj wydany jest na łaskę rozpasanych gromad, które znalazły już przywódcę w osobie Witoszy, by dokonać dzieła zniszczenia.

Palatyn Michał długo uradzał z bratem nad położeniem, nie znajdując wyjścia. Przed swawolną tłuszcą zdolającą się obronić, ale kraj wydany jest na łup sąsiadów. Źle zbrojne gromady potrafią jeno łupić, palić domy Boże i mordować bezbronnych kapłanów.

Skarbek powiedział:

- Przed czasem się troszczysz. Na Rusi książęta wzajem na siebie naprowadzają Turków, Połowców i Pieczeniegów. Konradowi starczy, że w Italii dbać musi o utrzymanie tego młokosa na Piotrowej stolicy. Oldrzych jeno się z Konradem uładził o podział kraju, Jaromira oślepił, a z synami takż do ładu nie doszedł. Węgierski Stefan stary i chorzeje, raczej Kazimierza odprzedać nam zamierza, jak ongiś Bezpryma. Pirwe wiedzieć, co z Bolkiem, któren mir ma u ludu i sam tylko może go ująć w karby, nim się postronni pozbierają, by wykorzystać, że kraj jak rozgrodzone poletko.

- Praw jeś, że od postronnych do czasu nic nie grozi - powiedział Michał zadumany - jeno nie czas na to czekać, aż się pozbierają. Wiedzieć trzeba jestli prawda, że Bolko nie żywie, i skąd owe gadki. Wiadomo, że ostatnio w Poznaniu siedział, niczego nie poczynając, bo po prawdzie zima na to nie pora.

- Co będziemy rozmyślać - odparł Skarbek. - Ty tutaj dawaj bacznie, ja zasię jadę do Poznania. Jeśli gdzie, to tam się mogę o Bolku wywiedzieć.

- Jedź, pokąd drogi twarde - powiedział Michał z namysłem. - Jest tam reszta poznańskiej drużyny pod Bieganem, który takż nie wie pewnikiem, co bez Bolka poczynać. On najraniej wiedzieć może, co się z Bolkiem stało.

Skarbek nie zwykł długo się namyślać i zimowy świt zastał go już na koniu. Dla pośpiechu wziął ratają z dwoma podwodnymi końmi na zmianę i wieczorem drugiego dnia dotarłszy przed zamknięciem bram do Poznania, dopytał się o Biegana, który stał w pustym obecnie dworcu na Tumskim Ostrowie.

Zdało mu się, że Biegan był jego przyjazdem zaskoczony. Siedział przed stygnącą polewką, nad czymś ponuro zamyślony. Na widok wojewody powstał niechętnie i skłonił się bez słowa. Skarbek zaczął:

- Widzę, że niezbyt rad mnie witacie, ale nie przeto tu jechałem. Wiedzieć muszę, co z królewicem Bolkiem. Pono pośledni raz wyście go żywym widzieli.

- Iście tak! - odmruknął Biegan niechętnie.

- Coś nieradziście o tym prawić. Ja wiedzieć muszę, a zda mi się, że coś macie do ukrywania.

- Iście tak! - powtórzył Biegan, ale Skarbek zachnął się gniewnie:

- Ten nierad gadać, kto się wydać nie chce. - W głosie wojewody była podejrzliwość. Na wychudłą twarz Biegana wystąpił jaskrawy rumieniec. Odparł szorstko:

- Wydać! Jeno nie ze swoją tajemnicą. Wojewoda zrozumiał, że Bieganowi przeszkadza coś mówić. Powiedział już spokojnie:

- Ja was nie podejrzewam, ale nie z ciekawości pytam: jestli Bolko przy życiu? Wiele, jeśli nie wszystko od tego zależy.

Biegan zdał się namyślać. Skarbek dodał:

- Nie od dziś gadka chodzi, że Bolko nie żywie. Potrzebna jest pewność, by wiedzieć, co poczynać.

Biegan po raz pierwszy spojrzął w oczy wojewodzie i rzekł:

- Potrzebna wam pewność, tedy wiedźcie, że Bolko nie żywie.

Przez chwilę obydwaj milczeli. Mimo że dość dawno podejrzewano, iż Bolka nie ma między żywymi, wojewoda po raz pierwszy zmuszony był myśleć o położeniu kraju bez pana. Mojsław już oderwał Mazowsze, nie troszcząc się o resztę, jeno patrzeć Starze uczynią to samo z Wiślanami, a za nimi i inni z dawnych książąt plemiennych. Ze zgryzotą myślał, że sam był przeciwnikiem Kazimierza, ale gdyby i nie, niczego nie mógł uczynić, by go nie wygnano w obawie, że mścić się będzie za wygnanie matki. Długo siedzieli w milczeniu, które przerwał Skarbek:

- Skoroście już rzekli, że Bolko nie żywie, przecz to ma być tajemnicą?

- Bo tak przykazał, widno nie chciał, by macierz jego o tym wiedziała.

- Nieszczęsna niewiasta! - powiedział wojewoda. - Wždy i tak się dowie, złe wieści skoro się rozchodzą. Aleć z tego, co prawicie, widno, że byliście przy Bolkowej śmierci. Młody był i tęgi, tedy nietrudno wymiarkować, iż nie swoją śmiercią pomarł!

Biegan przez chwilę milczał, myśli zbierał. Wreszcie, jakby chcąc zrzucić ciężar, zaczął:

- Przestrzegąła wiedźma królewica, by się przed białkami miał na baczności. Jak iście było, wiadomo, jeno się z tego naigrawał. Wiecie,

iz śmierć króla niejasna była, bo jeno giermek jego Baszko był przy niej, po której zniknął i królewic go podejrzewał, że się do niej przyczynił. Baszko miał dworzec w Łącznym, nad jeziorem zwanym Włókna i tam Bolko się udał, by z Baszki wydusić, jako owo było. Jego doma nie zastał, jeno małżonkę jego Suliszkę, która jakoby urok na niego rzuciła, że się z innymi zgoła zadawać przestał. Biegan urwał i po chwili podjął z widoczną niechęcią:

- Dość powiedzieć, że niewiastę mężowi odjąć postanowił, a samego Baszkę w więzach przyprowadzić; może go stracić zamierzył. Moim synom to zlecił. Choć nie do takich usług ich zaprawiałem i gadać nie było o czym. Pojechali. I ninie Baszki nie zastali, a gdy jego niewiastę uprowadzić chcieli, w wodę się rzuciła, mało nie potonęli. Jak się okazało, przy nadziei była i od strachu i szamotania czędo¹ poroniła i nijak było w takowym stanie ją brać. Tedy czekali, aż pozdrowieje. Tyle doczekali, że Baszko widno się zwiedziało, co zaszło, i w drodze odbić ją chciał.

Biegan urwał i siedział ponuro zamyślony. Skarbek po chwili podjął:

- Bolko umiał sobie tanio wrogów kupować. Prawcie, co się stało?

- Wstyd powiedzieć, że Baszkę, jen w drodze im zastąpił, ubili w walce i jak Bolko przykazał, niewiastę w leśnym dworcu pod strażą osadzili. Jeno się Bolko o tym zwiedziało, wraz do niej pojechał. Co tam zaszło między nimi, nie wiada, ale jakby go kto odmienił. O nic nie dbał, jeno się zaczął samojeden wałęsać, jakby wrogów wyzywał. Sierdził się, gdy pomiarkował, że ludzi za nim posyłałem, tedy musiałem chyłkiem to czynić. Jednego ranka jak zazwyczaj samotnie wyjechał, a ja z synami w ślad za nim. Nie pośpieliśmy. Kilku luda go napadło, gdyśmy na miejsce doskoczyli, dwóch ubitych naszliśmy, on zaś siedział pod drzewem cały krwią zlany z rany na szyi. Wykrwawił się, tyle jeno rzecz wydażył, żeby go pogrześć, gdzie legł, i nikomu nie gadać, a macierz niechaj czeka. Cości jeszcze widno chciał rzecz, jeno mu głosu już nie stało.

Po chwili milczenia, Biegan podjął:

17

Czędo - dziecko.

- Kazał mi, było, królewic zaciąg czynić łuczników i tarczowników. Zebrało się do tysiąca luda, mniemałem, że powściągnąć zamierzył swawolę. Od onego czasu nie zadbał o nich i rozlazło się to. Witosza, któren jeno królewica nad sobą uznawał, ninie już nikogo, po swojemu wraz z kapłanami stary ład widno przywrócić zamierzył, ale jeno burzy nowy. Od Chrobrego czasów, gdy wojować zacząłem, zawsze wiedziałem, co mi działać. Ninie jakby mi kto głowę odjął, rozlezie mi się i ten konny zastęp, bo spyża na ukończeniu. Chyba do Mojsława na Mazowsze pójde. Choć i nie po sercu mi. Coś ze sobą zrobić trzeba.

Skarbek, który siedział zamyślony, teraz odezwał się:

- Pirwe o tym wam myśleć, by się i wasz hufiec nie rozlazł. Sam człek niewiele wydoli, nawet własnej głowy ustrzec.

- Jeno że od myślenia spyży nie przybywa, a skoro patrzeć, jak mi się skończy - odparł chmurnie Biegan. - Po lasach by jej szukać trzeba, bo pokojna ludność tam uszła z mieniem.

- Ale nam jeszcze zasobów nie brak, a im więcej nas będzie, łatniej się obronim przed swawolnymi gromadami.

Twarz Biegana rozjaśniła się przez chwilę, ale zaraz pomrocniła.

- Wiecie, że Bolka wyklął arcybiskup, a kto z nim trzyma, także pod klątwą pozostaje. Wyjętym spod prawa ognia ni wody podać nie Iza. Mojsław o to nie stoi, bo na Mazowszu nikt nie pyta, jakiego Boga kto wyznaje, ale wy...

Skarbek przerwał porywczo:

- Wszytcy my wyjęci spod prawa, bo nijakiego prawa nie ma i tyle nam ochrony, ile sił własnych. Bolko zresztą nie żywie, a on sam jeden mógł jakowyś ład i prawo zaprowadzić. Zbierajcie się wraz ze swym hufcem, bo rozlezie się, jeno chaśników¹ przybędzie. Głodny wojak na nijakie prawa oglądać się nie zwykł.

- Prawie gadacie - przytaknął Biegan. - Człek bez prawa niczym zwier. Jeno gołego żywota broni, pokąd się w nim dech kołace. W gromadzie łatniej, tedy idę z wami.

Chaśnik - rozbójnik.

Wstał, zamierzając wyjść, ale Skarbek powiedział:

- Widzę, iżście jeszcze polewki nie dojedli, gdym wam przeszkodził. Pokąd człek żywie, jeść musi. Jam też z drogi jeszcze się nie pozwy wił, jeszczeć nam do gardła nikt nie sięga, pośpiejem zajutro.

Jeno synów uwiadomić chcę, a wam podać wieszczę - odparł Biegan i wyszedł, pozostawiając wojewodę w zamyśleniu.

Palatyn Michał z niepokojem i zniecierpliwieniem czekał na powrót brata. Jeżeli wieść o śmierci Bolka potwierdzi się, kraj zostaje bez pana, jedyną siłę, jaką stanowi zbuntowany lud, ma w ręku Witosza. Nikogo nie mając nad sobą, jawnie już zmierza do przywrócenia starej wiary i ludowładztwa, które też utrzyma się jeno tak długo, jak długo sąsiedzi nie pozbierają się, by dokonać dzieła zniszczenia. Gdyby się nawet udało wydobyć Kazimierza z węgierskiej niewoli, niczego już nie odmieni. Palatyn z goryczą myślał, że Awdańcom, jak innym możnowładcom, nic pozostaje nic innego, jak bronić siebie i swoich przed rozpasanymi gromadami. Jeno na to ich jeszcze stać. Sam już jak w oblężeniu, stale musi strażę trzymać na wałach i podjazdy rozsyłać, by się nie dać zaskoczyć i spokojną dotychczas ludność obronić przed grabieżą.

Piąty, krótki jeszcze dzień mijał i Michał zaczynał się obawiać, że w niespokojnym czasie spotkać mogła brata jakaś przygoda. Zwrócił się do bratanka po Jaskotelu, a swego imiennika:

- Żrały już jeś, przyuczaj się do takowych czasów, jakie nadchodzą. Weźmi z dziesięci chłopą i jedź, choćby do Poznania, wywiedzieć się, co ze strykiem. Noc jasna, nawyknij do trudów i czuwania, po to cię rodzic mnie zawierzył.

Z wałów patrzył palatyn na odjeżdżających, po czym obszedł strażę i zamierzać się jął do wypoczynku, gdy poderwał go dźwięk rogu. Dосkoczył na wał przy bramie i nie potrzebował pytać strażnika. Podjazd, który przed niedługą chwilą wyszedł, wracał pędem. Strażnik szybko otwierał bramę i za chwilę młody Michał, ujrawszy stryja, powiedział widocznie poruszony:

- Jakowaś gromada tu nadchodzi.

Nie zdążył jeszcze wypytać bratanka, gdy strażnik trącił palatyna, wskazując na dobrze widoczny w księżycowej poświacie niezbyt odległy las. Michał spojrział i dostrzegł samotnego jeźdźca, który nie spiesząc, zbliżał się do stojących w napięciu. Palatyn poznał Skarbka i rzekł, jak do siebie:

- Wraca! Jeno kamo pachółkowie z podwodnymi? Coś mu się widno przygodziło - dodał niespokojnie. Zbiegł z wyżki, a Skarbak już wjeżdżał w otwartą bramę i zeskoczył z konia, a palatyn nie witając, zapytał:

- Kamo podwodne z pachółkami i co za gromada ciągnie za tobą?

- Pójdźmy do świetlicy, zda się odtając i powiecerzać. Ciągnie tu huf pancernych, wraz będą i im takoz zda się powiecerzać, konie nabroczyć i napić. Przykaż, co trzeba, gadać możem przy kominie.

Ruszył do domu, a palatyn pospieszył wydać polecenia i ruch się wszczął na całym dworcu, a za chwilę na obszernym dziedzińcu rozległy się głosy gromady ludzi, szczekanie psów i rzenie koni.

Palatyn zastał brata już przy wieczerzy w towarzystwie bratanka, który wiercił się niecierpliwie, by dowiedzieć się, co to za ludzie, których przywiódł wojewoda. O to też najpierw zapytał palatyn, a Skarbak odparł:

- To Bolkowy huf pod Bieganem. Nie żywię, tedy mu już niepotrzebny i jeno by się rozlazł, bez nich chaśników zadość. Biegan niechaj sam opowie, bo był przy śmierci królewica. I Bieganowi zda się pożywić i spocząć w cieple, bo niemłody już.

Bratanek skoczył, by sprowadzić Biegana, który dość długo dał czekać na siebie. Wszedłszy powitał Michała, który wskazał mu zastawiony stół, ale Biegan rzekł:

- Dzięki wam, ale wieczerzałem już z ludźmi. Im nie nowina nocować przy ognisku, ale konie zmamić się mogą na mrozie, a zdrożone są.

-Niechaj¹ nasze ze stajen wyprowadzić i derami okryć, a przybyłe w stajniach postawić, aby odsapnęły w cieple - rozkazał palatyn bra-

tankowi, który wyszedł ociągając się, bo ciekawy był opowieści Biegana. Palatyn jednak powiedział:

- Poczekamy na ciebie - a zwracając się do Biegana:

- Ludzie, ile się zmieści, w stodołach najdą pomieszczenie, rano po osadach gospodę. Was zaśię z synami w gościnę proszę.

- Za siebie dziękuję - odparł Biegan - bom niemłody już i tłuszczu na mnie nie najdzie. Ale syny dziesiętnikami są i przy ludziach ich miejsce, dopilnować, by woje nie swawolili po gospodach.

Kiedy młody Michał wrócił wypełniwszy polecenie, Biegan opowiedział o śmierci królewicza i zakończył:

Śmierci widno szukał, tedy ją i znalazł, nijak było upilnować. Ni nie pospółstwo przywódcę sobie znalazło w onym Witoszy, jen starą wiarę i ład wziął przed się przywrócić.

Przerwał i zakończył gniewnie:

- Umieci wygnać Kazimierza, Bolka kłatwą obłożyć, by nikogo nie mieć nad sobą, ninie będą mieli Witoszę, bo i w stadzie zwierza najsilniejszy przywodzi. Ani wiada, co czynić.

Zaległo milczenie, które po chwili przerwał palatyn:

- Znacie wy onego Witoszę?

- Tyle go znam, co był u królewica w Poznaniu. Człek niestary jeszcze, chłop potężny, tedy nie dziw, że posłuch najduje u pospółstwa, a prawdę rzec, z naprawy¹ królewica mienie kościelne łupił, jen i sam to czynił i przeto jeszcze Bożęta kłatwą go obłożyć zamierzył. Sami zresztą wiecie, boście go od tego wstrzymali - dodał zwracając się do palatyna, który siedział nad czymś głęboko zadumany.

- Witosza wiedzieć musi, iżeście z Bolkiem trzymali - zaczął zwracając się do Biegana. - Może by was posłuchał, by choć swawolę powściągnął, jeśli iście posłuch ma u onej tłuszczy.

Teraz Biegan zamyślił się i po chwili odparł:

- Może by i posłuch znalazł u swoich, jeno czy zechce was posłuchać? Nie w ostatku przeciw wielmożom naród się podniósł.

- Ale wiedzieć też musi, że Awdańce za Bolkiem stali - wtrącił się Skarbek - i od nas prosty naród nijakiego ucisku nie doznawał, tedy i spokojnie siedzi. Ani to za złe mieć może, żeśmy chąśników raz i drugi przepędzili, właśnie spokojnego narodu broniąc.

Biegan odparł:

- Spróbować nie zawadzi, bo i nic więcej zdziałać nie mogę, ale nie jeść dobrej myśli.

- Nikto z nas nie jest dobrej myśli - porywczo przerwał Skarbek. - Jeno jeśli Witosza jest dobrej myśli, to mu ją popsujcie. Skoro pa-trzeć, jak się ruszy któryś ze somsiadów, by zamęt u nas wykorzystać. Nie oprą mu się niesforne gromady, obaczą co jest cudza własć, gdy własna im nie lubuje.

- Działać, to nie mieszkając - powiedział Biegan. - Powtórzę mu, co prawicie, bogdaj nie na darmo. Jeno wywczasuje się z drogi dzień lub dwa, wyruszę. I ninie pora nam spocząć, bo skoro brzazgać¹ nacznie.

Trzeciego dnia o świcie Biegan gotował się do drogi. Gdy już konia siodłał, palatyn Michał rzekł niespokojnie:

- Poczet byście wzięli, bo choć rozruch ninie przygaśł, nie ze wszystkim droga bezpieczna.

- Nie wojować jadę, jeno rozprawiać - odparł Biegan. - Konia mam rącego i samem nie ułomek. Zajedno mi też, kamo kości złożę, bogdajbym tych czasów nie dożył.

- Ale jeśli ginąć, to nie od chąśników - rzucił Skarbek. - Z marchą² nikto gadać nie będzie. Pokąd człek żywię, żywię i nadzieja. Ale wa-sza sprawa, by żywym dojechać i wrócić, bo czekać będziem na was jako na węglach. Z ludźmi gadać musicie, by się o Witoszę dopytać, nocować też u nich.

- Z dawna już sypiać nawykłem na jedno ucho, tedy bądźcie o mnie spokojni - odparł Biegan i trąciwszy konia ruszył. Patrzyli za odjeżdżającym, póki nie zanurzył się w las. Palatyn Michał powiedział chmurnie:

- 22

Brzazgać - świtać.

² Marcha - zwłoki.

-

- Daj Bóg jeszcze go obaczyć. Nie wiem, zali nie na próżno go wysyłamy.

- Ja także nie wiem, ale dowiedzieć się trzeba - rzekł Skarbek pośpiesznie. - Sam bym pojechał, jeno nie znam onego człeka, tedy myślę, że Biegan łacniej się z nim dogada.

Nie mówili więcej o tym, ale przedsięwzięcie Biegana nie schodziło im z myśli: czy dojechał szczęśliwie, co z Witoszą uładził i kiedy wróci.

Bieganowi zrazu szczęście sprzyjało. Nie żałując konia, późną nocą dotarł do Konina. Bramy grodu zastał już zamknięte, ale dopukał się o nocleg w chacie na podgrodziu. Gospodarze, choć im przerwał sen, przyjęli go gościnnie, a najważniejsze, że przy wieczerzy dowiedział się, iż jesienią rozpasane gromady próbowały ubiec gród, ale im się nie powiodło i odeszły w kierunku Koła, i jak słyhać, część ich rozeszła się na zimowisko, a znaczniejsza część zimuje w Łęczycy. Omiijając Koło, Biegan trzeciego dnia pod wieczór dotarł do Łęczycy. Przed grodem zatrzymała go straż, dopytując, dokąd i po co jedzie. Na chybił trafił odparł, że jedzie do Witoszy, i trafił, bo wskazano mu dworzec arcybiskupa, dokąd się skierował.

Przy wejściu do dworca znowu zatrzymał go strażnik, pytając ostro, kim jest i do kogo ma sprawę. Biegan oznajmił się i strażnik wszedł do dworca, a po chwili wrócił:

- Witosza niechał was stawić przed sobą - powiedział.

Obszerną izbę oświetlał tylko ogień płonący na kominie i zatknięte w kunach¹ smolne drzazgi, w których światło Biegan ujrział siedzącego za stołem Witoszę, który oddał Bieganowi pozdrowienie i bez wstępu zapytał:

- Od księżęcia Bolka?

- Królewic Bolko nie żywie - odparł Biegan. Witosza przez chwilę milczał, po czym mruknął:

- Ubili go, bo z narodem trzymał. Jeszcze i jego pożałują.

- Nie wiem, kto go ubił, bo wrogów mu nie brakło - odparł Biegan.
- Zajedno, bo nie żywie, tedy nie od niego przychodzę.

- Przystajecie do nas? Kamo wasz huf?

-Nie! - odparł Biegan. - Hufiec przytulili Awdzańce, bo bez spyzy nijak przezimować, i od nich przychodzę. - Widząc, że Witosza zmarszczył się gniewnie, dodał:

- Awdzańce takż za Bolkiem stali.

- Przeto ich ostawiłem w pokoju - odparł chmurnie Witosza.

-Nie ze wszystkim, ale nie o to sprawa. Macie posłuch u pospółstwa, jakowś ład wprowadzić trzeba, pokąd nie za późno.

Gdy Witosza milczał, Biegan podjął:

- Na Mazowszu każden czci Boga, jaki mu po serdciu, przeto i pokój u nich, nijakich kapłanów nikto nie wygania i nie morduje, ni chramów nie pali. Powściągnijcie swoich, by tego poniechali, pokąd somsiady nie pomiarkują, że sposobność im swój ład zaprowadzić.

Witosza milczał, jakby się namyślał. Biegan z niepokojem czekał na odpowiedź. Po dłuższej chwili Witosza zaczął:

- Prawili nam ongiś, iż Bóg nie jest niemiecki i siłę daje tym, co go wyznają. Gdy wielki Mieszko jał nową wiarę zaprowadzać, wycięli nam święte gaje i dęby, chramy Nyi i Swarozycy spalili wraz z ich podobiznami, lubo na swoje przemienili, kapłanów naszych przymusili kryć się po uroczysskach, jak zwierza. Nie chciał naród nowej wiary, przytajac się z nią musiał. Jeśli komu nowy Bóg dał siłę, to tym, co starej wiary odstąpili, by prosty naród pognębić. Ziemię, która ongiś była wszystkich i niczyja, używana rodową wspólnotą, na swoją jeno korzyść zagarnęli, wolnemu człeku ni na niej zwierza bić, ni ryb łowić nie Iza. Dań, jaką drzewiej z dobrej woli przywódcom swoim świadczył, na powinności zamienili. Raz już pospółstwo powstało przeciw nowościom, aleje zgnetli, pokąd siłę mieli.

Witosza przerwał wzburzony. Po chwili uspokoił się i ciągnął:

- Oszukał ich nowy Bóg. Już za drugiego Mieszka nijakiej siły nie mieli, by choć kraju bronić, jeno tyle, by prosty naród jakoby w niewoli dzierżyć.

Przerwał znowu, po czym ciągnął:

- Zdało się, że Bolko, prostej niewiasty syn, dawną wolność narodowi przywróci. Sam prosty był, z narodem trzymał, tedy posłuch miał, jeno nie wielmożów i kapłanów nowej wiary. Nietajne nikomu, iże go przekleli i wyjęli spod prawa, spod swego prawa, które nam jeno jarzmo nakłada. Ubili go, ale ostałem ja i oną niemiecką zarazę do szczętu wymiotę.

Biegan słuchał ponuro zamyślony. Temu, co mówił Witosza, trudno było zaprzeczyć. Czuł jednak, że to, co zapowiada, to wojna domowa, która tylko zachęcić może obcego najeźdźcę. Zbierał myśli, pamiętał, że nigdzie się nie powiodł nawrót do pogaństwa i starego obyczaju. Zaczął po chwili:

- Wierę, że wydolicie zburzyć, co przez trzy pokolenia zbudowali Piastowie, ale nie wróci stary ład, jako i rzeka nie popłynie do swego źródła. Wždy miłował prosty naród wielkiego Bolesława, choć srodze nowego ładu przestrzegał. Bo z dala od swych granic trzymać wydolił wroga i jeszcze je poszerzał, a kim, jeśli nie drużyną, zawždy gotową, którą i uzbroić i wyżywić musiał, a z czego, jeśli nie z danin. Jeno naród zasobny był, od gęby sobie odejmować nie musiał. Wždy i pośledni huf, z poznańskiej drużyny pozostały, rozpuściłbym, gdyby go Awdańce za swój nie wzięli. I wasze gromady zreć muszą. Nie lepiej daniny ustanowić, niżli bez żadnego ładu grabić, ile popadnie? A takż nie orzą ni sieją, jeszcze innym przeszkadzają...

Witosza słuchał chmurnie zamyślony. Przerwał:

-Zadość! Gdy jaz zerwać, woda odnajdzie swoje koryto. A że zrazu zaleje pola i osady, nic to; wróci w nie i pokojnie popłynie jak drzewiej.

- Bogdaj to prawda była - odparł Biegan. - Wszczęliście wojnę domową, niełacno ją wygracie, a już pewnikiem nie, gdy z postronnymi działać przydzie, którym to jedyna sposobność, i tylko ich patrzeć.

- Nie mnie tym straszyc - ze złością odparł Witosza. - Wiemci ja, że u Niemców i Czechów takż rozdwojenie, nie pora im w nasze sprawy się mieszać.

- Bogdaj tak było - powtórzył Biegan - nie wiada jeno, gdzie się raniej skończy.

- Pora na wieczerzę - przerwał Witosza - a potem spocząć wam z drogi.

Jedli w milczeniu, każdy zajęty swymi myślami. Gdy zbierali się do wypoczynku, Witosza rzekł:

- Mniemam, że was między wrogami nie napotkam.

- Między druhami takż nie - odparł Biegan. - Rad bych w innej wojnie stare kości położył.

Gdy rankiem żegnali się, Witosza rzekł:

- Nie moja wina, iżeście się darmo trudzili.

- Uczynilem, com był powinien ~ odparł Biegan. - Wielkie brzemię wzięliście na swoje barki. Bogdaj was nie złamało.

Trącił konia ostrogą i po chwili znikł z oczu Witoszy.

Zdać się mogło, że Witosza ma słuszność, nie licząc się z obcym najazdem. Nie tak dawno cesarz Konrad powołał do siebie czeskiego Oldrzycha i wymusił na nim podział państwa ze starszym bratem Jaromirem, którego Oldrzych ongiś strącił z tronu i trzymał w więzieniu. Zaledwie jednak cesarz odszedł zajęty rzymskimi sprawami, Oldrzych oślepił Jaromira, a sprzyjającego Konradowi syna Brzetysława, księcia Moraw, wygnał. Państwo zjednoczył, nie brakło mu w nim jednak przeciwników, z przemożnym rodem Wrszowców na czele. Ale nie na długo: cesarz najechał Czechy i zmusił Oldrzycha do oddania Brzetysławowi Moraw. Ni w Niemczech, ni w Czechach nie było spokoju, ale w Polsce z nadejściem wiosny wojna domowa rozgorzała na nowo. Broniły się jeszcze co silniejsze grody, spokojna ludność z mieniem kryła się po lasach, handel ustał, bo drogi pełne były zbójców, a co gorsze, jeszcze w grodach miano zapasy na wypadek głodu czy oblężenia, ale niesfornym gromadom nie było do nich dostępu, chyba po trupach.

Nad Obrą na ziemiach Awdańców panował spokój z rzadka naruszany, ale nie dowierzali mu. Gdy na przednówku zacznie się praw-

dziwy głód, mogą nie starczyć do obrony i rodowe hufce, i Biegana. Już zimą podjazdy stałe były w ruchu. Wprawdzie Witosza oświadczył, że Awdanów zostawi w spokoju, ale mocniejszym panem jest głód.

Rachuby Witoszy na zamęt u sąsiadów wkrótce miały się okazać zawodne. W listopadowy dzień: 9 XI 1037 r. przy uczcie zmarł niespodziewanie Oldrzych. Oślepiiony przez młodszego brata Jaromir niezdolny już był do objęcia władzy. Słusznie obawiali się Awdanice, że pochwyci ją młody i wojowniczy morawski Brzetysław, który niewątpliwie przyjedzie do Pragi na pogrzeb ojca. Jakoż wkrótce obawy potwierdziły się. Jaromir wrócił do Pragi z zesłania, ale jeno po to, by uroczyście posadzić Brzetysława na kamiennym praskim tronie. W Czechach skończył się zamęt, groźba zawisła nad Polską, w której zamęt nie ustawał. Z wiosną, zrazu niepewna, przyszła wieść, że Brzetysław zbrojną ręką bez większego oporu zajął Śląsk, tłumiąc okrutnie panujący tam rozruch. Z państwa wielkich twórców Polski odpadła jeszcze jedna dzielnica, reszta skłócona i rozdarta, wydana na bezbronny łup chciwych sąsiadów.

Wieść wkrótce potwierdziła się, wywołując w Skarbnic uczucie przygnębienia, bezradności i jak najgorsze przeczucia. Siły wystarczające, by chronić spokojną ludność przed rozpasanymi gromadami, niczym były w razie najazdu. Jedynie młody Michał próbował uspokoić stryjów, mówiąc, że cesarz ani chybi nie zgodzi się, by Czechy urosły tak w siły, by zrzucić niemiecką zależność, mimo przychylności, jaką dotychczas Konrad okazywał Brzetysławowi. Palatyn Michał jednak wiedział, że cesarz Konrad stary już i chorzeje, i tym należy tłumaczyć jego bezczynność, a Brzetysław czeka tylko na jego śmierć, by zagarnąć resztę Polski, gdy w Niemczech zamęt powstanie, jak zwykle przy zmianie panującego.

Wcześniej jednak przyszła wiadomość o śmierci zaprzyjaźnionego z Czechami węgierskiego Stefana (15 VIII 1038). Przywiózł ją z podjazdu młody Michał, jednocześnie z wieścią, że Stefan z pominięciem bratanków przekazał tron żyjącemu w Wenecji siostrzeńcowi Piotrowi Orseolo. Gdy jednak Michał wyraził nadzieję, że teraz Kazimierz będzie mógł wrócić do Polski, Skarbek oblał go zimną wodą, mówiąc:

- Po co? By obejrzyć zgliszcza i ruiny dzieła swych przodków? Nic nam po tym, że zamęt będzie także i na Węgrzech, bo nie od tej strony burza zda się nadciągać.

Dokonany pod wpływem małżonki, królowej Gizeli, wybór zdał się istotnie zapowiadać zamęt i na Węgrzech. Do znękanego wiekiem i obłożną chorobą przyszedł mąż drugiej siostry Stefana, Samuel Aba. Król, domyślając się, z czym przychodzi, przyjął go niechętnie. Jakoż nie mylił się, Samuel zaczął bez wstępu:

- Co nam tu panem uczynić chcesz obcego człeka, jen naszej mowy nawet pewnikiem nie zna. Ja także mam syna, tu żywię od urodzenia, czemuż to nie jemu chcecie przekazać władzę?

- Bo nie żrały jeszcze - odparł Stefan niechętnie. - Piotra już wezwałem, jeno patrzeć tu będzie, mowy się przyuczy...

- Nie żrały, to dojrzejże raniej, nim Piotr mowy się przyuczy - prze-rwał Samuel. - Ja zasię żrały jeśm i do czasu mogę go zastąpić.

- Widzę ci ja, czego chcesz - odparł król - ale jedno mam słowo i tego nie zmienię.

- Jedno, tylko że nie swoje - ze złością powiedział Samuel i wyszedł bez pożegnania, pozostawiając króla w ponurym zamyśleniu.

Piotr zdążył jeszcze pożegnać wuja i wziąć udział w jego uroczystym pogrzebie, panowanie jednak nie zaczęło się pod dobrym znakiem. Koronacja mniej była uroczysta, brakło na niej nie tylko królewskiego dziewierza, ale wielu możnowładców. Matczyną mowę wprawdzie Piotr rozumiał, ale dogadać się w niej nie potrafił, z konieczności nadając urzędy ludziom z przyprowadzonego z sobą orszaku, budząc tym dodatkową niechęć Węgrów. W losie Kazimierza miała jednak nastąpić odmiana. Dowiedziawszy się o obecności Kazimierza na dworze, Piotr pierwszy skierował do niego kroki i powitał go po łacinie, jak równego sobie. Spodobał mu się młodzian, a widząc smutek na jego twarzy, rzekł:

- Pono jako brańca was tu trzymano, ja chcę widzieć jeno gościa.

- Dzięki wam, ale nie tu moje mieszce.

- Ja nie będę was zatrzymywał - odparł Piotr. - Chcecie wracać do kraju, wracajcie choćby i zaraz, pokąd drogi nie zmiękną.

- 28

- Nie czekają tam na mnie - powiedział Kazimierz z westchnieniem. - Wygnali mnie i przeto tu jeśm. Jeno macierz czeka na mnie.

- Tedy wracajcie do niej - odparł Piotr. - Rzeknijcie jeno kiedy, przystojny orszak zlecę wam przysposobić i jedźcie z Bogiem, choć rad bym was zatrzymał.

- Dzięki wam - rzekł Kazimierz - wywdzięczyć się nie mam jak, ale nie zapomnę. Między obcych! - dodał w zamyśleniu.

- Nawykniecie, jako i ja muszę nawyknać. I moją macierz na obczyznę wydano i nawyknać musiała - powiedział.

- Moja nie nawykła i wygnano ją- rzekł Kazimierz smutno.

Z pozwolenia skorzystał bez zwłoki, by przed jesiennymi deszczami przeprowić się przez Raab i inne stojące na drodze rzeki, zanim wezbrane ich wody utrudnią lub zgoła uniemożliwią przeprawy, ale zima już szła, gdy wreszcie dotarł do Turynгии i zatrzymał się w Saalfeld, gdzie czekać miała matka. Mimo że chętnie opuścił nieproszoną gościnę, nie był lepszej myśli. Wieści, jakie na wyjezdny doszły go z Polski, były wręcz złe, dziedzictwo przodków pozostawiał za sobą w ruinie. Zarazem jako wyrzut prześladowała go myśl, że powinien wrócić, choć rozsądek mówił mu, że nie wyjechał dobrowolnie i niczego by w kraju nie potrafił odmienić.

W Saalfeld Kazimierz matki nie zastał, czemu się zresztą nie dziwił. Przedsiębiorcza i ruchliwa niewiasta nie siedziałyby tak długo bezczynnie, dziwił się natomiast, że mając brata Hermana, od niedawna kolońskiego arcybiskupa i arcykanclerza cesarstwa, nie potrafiła wymóc od cesarza, by zażądał od króla Stefana wcześniejszego zwolnienia przymusowego gościa. Obecny jednak ochmistrz królowej, graf Starkhar, powiedział:

- Rycerz Walo, którego do was miłościwa pani wysłała, przepaść gdzieś musiał, bo nierychło doszła nas wiadomość, że jako w niewoli na Węgrzech siedzicie. Cesarz zasię, mimo że na zdrowiu zapada, do Rzymu ruszył, by podeprzeć miłego mu papieża, przeciw któremu powstał nie jeno bezbożny i chwiejny motłoch rzymski, ale przywódcę znalazł w Aribercie, arcybiskupie Rawenny, którego poskromić należało. Ninie jednak cesarz już jest w kraju i w Goslarze przebywa.

Kazimierz westchnął: to więc było przyczyną zwłoki, utrzymanie na Stolicy Świętej rozpustnego młokosa. Nie było dla nikogo tajemnicą że Benedykt, dziewiąty tego imienia, jest cesarską kukłą, z czego korzysta wysprzedając duchowne godności i beneficja, by zyskać środki na swe rozwiązłe życie. Kazimierz jeno więc zapytał:

- A ninie gdzie macierz moja przebywa?

- Tego pewnikiem nie wiem, bo miłościwa pani sześć sióstr swoich odwiedzić wzięła przed się, które przełożonymi są po klasztorach w Niwelles, w Essen, w Neus, Dutkirchen, w Kolonii i Gandersheim, gdzie pewnikiem po kilka dni zabawić musiała, potem zasię przysposobić dla siebie siedzibę w Brauweiler, w fundowanym przez jej rodzicieli klasztorze, i mniemam, że tam przebywa. Wraz po nią posłę z uwiadomieniem, iżście wrócili. Rada będzie i ani chybi wróci powitać syna.

Nie było jednak potrzeby posyłania po królową wieść o powrocie syna doszła do niej w Brauweiler i natychmiast wróciła, witając go z radością, i jakby usprawiedliwiając się, sama zaczęła:

- Nie myśl, bym choć przez chwilę przepomniała o tobie. Cesarz mi jednak rzekł, że dość ma trosk w Italii, by zdrę mieć ze Stefanem, z którym niedawno układ zawarł, że się w węgierskie sprawy mieszać nie będzie. Stefan zasię widno czekał, jak się w Polsce sprawy obróca, by jak ongi z Bezpryma korzyści jakowe wyciągnąć. Może i przedać cię onemu...

- Brat mój nie żywię - przerwał Kazimierz.

Rycheza zachnęła się gniewnie:

- Tyś prawnym królewskim synem i krewniakiem cesarza, nijaki on twój brat. Z poganami trzymał, dosięgła go klątwa!

- Nie żywię - cicho powtórzył Kazimierz. - Niechaj mu Bóg będzie miłosierny.

- Nie masz miłosierdzia dla przeklętników - ostro przerwała Rycheza i spokojniej dodała:

- Nie o tym mi myśleć, co się dzieje w tym pogańskim kraju, jeno o tobie. Ninie poczujwaj, ja zasię z bratem pomówię, który głos ma u cesarza, by ci jakoweś lenno nadał, gdy się opróżni.

Kazimierz nic nie odrzekł, ale losy kraju nie schodziły mu z myśli, natomiast Rycheza natychmiast wyjechała do Kolonii, by się w sprawie Kazimierza z bratem rozmówić. Herman jednak powiedział po namyśle:

- Nie pilne, a zda mi się, że z nowym panem trzeba będzie pomówić. Konrad chorzeje, z nim gadać nie pora.

Herman słusznie przewidywał. Wiosną czwartego czerwca 1039 roku cesarz Konrad zmarł. Wprawdzie już za życia jego koronowany królem niemieckim Henryk trzeci natychmiast objął władzę, ale na-przód uroczystości pogrzebowe, a potem objazd kraju nieprędko pozwoliły Rychezie mówić z nim o sprawach Kazimierza. Tymczasem nadeszły wieści z Polski, które Kazimierzowi zakłócały sen. Teraz i on niecierpliwie czekał na rozmowę z królem Henrykiem, ale w zgoła innym celu niż matka.

Przewidywany przez Awdańców najazd nie dał na siebie czekać. Że się gotuje, wiedzieli już wcześniej, Brzetysław nie robił bowiem z tego tajemnicy, ale byli bezradni. Naradziwszy się z biskupem Sewerem i innymi doradcami, Brzetysław uznał, że jest czas i sposobność pomścić krzywdy, jakie Bolesław Chrobry Czechom wyrządził. Po całym kraju rozsyłał wici, by każdy zdolny do broni stawiał się natychmiast na Śląsku, na znak tego, co czeka opieszłych, posyłając stryczek i zapowiadając, że ich na nim powiesi. Ale nie trzeba było takiej podniety. Najazd na bezbronny kraj nie zapowiadał ciężkich trudów i walk, natomiast bogate łupy. Toteż ruszono z ochotą na miejsce zborne i po wczesnych żniwach przez bramę morawską potężne wojska wlewać się zaczęły do Polski szeroką falą niszcząc i paląc wszystko, nawet nieliczne ocalałe w grodach kościoły, a słaby opór łamiąc okrutnie, wycinając w pień opornych. Łuny stały nad krajem nocami, we dnie zasnuwały go dymy. Przestrzeżony przez nie, kto mógł, uchodził, by choć gołe życie ratować. Opór malał, aż zgasł i Brzetysław bezkarnie już rozpuścił zagony szeroko po kraju, zostawiając za sobą zgłiszcza i pustynię.

Zbiegowie z południa dotarli też do Skarbnia, przynosząc przerażającą wieści. Narada trwała długo, żal było opuszczać ojczyste gniazdo, ale należało na to Biegana. Konne hufce w razie oblężenia na nic, nieliczne załogi w gródkach Awdańców, w Skarbnie, Osieku i innych, każda z osobna jeno na rzeź będą wystawione. Należy je zgromadzić, póki czas i wycofać w bagna nad Obrą zabierając wszelkie zapasy. Blisko dwie setki dobrze zbrojonej jazdy stanowi siłę, która nie spodziewającemu się oporu nieprzyjacielowi może dać się we znaki, zmuszając go przynajmniej, by nie rozpuszczał szeroko łupieżczych zagonów. Młodemu Michałowi aż rumieńce wybiły na twarz na myśl, że będzie mógł wziąć udział w walce i nieśmiało poparł Biegana, ale Skarbek ofuknął go:

- Słuchaj i ucz się. Nie ciebie do rady proszono. Bogdaj ci walka nie obrzydła. Będziesz miał jej zadość do siwego włosa.

- Ja mówię jeno to co Biegana - powiedział Michał zmieszany - on zasię doświadczony jest.

- Iście tak - wtrącił się palatyn Michał. - Innej rady nie widzę, ale niełacno się opuszcza ojczyste gniazdo, który to już raz!

- Nie niewiasty my, by nad tym lutać - przerwał Skarbek - jeno wykonać, cośmy uradzili. Naszym niewiastom z otrokami i mieniem takż bezpieczniejsz będzie od wypadku - splunął przez ramię - a ile sił wydołamy ocalić, zawżdy się może przydać. Jawne już, że Brzetysław nie przyszedł kraju zajmować, bo wie, że niemiecki cesarz na to by nie przystał, jeno złupić, tedy jak przyszedł, odejdzie i kimś trzeba zgłiszcza odbudować.

To powiedziawszy wyszedł, by wydać rozkazy, a pozostali siedzieli w milczeniu, które przerwał palatyn:

-Zdałoby się wiedzieć, zali Jędrzej Topór opór stawi najazdowi. Kraków mocny gród, siłę ma znaczną, a bronić też ma czego, bo z dawna Starze w zasoby obrośli.

- Ja zasię myślę - wtrącił Biegana - co pocznie Witosza, który się panem uczynił nad pospółstwem. Wie, że po Brzetysławie łupić nie będzie czego, zali nijakiego oporu nie da. Gromady ma licho zbrojne,

dobrze do łupieży, ale zawsze to siła jest, choćby z zasadzki mogą wrogom przeszkadzać.

- Śmiały to on jest - powiedział palatyn - ale sam nie zdołał niczego. Ani wieści, kamo jest i nijak nim nie szukać.

Skarbek wrócił po dłuższej chwili i powiedział:

- Piesi już wychodzą nocą im bezpiecznie. Jeźdźcy jeszcze poją i obrocą konie, tedy i nam się zbierać.

Gdy wyszli, zmrok już zapadał. Daleko na południu niebo zaczynało przybierać różową barwę. Skarbek mruknął:

- Pała! Przynajmniej wieści, kamo nam ciągnąć.

Ruszyli, pozostawiając za sobą opustoszały gródek. Skarbek ani się nie obejrzał, palatyn jednak patrzył jeszcze na ledwo już widoczna w mroku kopczyki mogił ojców i dziadów. Powiedział cicho, jakby do nich:

- Jeszcze tu wrócimy spocząć koło was.

Trącił konia ostrogą i wysunął się na czoło. Długo jechali w milczeniu, stępa, by oszczędzić koni. Noc była pogodna, wyoiły się gwiazdy, potem wzeszedł pełny księżyc i pojaśniało, mimo to luna nie gasła, jej źródło widocznie nie było już daleko. Palatyn wstrzymał pochód i rzekł do Biegana:

- Zda się wiedzieć, ilu ich jest i kamo. Mogą i tu ciągnąć. Weźmi kilku ludzi i jedź przodem. Wymiarkujesz, to wracaj z wieścią.

Młody Michał wprosił się do podjazdu. Palatyn jeno ręką skinął przyzwalająco. Sam młodszy był, gdy wojować zaczął, po raz pierwszy przy odbieraniu Czechom Krakowa. Teraz z kolei Brzetysław ciągnie na Kraków. Co poczną Starze, czy zdołają się obronić? Tkwiło w nim to pytanie, ale nie był dobrej myśli.

Mimo że zbliżali się już do źródła ognia, luna zaczęła przygasać. Palatyn wstrzymał pochód i czekał na powrót Biegana. Nie czekał długo, gdy naprzód ujrzał odbłaski księżyca na żelazie, a po chwili zbliżającą się gromadkę. Gdy podjechali bliżej, ze zdziwieniem ujrzał jadącego obok Biegana jakiegoś ogromnego męża. Zatrzymawszy się, Biegana wskazał na niego i rzekł:

- Witosza! Stamtąd wraca, rzeknie wam, jako jest.

Palatyna na te słowa ogarnął gniew. Pohamował go, ale rzekł szorstko:

- Patrzycie, jak obcy dokańczają waszego dzieła!

Witosza jednak nie zdał się zmieszany. Niezwykle niskim głosem odmruknął:

- Wymiatalem obcą zarazę, ninie wymiatam i tę. Ziemia i woda zawsze ostanie, a niewiasty będą rodziły.

Teraz wtrącił się Skarbek; zwracając się do brata, powiedział:

-Nie pora mu się sprawiać. Pirwe niechaj rzeknie, jakie ma siły i jakie przed nami.

Teraz Witosza nie od razu odpowiedział, jakby zawstydzony:

- Nie liczę. Mam chyba ze trzy setnie, reszta rozlazła mi się. Gorzej, iż mało który ma jakoweś żelazo.

- Dużo tym zdziałacie - wtrącił palatyn gorzko, ale Witosza odparł:

- Ile wydolę, choćbym sam ostał. Zawszy się trafi, że któryś z wrogów przystanie, choć ich przyuczyłem gromadą chodzić.

- Ilu przed nami? - zapytał Skarbek niecierpliwie, a Witosza odparł:

-Nie dało się policzyć, ale zagon spory jest. Noc ciepła, ognia im nie braknie, tedy pewnikiem powiecerzali i do snu się ułożyli, ani się spodziewając, iż ich pobudzimy. Tyle że koni mają trochę, przy których pewnikiem jakaś strażą stoi.

Witosza mówił, jakby się ułożył z Awdącami, że współdziałać będą. Istotnie palatyn rzekł:

- Uderzymy przed świtaniem, gdy sen najlepszy. - Zwracając się do Witoszy, dodał:

- Obstawić ich dokoła. Wasza rzecz rozpierzchłych łowić.

Witosza tylko głową skinął i już go nie było, a palatyn zwrócił się do brata:

- Uderzymy z jednej strony, by się nie skupili i oporu nie dali, bo szkoda nam każdego człeka. Ninie i nam powiecerzać, konie naobroczyć i przetrzeć, a wy podjedźcie krzynę obaczyć, skąd najlepiej uderzyć - polecił, zwracając się do Biegana.

Księżyc już stał na zachodzie i pomrocniało. Biegan podjechał na tyle, by dojrzeć słabo już przeświecające zgłiszczą spalonej osady. Nie widać było żadnego ruchu, napastnicy widocznie ułożyli się już

do snu. Las od zachodniej strony sporo był wycięty, tylko od wschodu dochodził do osady na pół strzelania z łuku i Biegan tam się skierował. W lesie ciemno już było i tylko po wzroście poznał Witoszę w postaci, która dźwignęła się przed nim i zapytała:

- Coście uradzili?

-Jeszcze nic, jeno obejrzeć, jak nam działać przydzie. Po chwili dodał:

-My stąd uderzym, tedy zabierzcie swoich, bo tu niepotrzebni. Indziej obstawić, my wam ich nagnamy.

Gdy zdał sprawę palatynowi, ten jeno głową skinął. Poleciał wystawić strażę, a reszcie spocząć i obudzić ludzi sporo przed świtem.

Ciemno jeszcze było, gdy oddział ruszył, a w lesie mrok panował zupełny. Palatyn zatrzymał go w głębi, a sam wraz z bratem podszedł na skraj. Młody Michał przyczepił się do nich. Podniecenie nie pozwalało mu usnąć. Niebo dopiero zaczynało jaśnieć na wschodzie. Niecierpliwie zapytał:

- Skoro uderzym?

- Gdy będzie pora - odparł Skarbek. - Nie zawsze od pleców będziesz oglądał wroga, a pomnij, że i zdychający zwierz ukąsić wydoli.

Świt dopiero zaczynał przybierać barwy, gdy ciszę pogodnego poranka zmaćcił straszliwy wrzask. Jazda półkolem opasując obozowisko wpadła na śpiących, którzy zrywali się bez ładu, by gardła oddać pod miecz. Krzyki starszyny usiłującej stawić opór ginęły w narastającej wrzawie, mało kto chwycił za broń, całe gromady jak owce bez pastorza gnały przed siebie, by ująć przed rzezią i schronić się w dość odległym lesie. Ale wszczęta tam wrzawa zdradziła, że i tu czekają na uchodzących. Nawet kto pochwycił broń, ciskał ją teraz, wyciągając ręce do pęt. Widząc, że bez skutku, ten i ów stawić jął opór z rozpaczą, wiedząc, że i tak przyjdzie oddać życie. Wschodzące słońce ujrzano już tylko krwawy pokos.

Teraz pobojuwisko zaroilo się od ludzi Witoszy. Dobijali rannych i obierali ich z broni, ale i to nie trwało już długo. Gdy się uspokoiło, palatyn zebrał jazdę, a do Witoszy, który zjawił się, by się poradzić o dalszych poczynaniach, rzekł:

- Ninie macie broń, poczynajcie, coście wzięli przed się. Ja ku Krakowu pociągnę. Jeśli Starze opór stawiają, należy ich wesprzeć.

- Nie byli nam Starze druhami - warknął Skarbek, ale Michał odparł:

- Kto z wrogiem walczy, ten nam druh. Nie pora na obrachunki. I nasza siła zaważyć może, by choć co ocalić.

Istotnie, prócz kilku rannych, bitwa odbyła się niemal bez strat. Rozłożyli się obozem, by się posilić i przeczekać skwarne godziny.

Z południa już było, gdy palatyn uładził hufce do drogi, a żegnając się z Witoszą, powiedział gorzko:

- Ujrzeście ninie, że i wielmoże przydać się mogą. Gdyby jako za Chrobrego stała gotowa drużyna, snadnie byśmy wrogowi drogę do dom pokazali. Przemyślcie to sobie.

Odwrócił się i wysunął na czoło w towarzystwie brata i młodego Michała. Zwracając się do niego, zapytał:

- Jakoże ci się zdało pirwy raz stawać?

- Okrutna jest wojna - odparł cicho Michał.

- Przywykniesz, może i polubisz - odparł palatyn, a jak do siebie dodał cicho: - Pokąd ci nie obrzydnie, jako mnie.

Ciągnęli teraz dosyć szybko, na tyle by nie zeszkaścić koni i trzeciego dnia pod wieczór stanęli na nocleg koło brodu nad Wisłą w opustoszałej z mieszkańców osadzie. Do Krakowa nie było już daleko i należało zachować ostrożność. Wystawiono tedy strażę, a podjazd z kilku ludzi wysłano pod synem Biegana celem zebrania wieści o położeniu. Sam palatyn waz z bratem i bratankiem ułożyli się na wypooczynek w kurnej checzy, polecając Godkowi, by ich obudził, gdy zbierze jakieś wieści.

Palatyn jednak obudził się sam, a raczej obudziły go przyciszone odgłosy stąpania kilku koni, które zatrzymały się przed chatą. Dorzucił trzasek na palenisko, a gdy zajęły się płomieniem, zamierzał wyjść, gdy rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Godek, mówiąc:

- Wojewoda Bogufał Topór! On wam powie, jako jest.

Pochylając głowę w spiczastym hełmie, barczysty i znacznego wzrostu, stanął mąż przybrany jak do boju. Spojrzeniem ogarnął izbę, jakby patrząc, gdzie usiąść i nie witając się, rzekł:

- Chcecie wiedzieć, co w Krakowie? Nie masz go już, jeśli nie liczyć ruin i zgłiszcz. Pono ciągniecie z pomocą bratu memu - zaśmiał się zgrzyliwie i gorzko - Awdańce Starzom! Jako z kopyścią na niedźwiedzia. Nie będzie za co odwdzięczyć.

Palatyn przerwał chmurnie:

- Na odwdziękę nie czekam, nie z miłości do was pomóc chciałem.

- Kim? Tą gromadą, gdy tam samej jazdy do trzech tysięcy, a pieszego ludu ani policzyć. Brat mój nazbyt dufny był w sobie, ni dnia się grodem nie zabawili. Wyrzynają, co jeno żywie, nie ujrzeć mi go już - dodał ponuro.

- Kamo się ninie Brzetysław najduje? - przerwał palatyn Michał.

- Mniemałem, że jeno Kraków zajmować przyszli, jak i nie pirwy raz. Aliści gdy pojąłem jakowegoś Czecha, nie bardzo proszony wyznał, że Brzetysław z jazdą ruszył przodem na Gniezno, a piesze wojska ciągnąć mają za nim, dobywając grodów po drodze. Tak mniemam, że długo im to nie zbawi, gdy wiadomo że kto jeno opór stawi, głowę da. Z Brzetysławem jest praski biskup Sewerus, tedy po co tam ciągną, wymiarkować nietrudno.

- Przyłączycie się do nas? - zapytał palatyn.

- Po co? - pytaniem odpowiedział Bogufał. - Jadę obaczyć, zali moja Morawica jeszcze stoi. A jeśli i nie, dwa razy w jedno miejsce grom nie uderza.

- Tedy nie zatrzymuję - zimno powiedział Michał. Gdy Bogufał wyszedł, palatyn przez chwilę namyślał się, po czym zwracając się do Godka, rozkazał:

- Idzi obudzić rodzica. - Gdy Godek wyszedł, Skarbek, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, teraz zapytał:

- Po co budzić starego? Nic już z naszej pomocy dla Krakowa.

- Ale bez zwłoki musimy uwiadomić Gniezno, co ich czeka.

Gdy Biegan nadszedł po chwili, palatyn rzekł:

- Weźmi paru co tęższych ludzi dla bezpieczeństwa, co ścięjsze konie i podwodne na wymianę. Żeby paść miały, musicie Brzetysława wyprzedzić choćby o parę godzin, zanim do Gniezna przydzie. Wiem, to niełatwo, bo jest o trzy dni przed wami, ale dufam, że wyolisz.

Biegan jeno głową skinął i już go nie było. Michał ze Skarbkiem wybici ze snu rozmawiali jeszcze o położeniu, gdy posłyszeli tętent jakby kilku koni. Skarbek zaniepokojony wyszedł z chaty i po chwili wrócił, mówiąc:

-To Biegan wyjechał.

Przez zbiegów dotarły już do Gniezna wieści o najeździe, ale i tu sądzono, że Brzetysław tylko Kraków zająć zamierzył. Pod nieobecność arcybiskupa, z kapituły pozostał jeno dawny mnich z Międzyrzecza Miłosław Pomian i Pietrek Bróg. Ongiś wojak, pozostał raczej, by udział wziąć w obronie przed swawolnymi gromadami niż dla pełnienia obowiązków duszpasterskich. Gdy posłyszał o najeździe, aż mu się serce rwało, by wziąć udział w walce, choć rozsądek mówił mu, że nim pokona siedemdziesiąt mil, dzielących Gniezno od Krakowa, będzie już wóz albo przewóz. Miał nocować w kapitulnym budynku, przeniósł się na gród koło grobli nad Jelonkiem, by w razie napaści być pod ręką.

Usypiał właśnie, gdy obudziło go kołatanie do bramy. Po jej zamknięciu nie wpuszczano do grodu nikogo, toteż zaniepokojony zebrał się co rychlej i zdążył dobiec, by posłyszeć, jak strażnik spierał się z przybyłymi. Gromadka była niewielka, nie napaść przeto. Stał na wyżce i zapytał:

- Nie możecie poczekać do rana, miast niepokoić nas po nocy?

- Ani chwili - posłyszał odpowiedź.

- Kto zacz i czego chcecie?

- Od palatyna Michała. Na rano innych tu gości mieć możecie.

- Wieść udźwignie jeden - powiedział Pietrek i polecił otworzyć furte. Biegan zsiadł z konia i wszedł. Pietrek zapytał:

- Jakich to gości mamy oczekiwać?

- Brzetysław tu idzie wraz z praskim biskupem, tedy ani chybi po relikwie świętego Wojciecha. Siła znaczna, nie oprzeć się, a opornych przez nijakiego miłosierdzia wyrzyna. Uwiadomić, kogo należy, kto wydoli, niechaj z mieniem uchodzi. Ja wracam, nie mieszkając.

Zdrożony był widocznie, bo chwiał się na nogach. Pietrek powiedział:

- Pocznijcie i posilcie się. - Po namyśle dodał: - Poczekajcie na mnie, pojadę z wami. Nic tu po mnie.

Zaprowadził Biegana do swej izby, postawił przed nim chleb, mięsivo i miód, co rychlej rozesał gońców po osadach na Żuławach, Grzybowie, Targowisku i innych z przestrzeżeniem o grożącym najeździe, a sam pobiegł do kapitulnego budynku na wzgórzu Lecha i obudził kanonika Miłostława:

- Wstawajcie! Idzie tu Brzetysław wraz z praskim biskupem, na rano mogą być. Ani chybi, po święte relikwie.

- Na rany Chrystusa, co prawicie? Wždy dwakroć za żywota święty przed ich bezecństwem uchodził. Ninie zabrać go chcą, gdy już ujęć nie może! Bieźajmy do katedry, coś zaradzić trzeba.

Zbierał się trzęsącymi rękoma, a Pietrek rzekł:

- Czeka na mnie posłaniec od palatyna Michała, mam do nich dołączyć, by ile wy dolę za najazd odplacić.

- Wždyście kapłanem - odparł Miłostław - nie wasza rzecz. I tak przed święceniami dyspensę dla was uzyskać należało z powodu *non perfectae lenitatis*⁵.

Pietrek łaciny nie rozumiał, ale domyślił się, o co chodzi i odparł:

- Trzeba będzie, wypowiedani się, byle było z czego. Są tu świętnicy Dobrosz i Ciechoń, im mniej ludzi będzie wiedziało, kamo schowacie relikwie, tym lepiej.

- Wždy jeśli najdą grób pusty, szukać będą, a niełacno ukryć tak wielkie relikwie - powiedział Mirosław strapiony, ale Pietrek odparł niecierpliwie:

- To im Radzima podłóźcie. Nie wyznają się po kościach, a jego szukać nie będą. Pospieszajcie, bo o ćmie swego dokonać trzeba - dodał rozkazująco i zakończył: - Czas i na mnie, posłaniec czeka.

Odwykł od jazdy, ale gdy konia poczuł pod sobą, pomyślał, że pewniej na nim się czuje niż przed ołtarzem. Słów mszy świętej nigdy się nie mógł wyuczyć i mamrotał, co mu na język przyszło, pocieszając się, że obecni też nie rozumieją.

Non perfectae lenitalis (łac.) - niedoskonałej łagodności.

Przestroga okazała się tak skuteczna, że gdy wczesnym przedpołudniem przez obydwie groble nad Jelonkiem i między Bielidłem a jeziorem Winiarskim wlewać się jeły gromady napastników, osady były niemal opustoszałe, a na zamku, gdzie stanął Brzetysław wraz z biskupem, nie było żywej duszy. Napastnicy rozbiegli się za łupem, a gromada najbliższych wywaliwszy bramę wpadła do katedry na górze Lecha. W promieniach niskiego jeszcze słońca jakby własnym światłem zaświecił olbrzymi złoty krzyż i trzy nagrobne płyty, bogato sadzone kamieniami i bursztynem. Na widok tego bogactwa napastnicy stanęli olśnieni.

Uwiadomiony o tym Sewerus niemal biegnąc, wpadł do katedry roztrzając cizbę i stanąwszy przed grobem rozłożył ręce. Gwar ucichł na widok biskupa, a on zaczął:

-Bracia moi i synowie Kościoła Bożego! Nie Iza nikomu dotknąć lekkomyślnie ciała pełnego cnót, byśmy nie zostali pokarani ślepotą lub inną ułomnością. Dlatego wpierw trzydniowym postem czyńcie pokutę za wasze grzechy i odrzeknijcie się wszystkich obrzydliwości, które w was się mieszczą. Z całego serca przyrzeknijcie, że już tego dalej nie będziecie czynić.

Rozbudzoną chciwość niełatwo było poskromić słowami. W tej chwili jednak zjawił się Brzetysław, groźnym rozkazem polecił cizbie opuścić świątynię i ogłosić wszystkim polecenie biskupa! Pościli tedy przez trzy dni i spowiadali się, a tymczasem nadeszły piesze wojska, prowadzące wozy z łupem. Ale najbogatszy czekał jeszcze, by go załadować. Złoty krzyż trzykrotnej wagi tego, kto go ufundował, a Chrobry nie był ułomkiem, trzy złote płyty, największa wagi trzystu grzywien, pięć łokci długa, dziesięć dłoni szeroka. Niemale były też skarby zdobyte w Krakowie i innych grodach. Sto wozów ugięło się już pod łupem.

Trzeciego dnia biskup Sewerus obudziwszy się, zwołał zebranie wojsk. Nieprzebrany tłum zgromadzał się u stóp wzgórza Lecha, a biskup stanąwszy na jego stoku, przemówił:

- Radujcie się, bo prośba wasza będzie spełniona. Oto zjawił mi się we śnie święty męczennik i zlecił mi rzec: „Po dwakroć przebrzydłę

grzechy ojców waszych wyгнаły mnie ze stolicy. Po raz trzeci postanowiłem wrócić, gdy oczyszczeni postem i modlitwą mnie wzywacie. Dufam, że opamiętacie się ze złych czynów i przyrzeczenie umocnicie przysięgą".

Jednym potężnym głosem odpowiedział uradowany tłum, po czym przystąpiono do rabunku przy nabożnym śpiewie „Te Deum laudamus” duchowieństwa. Znalezione w grobie relikwie oraz ciała pięciu męczenników, pochowane w kościółku pod wezwaniem św. Jerzego, załadowano na wozy, cel wyprawy został osiągnięty. Teraz Brzetysław pospieszał z powrotem do pozbawionego wojsk kraju. Lękał się zwłaszcza, że cesarz Konrad nie będzie spokojnie patrzył na wzrost potęgi Czech i zechce im przypomnieć zależność. Toteż wojska ruszyły pospiesznie na południowy zachód, pozostawiając za sobą pustkę, ruiny i zgliszcza.

Brzetysław nasycił już swą żądzą zemsty i okrucieństwo. Toteż gdy pochód zbliżał się do Giecza, a mieszkańcy wyszli naprzeciw, pokornie błagając o miłosierdzie, łaskawie zgodził się ich oszczędzić i przesiedlił do Czech, zezwalając im nawet zachować własne prawa i nadając na osiedlenie znaczną część lasów zwanych Czernin. Na pamiątkę swego pochodzenia zachowali nazwę Gieczan.

Z końcem sierpnia wojska dotarły w pobliże Pragi i rozbiły obóz nad rzeczką Rokitką, by odpocząć i przygotować się do triumfalnego wkroczenia do stolicy. Wieść o powrocie wojsk ze zwycięskiej wyprawy natychmiast dotarła do miasta, wywołując powszechny zapal. Ledwo doczekano świtu i w uroczystej procesji duchowieństwa i mieszkańców pociągnięto do obozu. Sam księżę wraz z biskupem zdjęli z wozu owinięte w jedwab zwłoki i na czele pochodu ruszyli ku miastu, a w ślad za nimi opaci ze zwłokami pięciu męczenników. Dwunastu kapłanów z trudem dźwigało złoty krzyż, dalej trzy ciężkie płyty ze złota, wreszcie jechało sto wozów z łupem, bogactwo, jakiego nigdy jeszcze nie widziała Praga, wreszcie prowadzono kilku dostojnych jeńców, zapewne dla okupu. Nie było też końca okrzykom na cześć księcia, który tak wspaniale rozpoczął panowanie, a on przez most na Wełtawie, uradowany i dumny, zmierzał do katedry św. Wita,

by złożyć tam święte szczątki. Nie w ostatku ucieszyła go wiadomość, że po długiej chorobie zmarł cesarz Konrad. Gdyby wcześniej o tym wiedział, nie byłby tak spieszył z powrotem, łupy mogły być jeszcze bogatsze.

Wiść o wypadkach w Polsce doszła już do Niemiec, ale młody Henryk III miał pilniejsze sprawy, niżby się w nie wdawać. Koronowany na niemieckiego króla już za życia ojca, nie musiał wprawdzie zabiegać o następstwo, ale innych spraw nie brakło. Dla Kazimierza natomiast wieść stanowiła wstrząs. Nie przestawał rozmyślać o nieszczęsnym losie kraju swych wielkich przodków, których teraz pozostał jedynym dziedzicem. Niemal jak wyrzut prześladowała go myśl, że niczego nie czyni, by przyjść ojczyźnie z pomocą mimo iż mówił sobie, że go z niej wygnano i nikt tam na niego nie czeka.

Gryzł się, aż schudł i odszedł go sen. Nie miał się nawet z kim podzielić swą troską, nawet z matką. Wróciwszy jednak z Brauweiler, gdzie doglądała odnowienia podupadłego klasztoru, by tam dokonać żywota, sama go zagadnęła:

- Zaliś ty nie chory? - zapytała, widząc jego pobladłą twarz i podkrążone oczy. - Wraz poślę po medyka, niechaj coś zaradzi.

- Nic mi nie jest - odparł wymijająco.

- Tedy pewnikiem cni ci się. Na nic młodemu beczynnienie siedzieć lubo nad księgami. Zadość tego miałeś w klasztorze. Po kraju byś się ruszył, na łowy pojechał, z towarzyszami zabawił. Niech jeno Henryk swoje sprawy uładzi, uproszę, by ci lenno nadał po moim rodzicu i bracie. Nie będziesz miał czasu na rozmyślania.

Kazimierz nic nie odparł. Wiedział, że z matką ani mówić o Polsce. Jeżeli wspomni kiedy, to z niechęcią i złością. Ale ona tu jest w ojczyźnie, a on myślą bawił daleko, w nieszczęsnym kraju, którego nie spodziewał się ujrzyć więcej.

W Polsce jednak coraz powszechniej kierowano myśl ku ostatniemu potomkowi Piastowego rodu. Nawet nieszczęsny Mieszko pod koniec swego krótkiego życia zdołał zjednoczyć kraj, by oprzeć się drapież-

nym sąsiadom. Po jego śmierci zaczęły rozdzierać Polskę przeciwstawne siły, aż bezkarny najeźdźca pojednał je we wspólnej niedoli. Kto przeżył, wracał teraz na ruiny i zgliszcza, by choć dach sklecić nad głową przed zbliżającą się zimą.

Awdańce najmniej ucierpieli, opustoszałe Skarbno zaludniło się znowu, ale zapasy się wyczerpały, zbiory niemal w całości przepadły, po klęsce wojennej zapowiadała się klęska głodu.

Palatyn Michał, ustawicznie w rozjazdach, łowy zarządzał po lasach, połowy w rzekach i jeziorach, by zabezpieczyć nie tylko siebie i swoich na najbliższą przyszłość, ale i spokojną ludność obszernych ziem będących we władaniu Awdańców, wracającą teraz na swe dawne, często zniszczone siedziby. Trosk mu nie brakło, żniwa przepadły, niemal nigdzie nie było zboża na siew, już zresztą spóźniony. Ale i przyszłe nie obiecywały chleba, dobrze jeśli starczy pieczonej rzepy. Wracał do domu nieraz późną nocą i myśl jego kierowała się ku dalszej przyszłości, która ciemna była. Jeśli nawet kraj dźwignie się po doznanej klęsce, to jeno po to, by znowu stać się łupem drapieżnych sąsiadów. Myślą wracał do młodości, gdy pod wodzą Chrobrego pomagał wykuwać wielkość i potęgę państwa, postępując w godnościach, by za drugiego Mieszka jako pierwszy dostojnik królestwa pomagać mu dźwigać odpowiedzialność za całość, a teraz oglądać ruiny i państwa, i własnego życia. Mimo woli kierował myśl do ostatniego potomka Piastowego rodu, który wygnany żyje gdzieś na obczyźnie i zapewne nie troszczy się już o losy niewdzięcznego kraju.

Jednego wieczora, wróciwszy z objazdu, zastał w domu brata, a wraz z nim jakiegoś młodego człowieka, który się Zbywojem oznajmił. Palatyn słyszał o nim. Był rycerskiego rodu, ale pojawiwszy córę przypisańca nie cieszył się mirem wśród rycerstwa, odrzekł się go nawet własny ród. Palatyn był nieco zdziwiony, po co go brat przywiódł, nie przystało jednak wypytywać gościa. Sprawę wyjaśnił Skarbek, mówiąc:

- Zbywój próbował wojować przeciw najeźdźcy spółem z Witoszą. Co zdziałali, niechaj sam opowie, bo może być ważne.

- Co ninie robi Witosza? - zapytał Michał, a Zbywój odparł:

- Zwólcie, że rządnie opowiem.

Nie zmieszany się zdał ni chłodnym przyjęciem, ni godnością palatyna i ciągnął:

- Co Witosza zdziałać usiłował czasu najazdu, wiecie, boście nas napotkali. Niewiele, bo jeno do trzystu luda przy nas ostało, a ninie rozeszło się wszystko, kaźden rad wrócić pod dach na zimę, a nie wszędy ostał. Nie wracali radośnie, bo i radować się nie było z czego, ale nie gadali nic. Może im i wstyd było, że sami rękę przyłożyli do tego, co się stało, a może i ze strachu przed Witoszą. Ale babom gęby nie zamknąć. Wiadomo im było, że Witosza po Bolkowej śmierci gromadom przywoził i jego widno winująza to, co się stało.

- Was nie, boście też byli jednym z przywódców? - zgryźliwie zapytał palatyn, ale Zbywój nie zmieszany, odparł:

- Winnych nie zliczyć. Trzymałem z prostym narodem, bo widziałem, że mu się krzywda dzieje, a już z Kościoła tyle miał, że dziesięcinę płacić musiał.

- Wiele wy wiecie, na co nam Kościół potrzebny - wtrącił palatyn, ale Zbywój odparł:

- Iście nie wiem, ale i prosty naród nie wiedział, tedy się podniósł. Prawie jednakowoż rzekła jedna niewiasta: raniej nas jeno doili, ninie zarżnięto.

- Iście tak, jeno po co mi to mówicie?

- Jakowyś ład zaprowadzić trzeba, nie taki, to inny. Nie stało królewica Bolka, ostał jeszcze Kazimierz.

Michał zaśmiał się gorzko:

- Nie ostał! Wygnano go.

- Nie prosty naród go wyganiał. Słać do niego, uprosić, by wracał, bośmy jako owce bez pasterza.

Zaległo milczenie. Palatyn sam już o tym myślał. Ale gdyby nawet Kazimierz zgodził się wrócić, nie pozwoli mu matka, a on jest chyba ostatni, który mógłby przekonać królową, gdy wprost odmówił jej prawa mieszania się w sprawy Polski. Powiedział:

- Słać można. Za Kazimierza nie mogę rzec, zechceli wracać lubo nie. Przecz mi to mówicie? Ja w poselstwie nie pojedę, bobym jeno

zaszkodził. Brat mój także nie, bo nikomu nietajne, że za Bolkiem stał. A ze wszystkim zali wiadomo, jak by Kazimierza prosty naród powitał, bo iście gdyby zgodził się wracać, to po to, by zburzony ład przywrócić, Kościół odbudować, i to z cesarską pomocą. Wždy nikto u nas obcych rad widzi, a pirwe Niemców, i o to się zaczęło. Zbywój jednak odparł:

- Tonący nie zwykł pytać, kto mu rękę podaje. Ja za prosty naród mogę dać porękę. Zali się Kazimierz spodoba wielmożom, a już pirwe Mojsławowi, jen się książęciem Mazowsza uczynił, nie wiem. Ale jeśli ostała w kraju jakowaś siła, to u was i tak mniemam, że wespriecie królewica. Wśród krewniaków i swojaków najdziecie chyba zdanego do poselstwa człeka, a z zasobów jeszcze was stać, by poselstwo zaopatrzyć.

Palatyn zamyślił się i po chwili zwrócił się do Skarbka:

- Co o tym myślisz?

- Zbywój praw jest, że tonący nie pyta, druh mu rękę podaje zali wróg. Uda się, będzie jakowaś nadzieja, nie uda się, nie będzie gorzej, niżli jest. Jaskotel mógłby jechać, zawždy na uboczu siedział, tedy królowej nie krzyw. Sam także nie pojedzie, poczet mu przysposobić należy. Aćby i syna zabrał, niechaj się otrok przyucza nie tylko wojować, ale i posłować.

- Działać, to zaraz - powiedział palatyn Michał, wstając. - Jadziem do Jaskotela. A zwracając się do Zbywoja, dodał:

- Dajecie porękę za prosty naród, jedźcie i wy.

- Ja się nie uchylam, bogdaj się nam powiodło. Pospieszać iście trzeba, jesień już idzie, droga daleka, a wracać nam przed zimą.

Zaczęło się pełne napięcia oczekiwanie. Palatyn krzepił się wspomnieniem rozmowy z Kazimierzem. Nie jest mściwy, jeśli wróci, to nie karać, jeno kraj z ruin odbudować.

Niemal jednocześnie z poselstwem do Kazimierza wyruszało do Rzymu poselstwo arcybiskupa Stefana ze skargą do papieża na Brzetyśława o świętokradztwo, rabunek, zniszczenie kościołów i rzeź bez-

bronnych. Gdy arcybiskup zwrócił się do Bogułała Toporczyka, by dla bezpieczeństwa dostarczył poczet dla duchownych jadących w poselstwie, Bogułał powiedział niechętnie:

- Poczet wam mogę dać, ale ni denara, bobym jako do studni wrzucił. Widno wam za dużo ostało po onej chąsbie¹. Do Rzymu jechać bez pieniądza, to jakoby na słońce dmuchać, by je zgasić. Brzetysław zasię więcej może zapłacić z tego, co u nas zrabował. I czego się spodziewacie? Że Benedykt mu wojnę wypowie?

- Nie wojnę wypowie, jeno kłątwą mu zagrozi - odparł arcybiskup - a w ostatku cesarza nakloni, któren takóž nierad widzi, jak się Brzetysław umacnia, by zrzucić zależność.

- Czyńcie, co wam się zda - powiedział Bogułał - a ja wiem, że na moje wyjdzie.

Arcybiskup nie przekonany nie dał się odwieść od wysłania poselstwa i uprosił samego krakowskiego biskupa Rachelina, by jako znający język i kraj przedstawił Stolicy Apostolskiej skargę na Brzetysława. Mimo iż podeszły już wiekiem, Rachelin podjął daleką podróż i dotarł do Rzymu, gdy w kraju pierwsze przymrozki ścinać już zaczęły brzegi jezior i rzek. Poselstwo zatrzymało się w gospodzie na Zatybrzu i jakby na potwierdzenie przestrogi Bogułała gospodarz, dowiedziawszy się, skąd i po co poselstwo przybywa, powiedział z drwiną:

- Zasobni być musicie, chcąc dopchać się do onego porobnika². A pospieszajcie, pokąd on siedzi na Piotrowej Stolicy.

Rachelin powziął już wątpliwości, czy poselstwo odniesie skutek, ale mimo to postanowił przedstawić papieżowi skargę arcybiskupa. Jeszcze bardziej zwątpił, gdy za uzyskanie dostępu do papieża wydać musiał tak znaczną część przywiezionych zasobów, że z troską myślał o powrotnej drodze.

Nadszedł wreszcie dzień posłuchania. Gdy ujrzał papieża, postanowił przedstawić skargę na Brzetysława, tylko by dopełnić zlecenia.

46

¹ Chąsba - rabunek.

² Porobnik - rozpustnik

Benedykt, z rodziny sprzyjających cesarzowi hrabiów tuskulańskich, liczył lat dopiero dwadzieścia cztery, ale postarzała przedwcześnie jego twarz zdradzała pychę i rozpustę. Raz już uchodzić musiał do Cremony przed nienawiścią rzymskiego ludu, a wprowadzony z powrotem na stolicę przez cesarza, nie zamierzał poniechać świętokupstwa ni rozwiązłego życia. Podał Rachelinowi pierścień do pocałowania i rzekł:

- Słucham was, bracie.

Słuchał obojętnie, gdy Rachelin mówił o popełnionych przez Brzetysława okrucieństwach. Dopiero gdy Rachelin zaczął wyliczać zrabowane przez Brzetysława skarby, zwłaszcza w gnieźnieńskiej katedrze, oczy Benedykta zaświeciły chciwością i słuchał z zainteresowaniem. Gdy Rachelin skończył, Benedykt powiedział:

- Wysłuchaliśmy z uwagą, jakowych to przestępstw dokonać miał Brzetysław. Nie przystoi jednakowoż wydawać wyroku jedynie na podstawie oskarżenia. Jak mówi rzymskie jeszcze prawo: *audiatur et altera pars*. Wezwę Brzetysława, by się sprawił, po czym wydam wyrok po sprawiedliwości.

Podał Rachelinowi pierścień do ucałowania na znak, że posłuchanie skończone i Rachelin wyszedł. Był lepszej myśli. Sprawa zbyt głośna była, by Brzetysław mógł zaprzeczyć. Gdy po powrocie do Krakowa zdawał arcybiskupowi sprawę z poselstwa, obecny przy tym Bogufał powiedział zgryźliwie:

-Nie dajcie nic papieżowi, a za sprawiedliwość się płaci. Raniej obaczycie swoje ucho.

Przewidywanie Bogufała miało się sprawdzić. Benedykt istotnie wezwał Brzetysława, by się sprawił. Brzetysław lepiej niż arcybiskup Stefan wyznawał się na stosunkach w Kurii. Rycerz Tepka, który prowadził poselstwo, otrzymał zlecenie, by nie zaprzeczał temu, co jawne, natomiast by poparł sprawiedliwość papieską odpowiednim datkiem, i sownie zaopatrzone w złoto poselstwo wyruszyło do Rzymu. Tepka umiejętnie rozpoczął od przekupywania zauszniaków pa-

Audiatur et altera pars (łac.) - niechaj będzie wysłuchana i druga strona.

pieża w Kurii i gdy wreszcie stanął przed nim, pewny był już swego. Benedykt przyjął go w asyście synodu, a Tepka z zadowoleniem stwierdził, że nikogo z doradców nie pominął, by zyskać życzliwość i popłaźliwość. Zaczął:

- Najświętszy rządcu prawdziwej wiary i wy, ojcowie, którym dana jest od Boga moc sądenia! Zmiłujcie się nad spowiadającymi z grzechu, oszczędźcie pokutujących i proszących o przebaczenie. Wyznamy bowiem, że uczyniliśmy rzecz niedozwoloną i przeciw postanowieniom praw kościelnych. Lecz czymkolwiek jest to, cośmy uczynili, wiedźcie, ojcowie, że uczyniliśmy to nie z lekkomyślności, lecz dla większego pożytku religii chrześcijańskiej i w dobrej wierze. Lecz jeśli kiedykolwiek popadliśmy w błąd, gotowi jesteśmy naprawić nasze bezceństwo według waszego osądzenia.

Benedykt polecił Tepce wyjść do sąsiedniej komnaty, by się naradzić z obecnymi. Narada nie trwała długo, gdy go ponownie wezwano. Tepka słuchał, uśmiechając się pod wąsem, gdy papież zaczął:

- Błąd nie jest szkodliwy, jeżeli się żałuje. Stawicie się jutro dla wysłuchania wyroku.

Chociaż Tepka pewny był już swego, raz jeszcze odwiedził dostojników Kurii i nazajutrz spokojnie już słuchał, gdy Benedykt przybierając pozór powagi i dostojeństwa, przemówił:

- Tak jak zatwardziałym w grzechu bezbożności srozsza kara zostanie wymierzona, tak uznającym swoją winę i pragnącym pokuty łatwe dajemy przyzwolenie i rany zadane przez nieprzyjaciela opatrujemy lekiem miłosierdzia. Wielkim bowiem grzechem jest rabować cudze dobro, ale większym nie tylko obrabować chrześcijan, lecz jeszcze brać w niewolę i pojmanych sprzedawać jak dzikie zwierzęta. Opowiedziane nam jest przez wiarogodnych posłów, że nazbyt ohydne jest to, czegoście się dopuścili w Polsce. Że zaś nikomu nie wolno przenosić świętego ciała z miejsca na miejsce bez naszego przyzwolenia, o tym świadczą prawa kościelne, a boskie wyroki nakazują, aby tego rodzaju zuchwalcy ugodzeni byli mieczem klątwy. Lecz że uczyniliście to albo przez nieświadomość, albo w dobrej intencji, przykazujemy, aby za tak lekkomyślne zuchwalstwo wasz książę i bi-

skup zbudowali w odpowiednim miejscu klasztor dostatecznie wyposażony wszelkimi kościelnymi użytecznościami i godnościami, aby przynajmniej przed obliczem Boga zmyte było przestępstwo waszej winy.

Tepka słuchał znudzony przydługiego przemówienia, którego treść znał już z góry. Pokornie podziękował za łagodny i sprawiedliwy wyrok, a wychodząc mruknął do siebie:

- Iście sprawiedliwie jest łupem się podzielić. - Miał jedynie wątpliwości, czy cesarz się takim wyrokiem zadowoli. Niemniej by go wykonać, Brzetysław wraz z biskupem Sewerusem natychmiast przystąpili do budowy klasztoru w miejscu zwanym Młada Bolesław, uświęconym męczeństwem świętego Wacława.

Więść o napadzie na Polskę i o wyniku poselstwa Brzetysława doszła do Niemiec, i jak słusznie obawiał się Tepka, młody cesarz nie pozostał obojętny. Groźne poselstwo przekazało Brzetysławowi żądanie wydania zrabowanych w Polsce skarbów, do których jako pan lenny sam tylko cesarz posiada prawo, grożąc wojną, jeśli ich nie wydadzą w wyznaczonym terminie. Skarby przez powtarzanie wieści o nich jeszcze urosły, a trudno było nawet wyjaśnić, gdzie znalazła się spora ich część. Brzetysław zresztą nie zamierzał pozbywać się ich i dla uzyskania zwłoki wysłał do Goslaru, gdzie przebywał cesarz Henryk, rycerza Tepkę, który zręcznie załadził sprawę w Rzymie. Tepka wiedział, że Brzetysławowi zależy tylko na zwłóce, gotów cesarzowi zbrojnie się przeciwstawić. Gdy cesarz w ostrych słowach powtórzył swą groźbę, Tepka z udaną pokorą zaczął:

- Zawsze pod panowaniem króla Karola i jego następców byliśmy i jesteśmy bez uszczerbku naszego prawa. Nasze plemię nigdy nie okazało się buntownicze i tobie we wszystkich wojnach pozostało i zawsze pozostanie wiernie, jeśli tylko zechcesz świadczyć nam sprawiedliwość. Takie bowiem prawo ustanowił Ludwik, syn wielkiego Karola, żebyśmy następcom cesarzy płacili rocznie sto dwadzieścia wybranych wołów i pięćset grzywien. To jest zaświadczone

z pokolenia na pokolenie współziomków i to każdego roku płacimy i chcemy płacić twoim następcom. A jeżelibyś chciał obciążyć nas jakimś ciężarem prócz zwykłego prawa, raczej gotowi jesteśmy umrzeć, niż dźwigać niezwykajne brzemie. Za to zaś, cośmy w Polsce popełnili, odbyliśmy już pokutę wedle sprawiedliwego wyroku Jego Świątobliwości.

W miarę jak Tepka mówił, w cesarzu wzbierał gniew. Podniesionym głosem odpowiedział:

- Ci, którzy rządzą prawami, nie są prawami rządzeni. Prawo, jak się mówi, ma nos z wosku, a król ma rękę żelazną i długą, by mógł je naginać, gdzie mu się podoba. Król Ludwik uczynił, co chciał; jeżeli zaś nie uczynicie, czego ja chcę, pokażę wam, ile mam malowanych tarcz.

Henryk wstał i na pokłon Tepki nie odpowiedziawszy nawet skinieniem głowy, wyszedł z komnaty. Tepka jednak nie zdał się przejęty gniewem cesarskim. Brzetysław uzyskał potrzebną mu zwłokę, by przygotować obronę. Jesień już szła, potem zima, Henryk nieprędko będzie mógł wykonać swą groźbę. Graniczący z Bawarią Czeski Las stanowi niemal nieprzebytą zaporę, szczególnie dla ciężkozbrojnego rycerstwa, niemal bezbronnego wobec ruchliwego i znającego teren przeciwnika.

Wynik czeskiego poselstwa znany był powszechnie i gdy wiadomość o nim doszła do Kazimierza, zamyślił się smutnie. Dziedzictwo jego przodków stało się przedmiotem sporów między obcymi. Coraz częściej myślał o powrocie do klasztoru, a jednocześnie ogarniała go coraz większa tęsknota za krajem dzieciństwa. Wśród swawolnej i lekkomyślnej młodzieży nie znalazł towarzysza, jedynym stał się pacholek Wrocik, ale pogwarki z nim, zawsze o ojczystym kraju, wzmagaly tylko tęsknotę. Wrocik też tęsknił widocznie, raz bowiem zapytał, kiedy wrócą do siebie. Kazimierz nic nie odrzekł. Nie mógł odpowiedzieć, że nigdy, ani zwolnić jedyne go człowieka, z którym rozmówić się mógł po polsku. Rozrywkę w czasie dłużących się, a coraz krótszych jesiennych dni znajdował w klasztorach, w nich księgi, a często i wędrownych mnichów, którzy przynosili wieści ze świata. Zaprzyjaźnił się nawet z kluniackim mnichem Aaronem. Cenił go za zdrowy rozsądek, znajomość ludzi i z żalem myślał, że wkrótce

pożegnać się im przyjdzie. Nie przeczuwał, że zwiąże się z nim do końca swego żywota.

W zimowy już wieczór Kazimierz zbierał się do wypoczynku i na kłęczniku odmawiał wieczorne pacierze, gdy nie wzywany wpadł do komnaty Wrocik i nie zważając, że Kazimierz zatopiony jest w modlitwie, krzyknął:

- Wracamy do domu!

Kazimierzowi zdało się, że się przesłyszał lub że Wrocik spił się, ale pacholek spokojniej dodał:

- Poselstwo do waszej miłości, a po co by, jeśli nie z prośbą byśmy wracali?

Kazimierz nawet nie zapytał, skąd się Wrocik dowiedział. Wstrząśnięty był do głębi i niemal nie spał tej nocy, starając się spokojnie przemyśleć postanowienie, które miało rozstrzygnąć o pozostałym życiu. Na skrzydłach byłby leciał do kraju, ale rozsądek mówił mu, że matka będzie temu przeciwna, a ważniejsze jeszcze pytanie, czy uzyska pomoc cesarza w ludziach i pieniądzech, bez czego w zniszczonym i wyludnionym kraju trudno było coś poczynać. Nie czekają tam na niego możnowładcy, którzy go wygnali, i zbuntowany przeciw wszystkiemu, co trąciło nowością, lud. W napięciu oczekiwał zjawienia się poselstwa, starając się przemyśleć, co mu odpowiedzieć. Wiele zależało od położenia w kraju, nie mniej jednak od zgody i pomocy ze strony cesarza.

Rankiem nie czekał długo; zanim zdążył się przybrać, zjawił się burgraf, oznajmiając, że poselstwo z Polski prosi o posłuchanie. Kazimierz co rychlej zebrał się i wyszedł do wielkiej sali zamku. Został tam męża w sile już wieku i młodzieńca lat niespełna dwudziestu, który ciekawie rozglądał się po otaczających go wspaniałościach. Tego nie znał na pewno, ale przypominał mu kogoś dobrze znanego i nie był zaskoczony, gdy poseł zaczął:

- Jam jest Jaskotel Awdaniec, brat palatyna Michała i wojewody Skarbka, a to syn mój, także Michał. Przysyłają nas z prośbą do waszej miłości, byście raczyli wrócić do kraju, bośmy jako częda bez rodziciela.

Kazimierz odparł z namysłem:

- Wracałbym choćby dziś, ale nie ode mnie to jeno zależy. Wiem, że ród wasz przy przodkach moich wiernie stał, a brat wasz Michał druhem był nawet memu rodzicielowi. Ale dzieło ich ze szczętem zburzono, od podwalin by je odbudowywać trzeba. Nie wątpić, że macierz moja, którą z kraju wygnano, powrotowi memu będzie przeciwna, aleć wygnano i mnie. Odbudować - tylko kto? Ród wasz możny jest, ale na to nie starczy. By ład jakowyś przywrócić, pirwe Kościół odbudować by należało, a skąd wziąć kapłanów, gdy ich do szczętu niemal wybito? Zasię obcych, których nikt rad nie widzi, chyba po to sprowadzić, by im takż los zgotowano.

- Wybaczcie, miłościwy panie, nie od siebie jednakowoż prośbę naszą zanosim - przerwał Jaskotel. - Żywią arcybiskup Stefan i Rachelin krakowski, u Wiślan, gdzie za morawskich czasów krzyż wprowadzono, kościoły nie lud zburzył, jeno Wratisław. Iście na całą Polskę duchowieństwa nie starczy, ale już przywódcy onych gromad, które kościoły paliły i duchownych wytepiły, porękę dają, że nie jeno do posłuchu wróca, ale jako zbawiciela witać was będą, bo nazbyt im swawola dojadła. Nie będę was jednak zwodził, miłościwy panie, ize to łatwe, o co prosim. Pokolenia budowały, co ninie zburzono, pokoleń trzeba, by odbudować. Nie zawżdy ten zbiera, co sieje, ale nie posiać, nikt zbierać nie będzie. Wżdy wasze to dziedzictwo przedziadów, nie ostawicie go na łup somsiadom.

Kazimierz zadumał się. Na sprzeciwy matki nie byłby zważał, ale potrzebna będzie jej pomoc, jak i wstawienie się wuja, kolońskiego arcybiskupa Hermana, by uzyskać zgodę i pomoc cesarza Henryka. Jeszcze i magdeburski Hunfried przeciwie się gotów, roszcząc sobie prawa do misji w Polsce, która równała się podbojowi, jak u Słowian połabskich. Przedłużało się milczenie. Posłowie czekali w napięciu, gdy nagle młody Michał rzucił się do kolan Kazimierza i obejmując je, niemal wykrzyknął:

- Wracajcie nam, miłościwy panie, choćby samojedem. Ni krwie, ni mienia nie pożałujem, wydołamy wszytkiemu.

Kazimierz mimo woli uśmiechnął się i kładąc rękę na głowie Michała, odparł:

- Wierę, że krwie nie pożałujesz, ale nie Iza wylać ją darmo, a łącej z pomocą wydołać niżli bez niej. Jedno wam przyrzec mogę: uczynię, co w mej mocy, jeno cierpliwość nam wszystkim potrzebna.

Pożegnał poselstwo łaskawie, ale powrót nie schodził mu z myśli. Prócz cierpliwości potrzebny był jednak czas. Cesarz Henryk gotował się do wykonania swej groźby przeciw Czechom, na wielkanocne święta zwołując zjazd rycerstwa do Norymbergi, by gdy tylko trawy puszcza, przez Czeski Las od zachodu uderzyć, śląc polecenie do Ekkeharda, margrabiego Miśni, by jednocześnie przez Bramę Morawską uderzył od północy. Nie pora była prosić go o pomoc dla Polski i Kazimierz niecierpliwie czekał na powrót Henryka, śląc tymczasem po matkę, która była jeszcze zajęta przygotowaniem swej siedziby w brauweilerskim klasztorze, by ją, jeśli się da, do poparcia swych zamierzeń nakłonić.

Wcześniej, niż Rycheza przyjechała, przysłała wieść o niepowodzeniu cesarskiej wyprawy, równającej się niemal klęsce. Doświadczony już w walkach Brzetysław, a przestrzeżony groźbą, nie zamierzał w otwartej bitwie dać pola silniejszemu przeciwnikowi. Obronę gotował w górach zarośniętych odwiecznym lasem, pełnym wiatrolomów i wykrotów, o poszyciu nieraz tak gęstym, że nawet przedrzeć się przez nie było trudno, a tym mniej utrzymać jakowyś sztyk.

Z obozu założonego nad rzeką Regnicą Henryk ruszył na wschód, spodziewając się oporu nieprzyjaciela, ale przeszedłszy granicę, nie napotkał jednak nikogo. Zawiedziony, a niezbyt doświadczony, przekonany był, że Czesi na sam widok jego wojsk uciekli. Zagniewany ruszył wojska, ale gdy tylko weszły w górski las, pozostawiając konie jako nieprzydatne, złamały się szyki, gdyż często człowiek nie widział idącego opodal człowieka. Posłuszni rozkazowi darli się mozolnie pod górę, często ostatkiem sił, gdy słabsi coraz pozostawali w tyle, i w zupełnej rozsypce osiągnęli pierwszy szczyt, nie napotykając jednak żadnego oporu. Tutaj Henryk pozwolił na krótki wypoczynek, nie czekając nawet, by dociągnęła reszta. Wypoczynek nie

przywrócił nienawykłym do pieszego marszu sił, niejeden porzucił zbroję i tarczę, by sobie ulżyć w dalszym marszu. Darli się więc znowu pod górę, lecz nie uszli daleko, gdy prócz naturalnych przeszkód napotkali na przesiekę. Przedzierali się przez nią ostatkiem sił, gdy zrazu pojedyncze okrzyki, a zaraz potem jeden ogromny wrzask, zwielokrotniony echem, rozległ się po lesie. Brzetysław dobrze obliczył: wyczerpane do cna niemieckie rycerstwo ani chwili nie zdołało stawić oporu wypoczętym Czechom. Z rzezi ocalał tylko ten, kto nie zdążył dociągnąć, a teraz uchodził, rzucając po drodze nie tylko zbroję i tarczę, ale nawet broń. Klęska była zupełna. Sam cesarz, idący z tyłu, z trudem dotarł do koni i tylko temu zawdzięczał, że uszedł z życiem. Niewiele zmieniło się położenie, że Ekkehard na czele Sasów, wtargnąwszy od północy, spustoszył część kraju nad rzeczką Biliną. Gdy doszła go bowiem wieść o klęsce cesarza, wycofał się co prędzej, i Brzetysław otrąbił pole.

Skutki niespodziewanej klęski Henryka okazały się jednak pomyślne dla zamierzeń Kazimierza. Henryk nie mógł dopuścić do takiego wzrostu siły Brzetysława, by zrzucił niemiecką zależność, do czego jawnie zmierzał. Łupy zagarnięte w Polsce i zajęcie Śląską umocniły go tak bardzo, że przyłączenie do Czech bezbronного kraju mógł urzeczywistnić w każdej chwili. Ochłonawszy z rozdrażnienia spowodowanego klęską, cesarz rozważać zaczął chłodno, jak temu zaradzić, i na myśl przyszedł mu Kazimierz. Nie chciał jednak pochopnie postanawiać i wezwał do Goslaru arcykanclerza i kolońskiego arcybiskupa Hermana, by się z nim naradzić.

Od czasu przybycia poselstwa z Polski Kazimierz żył w podnieceniu. Myślał tylko o tym, jak wykonać swe przyrzeczenie. Byłby wracał nawet bez cesarskiego zezwolenia i pomocy, rozsądek jednak mówił mu, że i z pomocą trudne podejmuje zadanie. Wuj Hermana dotychczas nie znał, żywił jednak nadzieję, że znajdzie u niego poparcie dla swej prośby. Że matka będzie jego powrotowi do Polski przeciwna, tego był pewny, zostawił jej przeto tylko wiadomość, że wyjeżdża do Goslaru i wyruszył.

Ku swemu zaskoczeniu zastał matkę w Goslarze, która tu przyjechała wraz z bratem. Widocznie wiedziała o poselstwie z Polski wzywającym syna do powrotu i domyślała się, że będzie prosił cesarza o pomoc. Mimo zakonnego już stroju nie zmieniła się nic. Wyniosła i władcza, uzyskała już pozwolenie cesarza na używanie tytułu królowej mimo rozvodu z Mieszkim i zrzeczenia się przez niego godności królewskiej. Po powitaniu i przedstawieniu Kazimierza bratu, powiedziała bez wstępu:

- Uprosiłam miłościwego pana, by ci w łasce swojej lenno jakowe nadał, a tymczasem, jeśli ci się cni, miast w księgach siedzieć, których zadość już czytałeś, dziedzictwem się zajmij po moich rodzicielach.

Kazimierz zarumienił się, ale odparł stanowczo:

- Żadne dziedzictwo wujów lub matki nie może być posiadane sprawiedliwiej i zaszczytniej niż ojcowe.

Gniewna zmarszczka przecięła czoło królowej, ale pohamowała złość i rzuciła gniewnie:

- Ojcowe dziedzictwo! Nie jeno mnie z niego wygnano, ale i ciebie. Lud wiarołomny, krześcijaństwu przeciwny, niepomny moich dobrodziejstw, wiarołomni wielmoże, nawet nie pomyśleli, by opór stawić napaści...

Spojrzała na brata, jakby oczekując jego poparcia, ale Herman milczał. Patrzył na siostrzana, jakby ocenić chciał, czy podola zadaniu, jakie chce podjąć. Niejednokrotnie z niepokojem myślał, że może nastąpić połączenie Polski z Czechami, do którego omal nie doszło za Henryka drugiego. Połączone stanowiłyby potęgę, na zawsze kładąc kres zależności od cesarstwa. Gdy Rycheza czekała widocznie na jego odezwanie, powiedział:

- Nie po to Kazimierz z klasztoru wyszedł, by na niczym czas trawić. W kwiecie jest lat, czas o jego przyszłości postanowić. Zważywszy wszystko, niechaj miłościwy pan o niej rozstrzygnie. Nie mieszkając, o posłuchanie poproszę.

Gdy Rycheza zabierała się jeszcze do wypowiedzi, zakończył:

- Za młodu człek śmiały jest, z siłami się nie liczy. Zmiarkuje Kazimierz, że nie wydoi temu, co wziął przed się, zawždy powrócić

może. A wydoli, zasługę będzie miał przed Bogiem i Kościołem, krzyż w onym pogańskim kraju przywróciwszy.

Posłuchanie u cesarza nie trwało długo. Gdy Kazimierz prośbę swoją przedstawił, cesarz Henryk odparł:

- Przyrzekłem twej macierzy, że ci lenno jakowe nadam. Chcesz je sam dobywać, nie będę się przeciwiał. Dam ci hufiec pięćset rycerstwa, duchownych zasię, których ci będzie brak, niechaj magdeburgski Hunfried dostarczy, bo jego to sprawa.

Kazimierza zarówno pobyt w klasztorze, jak i w niewoli węgierskiej nauczyły już milczenia. Nie o lennie cesarskim myślał, lecz o niezależnym państwie Chrobrego, a nieobce też były mu roszczenia magdeburgskiego arcybiskupstwa do misji *ultra Salam et Albam* na podstawie sfalszowanego przywileju. Nie darmo wielki Mieszko sprowadził z Rzymu Jordana, by się od zależności od niemieckiego Kościoła zabezpieczyć. Nic więc nie odrzekł, lecz z podziękowaniem do ręki cesarskiej się pochylił, a Henryk uściskawszy go, rzekł:

-Szczęść ci Boże, krewniaku. A nie wydolisz, wracaj. Najdzie się coś innego dla ciebie.

Pożegnanie z matką było dla Kazimierza bolesne, wiedział, że nie ujrzy jej więcej. I ona przeczuwała to widocznie, ale nie okazując wzruszenia, powiedziała tylko:

- Sam wbrew mej woli postanowiłeś o swym losie, ale niech ci towarzyszy matczyne błogosławieństwo.

Kazimierz nie zwlekał z wyjazdem, chcąc przed jesiennymi słotami odbyć podróż, niemniej wolał uprzedzić Awdańców o swym powrocie. Z radością powitał zgodę Aarona na podjęcie misji w nieznanym kraju i towarzyszenia sobie, a zawiadamiając o tym opata w Cluny poprosił go jeszcze o przysłanie do Polski kilkunastu mnichów, wiedząc, że mniej niż Niemcy będą drażnić pospólstwo. Już w drodze uczył Aarona polskiego języka, radując się, że przyswaja go sobie szybko.

¹ *Ultra Salam et Albam* (łac.) - za Salą i Elbą (Sala - lewy dopływ Elby; Elba - łac. Albis, czes. Łaba).

Wieść o rychłym powrocie Kazimierza do kraju, oczekiwana z niepokojem, wprawiła Awdańców w podniecenie. Mimo zapewnień Zbywoja, że lud udreńczony już jest bezładem, który sam rozpełtał, i z utęsknieniem wygląda kogoś, kto by go wziął w obronę przed napaściami sąsiadów i zbójceckich gromad, wątpliwe było, jak powita Kazimierza z niemiecką pomocą. Należało Zbywoja uprzedzić, a zarazem pomyśleć o tymczasowej siedzibie dla Kazimierza. Poznań i Gniezno całkowicie zniszczone, daleki Kraków mniej wprawdzie ucierpiał i Starze zdążyli już gród odbudować, ale oni najmniej chyba oczekują nowego pana. O Mazowszu przedwcześnie nawet myśleć, pokąd się sił nie zbierze dostatecznych, by Mojsława zmusić do posłuchu.

Palatyn Michał jednak myślał i o tym. Własnych sił nie odbuduje się rychło, należało się obejrzyć za sprzymierzeńcem. Mojsław się samodzielnym księciem Mazowsza uczynił, urósł jeszcze w siły przez zbiegów z pogrążonego w zamęcie kraju, ubezpieczył się od wschodu i północy przez układy z sąsiednimi poganami, walka z nim łatwą nie będzie. Gdy jednak zaczął o tym mówić z bratem, Skarbek odparł:

Myśleć można, jak dach ustawić na domostwie, ale raniej o ścianach, gdy jeszcze nie wyszły z podwalin. Pirwe jak Kazimierza przyjąć i powitać, by widział, żeśmy go nie zwiedli i cały naród rad go widzi.

- Iście o tym pirwe nam pomyśleć, na granicy go powitać przystoi. Niechaj to brataniec nasz. uczyni, Kazimierzowi widno do sierdca przypadł, młody młodemu bliższy. Zdałoby się jednakowoż i prosty lud wysłać na jego przyjęcie, poręczał za niego Zbywój, niechaj on o to zadba. My mu tu w Skarbnie przygotujemy gościnę, ale dotąd dobrze, pokąd na głowę nie leje, bo sam jeden takóž nie przyjedzie. Rozglądać się trzeba za jakimymś grodem, gdzie mógłby do czasu osiąść, pokąd się po kraju nie rozejrzy i sam nie postanowi, gdzie założy stolicę.

Palatyn wrócił do swej myśli o przymierzu i podjął:

- Kazimierz jeszcze bezzenny jest, czas mu pojąć niewiastę, a lękam się, by mu Rycheza jakowejś niemieckiej księżniczki nie zaswalała, bo zadość ich było. Ku Rusi nam spoglądać, mowę mają do

naszej podobną, a i to ważne, że na wschodniej granicy spokój będzie, gdy z Mojsławem rozprawiać się przydzie.

- Jeszcze Kazimierza nie ma, nie pora go swatać, i to nie rychlej, aż się Jarosław przekona, że się w kraju ostoi - odparł Skarbek. - Swojego on także będzie patrzył i na przepadłe córki ni siostry nie wyda. Czas będzie o tym myśleć, gdy Kazimierz wróci i po kraju się rozejrzy. Raniej nam o tym rozprawiać, co dzisiaj a jutro. Michał niechaj, nie mieszkając, pod Kostrzyn rusza i tam Kazimierza czeka, poczet mu zgotować trzeba, a nam spyży ściągnąć, ile się da, bo nie wiada, jak długo gościć mu tu przydzie.

Istotnie braciom nie brakło zajęcia, mimo to jednak dłużył się czas oczekiwania. Jesień już szła, późna choć pogodna, ale każdego dnia zacząć się może ślota. Wreszcie w słoneczne południe zjawił się konny goniec od Michała z zawiadomieniem, że księcia z orszakiem można wieczorem tegoż dnia oczekiwać. Wypytany oznajmił, że towarzyszy mu pięćuset rycerstwa, prócz służby przy podwodach ze spyżą i wyposażeniem, jakiego mu udzieliła królowa. Skarbek tylko mruknął gniewnie:

- Choć tyle się wróci z tego, co od nas wywozła.

Palatyn jednak zdał się zakłopotany. Dla takiej ilości ludzi nie starczy miejsca nie tylko na gródki, ale i po osadach, zajętych przez hufiec Biegana. Skarbek jednak powiedział:

- Przyjedzie Kazimierz, uradzim, co z nimi, pirwe pomyślmymy o koniach, bo noce już zimne. Ludziom nic nie będzie, bo namioty pewnikiem wiodą ze sobą, a drewna im nie braknie. Nam zbierać się, by Kazimierza powitać i w gościnę go zaprosić, jeno się waguję, czy mnie rad widzieć będzie, bo wiedzieć musi, iż zawsze za Bolkiem stałem.

- Jak go znam, nie takie przewiny wybaczy, nawet tym, co go z kraju wygnali - odparł Michał. - Idzi sprawdzić, czy wszystko na przyjęcie gotowe i ruszać nam naprzeciw.

- Tak mniemasz, tedy i po Biegana nam ślać. Prawda, że do pośledniego dnia wiernie Bolkowi służył, ale porękę mogą dać za niego, że i nowemu panu wiernie służył będzie, a człek doświadczony

i potrzebny. Dobrze byłoby, gdy Kazimierz po kraju się ruszy, by nie samych jeno Niemców miał przy sobie.

Niedługo trwało, gdy Skarbek wrócił, dosiedli koni i przez otwartą bramę wyjechali na łęg dzielący gródek od lasu. Nie ujechali jednak ni stajania, gdy z lasu wysuwać się zaczęły gromady konnych, a na przedzie w niewielkiej grupce domyślili się księcia i kłusem ruszyli naprzeciw. Dojechawszy na kilkadziesiąt kroków zeskoczyli z koni, by jak przystało pieszo powitać pana, a Kazimierz domyślając się również, kogo ma przed sobą, popędził konia. Pierwszy przystąpił palatyn Michał i zaczął:

- Nie jeno zaszczyt, ale i radość, jakoby nam słońce wzeszło. Pokornie pod dach was prosim, jen i waszym jest, jako i wszystko w tym królestwie.

Kazimierz podał palatynowi rękę, którą ten ucałował, i uśmiechając się smutnie, dodał:

- Widzę, iż niewiele dachów w nim pozostało, tedy z waszej gościny wdzięcznie skorzystam, pokąd się inny dla mnie nic znajdzie. Aleć nie jeno z dachu, ale i doświadczonej rady druhów mego rodzica.

To mówiąc rękę do Skarbka wyciągnął, a wskazując na młodego Michała, dodał:

- Z waszego plemienia już sobie druha przysposobiłem i rad bych go zatrzymał, gdy wam spocząć przydzie po trudach burzliwego żywota. Nie pokojniejszy i nam się ściele, ale łącniej trud dźwigać, gdy jest z kim go podzielić. - Wskazując zaś na jadącego na wozie duchownego, powiedział:

-I to mój druh, zechciejcie się i z nim poznać. Z dalekiej jest Burgundii; jak słyse, niewielu tu kapłanów ostało, a nie jeno dachy odbudować trzeba. Ale o tym uradzać czas będzie.

Skarbek skinął na młodego Michała, by od stryjów konie odebrał, a sam wraz z bratem ujęli wodze książęcego konia i prowadzili do dworca. Zaroiło się na gródku, a w miarę jak zapadała ciemność, setki ognisk obozu łuną rozświetliły niebo. Niewiasty krzątały się przy wieczery, a po niej Kazimierz długo w noc słuchał o dziejach kraju podczas swej nieobecności. Wracając na ojcowiznę zdawał sobie

sprawę, że zadanie, jakiego się podjął, łatwe nie będzie, ale po tym, co usłyszał, zrozumiał, że życia mu może nie starczyć na jej odbudowę. Długo nie mógł usnąć, rozmyślając, od czego poczynać. Otuchy dodawała mu radość, z jaką witano go po drodze, mimo że prowadził z sobą niemieckie rycerstwo. Nie może zawieść ludu, który mu zaufał.

Wiść o powrocie Kazimierza lotem rozeszła się po kraju. Po krótkim pobycie w Skarbnie osiadł w odbudowującym się Kaliszu, niezbyt zniszczonym najazdem Brzetysława, by tam spędzić zbliżającą się zimę i rozpatrzyć się w położeniu. Objężdżając najbliższe okolice, wszędzie spotykał się z radosnym przyjęciem prostego ludu, który w poczuciu bezpieczeństwa rażno wziął się do odbudowy zniszczonych przeważnie osad. Mniej radośnie witali go możnowładcy, z których niejeden przyczynił się do wygnania Kazimierza, lecz teraz spieszyli z hołdem, niepewni, jak ich przyjmie. Łagodny z usposobienia, nie dał poznać po sobie, że wie, czym wobec niego zawinili, przyjmował ich łaskawie, nie tylko w przekonaniu, że winnych jest zbyt wielu, by karać, lecz że wyrozumiałością można z wroga uczynić przyjaciela. W miarę jak poznawał ludzi, wyznaczał komesów dla leżących przeważnie w ruinie grodów z zadaniem ich odbudowy, a z ustaniem jesiennych słońc, gdy mróz ściał bagna nad Notecią, postanowił obrzydzić Pomorcom zwyczajne napaści, które były powodem, że w obawie przed nimi kraj na północnej granicy niemal się wyludnił. Przygotowania łatwe nie były, z drużyn stojących ongiś w Poznaniu, Gieczu i Włocławku pozostał tylko hufiec pod Bieganem, co było w Gieczu, uprowadził Brzetysław, a włocławską miał w ręku Mojsław, do którego w czasie zamętu uszło wielu rycerstwa. Najtrudniej było o zebranie pieszych sił, łuczników i tarczowników. Doświadczenia wojennego Kazimierz nie miał, lecz poniesiona przez cesarza Henryka od Czechów klęska uświadomiła mu, że w lesistej okolicy niczego jazdą nie zdziała. Potwierdził mu to doświadczony Biegan, gdy z nim omawiał przedsięwzięcie, mówiąc:

- W otwartym polu pancerny rycerz za dziesięciu pieszych stoi, w lesie koń jeno zawadą, a pancierz niepotrzebnym brzemieniem. Nie wiem, zali zamierza wasza miłość jeno napaść odeprzeć lubo uświadomić pomorskiemu Ziomomysłowi, że kres już napaściom na bezbronnych. Jeśli radzić wolno, ja bych jego dziedzinę najechał, czego się pewnikiem nie spodziewa. Rodzic wasz pod koniec swego żywota zapadnie Pomorze zholdował, zda się przypomnieć Ziomomysłowi, że przysięgę dłuhen jest także jego dziedzicowi.

- Nie wiem, zali już pora na to - powiedział Kazimierz zamysłony gdy jeszcze od Wiślan nikto się nie pojawił i nie wiada, zali posłuchu nie trzeba będzie siłą dochodzić.

- Trzeba będzie i to uczynim - odparł Biegan. - Może pomorska wyprawa starczy za przykład, iże opierać się nie warto. Jeśli nawet nie /holdujem Ziomomysła, dowie się, że pan jest w kraju i kres napaściom.

- Uczynię, jak radzicie. Tedy na was zdaję przygotowania.

Biegan gorliwie i wprawnie zajął się nimi, a dowiedziawszy się o zamierzonej wyprawie młody Michał Awdaniec zjawił się z prośbą, by mu zezwolono wziąć w niej udział. Książę, uśmiechając, się rzekł:

- Rodem kurki czubate. Ja bych się nie przeciwiał, ale przyzwolenia rodzica zasięgnąć by przystało.

- Wždy po to mnie rodzic strykom oddał, bych się do wojny zaprawiał - odparł Michał. - Rodzic mój słabego zdrowia, sam wojować nie mógł, widno mam i za niego odrobić i nie pirwy raz stawałem. Pono nie najgorzej - dodał, rumieniać się.

- Wierę - odparł Kazimierz -jeno doświadczenia ci brak, ale jeno w wodzie uczy się człek pływać. Męstwo jest zaletą wojaka, ale przywódca myśleć musi, nie jeno jak wrogowi dobrać się do gardła, ale dbać o oręż, o każdego człeka czy konia. Bacz, co Biegan będzie poczyniał i ucz się. Pewnikiem wkrótce samemu ci przywodzić przydzie, a włość to nie jeno wojowanie; ale i do niej winieneś się zaprawiać, gdy twemu strykowi czas będzie poczywać, a czas bieży szybko.

Kazimierzowi czas istotnie nie dłużył się. Niemal dnia nie było, by nie jawili się dawni groddzierzcy, którzy dowiedziawszy się, że Kazimierz nie szuka pomsty za wygnanie matki i własne, woleli spr-

wować władzę z ramienia księcia, niż samodzielność, która się klęską skończyła. Ale nie tylko dachy odbudować należało. Poniszczone mosty, nie uczęszczane drogi, gdy ustał handel, często już samosiewem zarosły, a zbójceckich gromad namnożyło się, które wytepić należało. Kupcy rychło dowiedzą się, że książe ład zaprowadza w kraju, ale nierychło będzie czym handlować. Wyprawa przeciw Pomorcom zakończyła się pomyślnie, Biegan odesłał licznych jeńców i zawiadomił, że obsadził załogami zniszczone i opuszczone grody nad Notecią, Santok, Drezenko, Wieleń i Czarnków, a spokojna ludność może już wracać na swoje siedziby.

Gorzej przedstawiała się sprawa Pomorza Gdańskiego. Sprzymierzony z nim Mojsław nie tylko nie bronił kraju przed pomorskimi najezdami, ale je popierał, dzieląc z nimi łupy. O powrocie Kazimierza miał już wiadomość, nie wątpił, że Kazimierz kiedyś o swe mienie się upomni, im słabszy będzie, tym pewniej on na Mazowszu czuć się może. Toteż najazdy pustoszyły nie tylko Kujawy, ale dochodziły aż do Sieradza i Łęczycy. Kazimierz na razie czuł się bezradny. Siły miał zbyt szczupłe, by je rozpraszać, a do granicy Gdańskiego Pomorza zbyt daleko było, by w porę nadażyć z odparciem napaści. Pokąd nie będzie miał pewności, co z Wiślanami, nawet myśleć nie może o rozprawieniu się z Pomorzanami i Mojsławem. Zima mijała, powszedni dzień przynosił dość troski, by na przednówku ludności nie wyniszczył głód, a tymczasem z możliwych rodów: Jastrzębców, Strzemińczyków, a zwłaszcza przemożnych Starzów, nikt, się z hołdem nie zjawił. Powstawała wątpliwość, czy podobnie jak Mojsław, nie chcą stworzyć własnego księstwa, uważając się za potomków władców Wiślan. W ochrzczonym przez wielkomorawskiego Świętopełka kraju Wiślan chrześcijaństwo głębiej już zapuściło korzenie, mniej zniszczony reakcją pogańską i najazdem Brzetysława dźwigał się prędzej niż inne dzielnice, ocalało w nim nieco duchowieństwa, stąd należało rozpocząć odbudowę kościelnej organizacji, nie mniej ważnej niż państwowej. Po pracowitym dniu Kazimierz niejedną też wieczór spędził na naradach z Aaronem, który nakłaniał królewicza do cierpliwości w oczekiwaniu na spodziewane przybycie mnichów

benedyktyńskich z Cluny. Klasztory w Międzyrzeczu i Trzemesznie były zniszczone, mnisi jeśli nie zginęli, to rozpieczęli się, przyszlą siedzibę opactwa obrać należało w stosowniejszym miejscu, a przed rozpoczęciem misji poczekać, by przyswoili sobie język polski, którym sam Aaron już niemal biegle władał.

To samo było troską arcybiskupa Stefana. Znaczną część zasobów, jakie ocalały przed rabunkiem, wydał na poselstwo Rachelina do Rzymu, po to, by się przekonać, że nie szukać tam sprawiedliwości. Brzetysław za część zrabowanych skarbów kupił sobie wyrok, jaki mu był potrzebny, nie zwróci ani denara, a bez pieniędzy myśleć nie można nawet o odbudowie leżącej w gruzach krakowskiej katedry. Szkoła założona przy katedrze przez Rachelina dla kształcenia krajowego duchowieństwa również została zniszczona, a wychowankowie się rozbiegli. Postarzały i zniechęcony zmarnowaniem dorobku swego życia i krzycząca niesprawiedliwością Kurii rzymskiej Rachelin nie miał już sił ni ochoty do pracy. Z duchowieństwa większość rozproszyła się również, mimo iż przybyło nieco zbiegłego z Poznania i Gniezna, jakie ocalało przed rzezią. O powrocie Kazimierza arcybiskup miał już wiadomość, pewny był też, że Henryk i matka musieli go zaopatrzyć, wiedząc, w jakim stanie musi być kraj po buncie pogaństwa i najeździe Brzetysława. Dziwił się, że Kazimierz obrał siedzibę w najbardziej zniszczonej części kraju i stąd rozpoczyna jego odbudowę. Z biegiem czasu jednak, gdy doszły wieści, że uładził już sprawy na zachodzie i północy, nie tylko dziwił się, ale nawet miał Kazimierzowi za złe, że niczego nie czyni, by rozpocząć także odbudowę organizacji kościelnej, do czego dzielnica Wiślan najlepiej się nadawała. Było w sprawie coś niejasnego i Stefan wyruszył do Krakowa, by się rozmówić z Rachelinem.

Biskup jak się dało zdołał przysposobić kościółek św. Michała na tymczasową katedrę, sam jednak osiadł na Okole i tam go zastał Stefan.

Rachelin, dawniej czynny i ruchliwy, zdał mu się osowiały i zniechęcony, jakby się postarzał i pochylał. Na zapytanie, co mu dolega, odparł:

- Sił nie mam, a pomocy znikąd. Taki jeśm jak ta moja katedra - wskazał na gród. - Mniemałem, że skoro Kazimierz wrócił, zadba

i o Kościół. Do dziś dzień ani się nie zjawił. Może i dlatego, że Bogułał po śmierci Jędrzeja sam się grodzodzierzcą uczynił i nie jeno nie spieszy, by choć o zatwierdzenie na urządzie zabiegać, ale bogdaj siłą się przyjazdowi Kazimierza oprzeć gotów.

- Co prawisz, bracie? Zaliby Mojsława naśladować umyślił? - gniewnie zapytał Stefan. - Zajdę ja do niego zapytać. Jestli na grodzie?

- Nie wiem. Albo tu, albo w swej Morawicy - odparł biskup. - Nie szuka ze mną spotkania.

- Dowiem się - powiedział arcybiskup. - Tak czy inaczej słać będę do księcia, niechaj wie, że my tu na niego czekamy. Nie wierę, by nie stał o odbudowę Kościoła, musiał i o tym pomyśleć nie w ostatku, A ty krzep się, bracie. Nie pora rąk opuszczać, choć nie zawsze ten zbiera, co siał.

Pożegnał Rachelina i udał się na gród. Popędliwy był, a chciał się rozmówić spokojnie. Strażnik przy bramie zawiadomił go, że Bogułał jest na grodzie w odbudowanym już stołbie mieszkalnym.

Bogułała zastał przy posiłku. Powitał arcybiskupa obojętnie i wskazując miejsce za stołem, gestem zaprosił do jedzenia. Stefan jednak odparł:

- Nie najadło tu przybyłem, jeno zapytać, czemu nie ślecie do księcia, by was krakowskim komesem zatwierdził?

- Bo mi jego zatwierdzenie niepotrzebne - odparł Bogułał obojętnie. - Zawszy Starze byli krakowskimi grodzodzierzcami, nawet gdy Piastów tu jeszcze nie było. Ma swoich Awdańców, my mu takż niepotrzebni.

- Posłuchaj, krewniaku - powiedział Stefan, hamując się. - Nie wróci, co było, a najmniej nam potrzebna wojna domowa. Kazimierz wyrozumiał jest, nikogo z tych, co Rychezę i jego wygnali, nie pokarał i nawet na urządach ich ostawił. Jeżeli nakłonił się, by wrócić, to po to, by dziedzictwo swych przodków odbudować, a Kościół nie w ostatku. Jeżeli Mojsław nie ukorzy się, przydzie i na niego kolej.

- Jeżeli jeno Kazimierz będzie miał siłę - uszczypliwie powiedział Bogułał - ale Stefan odparł gniewnie:

- Zali na tobie ma jej wypróbować? To wiedz, że ślę do niego, by tu przyjeżdżał, twoja rzecz, jak go powitasz.

- Mniej od krewniaka nie mogłem się spodziewać - chmurno powiedział Bogufał.

- Nie będę się sprawiał, sam wiem, com komu powinien. I ty rozważ sobie, pokaż nie za późno - odparł arcybiskup i wyszedł bez pożegnania, zostawiając Bogufała w ponurym zamyśleniu.

Miał nad czym myśleć. Za wielkiego Mieszka i Chrobrego książe stał nad wszystkimi, prawem była jego wola. Za drugiego Mieszka jednak niejeden z możnowładców uważał, że słabe rządy stwarzają sposobność, by samowolę króla ograniczyć, a przeciągające się bezkrólewie pozwoliło urzeczywistnić niezależność. Najazd Brzetysława spowodował jednak otrzeźwienie. Tylko silne państwo może zapewnić obronę nie tylko prostego ludu. To wiedział i Bogufał, ale niezbyt wierzył, że Kazimierz zdoła je odbudować. Nie posiada sił dostatecznych, by uporać się z samym Mojsławem. Rozważywszy jednak wszystko doszedł do przekonania, że silnemu nie podoba, a z posłuszeństwa słabemu zawsze może się wyłamać, postanowił więc słać do Kazimierza z hołdem i prośbą o zatwierdzenie go w godności komesa krakowskiego grodu.

Arcybiskup natomiast nie czekał, by się Bogufał namyślił i natychmiast wysłał do Kazimierza prośbę, by przybył do Krakowa nad odbudową kościelnej organizacji się naradzić, zapewniając, że najłatwiej rozpocząć ją od krakowskiej diecezji, gdzie pozostało nieco miejscowego duchowieństwa, a także schroniło się ocalałe z innych.

O tym Kazimierz sam myślał, zwłaszcza że doczekał przybycia kluniackich benedyktynów różnych narodowości, a wśród nich był dawny towarzysz Aarona, Anchoras, Szkot z pochodzenia. Wobec zamierzonego wyjazdu Kazimierza do Krakowa, Aaron radził wstrzymać się z budową dla nich opactwa, póki się Kazimierz na miejscu nie rozejrzy.

Pilniejszą jednak była sprawa pozyskania sprzymierzeńca, na co należał palatyn Michał. Kazimierz myślał o życzliwym mu królu węgierskim Piotrze Orseolo, gdy przyszła wiadomość, że Węgrzy

wzburzeni obsadzaniem przez niego urzędów przez obcych podnieśli bunt, na czele którego stanął powinowaty Arpadów, Samson z rodu Aba, i wynieśli go na tron, a Piotr uszedł do cesarza Henryka, spodziewając się od niego pomocy.

Henryk chętnie by widział uzależnienie Węgier, o które bez skutku walczył jego ojciec, ale pilniejszą była sprawa utrzymania zależności Czech, do której zrzucenia wyraźnie zmierzał Brzetysław, upewniony jeszcze zadaną Henrykowi klęską. Brzetysław, przekupionego przez Ekkeharda żupana Biliny Parkosza, ukarał okrutnie wyłupieniem oczu, obcięciem rąk i nóg, po czym żywego jeszcze kazał cisnąć do rzeki, a samego Ekkeharda, który na wiadomość o klęsce cesarskich wojsk słał do Brzetysława o pokój, ciężko znieważył, dając mu trzy dni czasu na ustąpienie z kraju, w przeciwnym razie grożąc, że zetnie mu głowę i twarz przyłoży do swego tyłka.

Nauczony smutnym doświadczeniem, Henryk postanowił tym razem nie rozpraszać wojsk i unikając lesistych obszarów wtargnąć do Czech przez Miśnię razem z Ekkehardem, który również chętnie pomściłby zniewagę. Nie lekceważąc już przeciwnika, Henryk postanowił zebrać wszystkie siły i wysłał do Kazimierza rycerza Fulberta z żądaniem odesłania swego hufca. Zapewniał jednocześnie, że zmusi Brzetysława do wypłacenia odszkodowania za dokonany w Polsce rabunek.

Fulbert zastał Kazimierza już w Krakowie, zajętego przygotowaniami do zaślubin przyrodniej siostry Jarosława. Wobec zawartego z nim przymierza niemiecki hufiec był już zbędny, toteż polecił złożyć Henrykowi podziękowania za pomoc w odzyskaniu ojcowizny i przyrzeczenie upomnienia się o wyrządzone Polsce szkody. Odprawiwszy Fulberta, z niepokojem oczekiwał przybycia oblubienicy, o której wiedział tylko, że zwie się Dobronega i jest córką ostatniej żony Włodzimierza, Greczynki Anny. Starsza była od niego, a niepokoiło go wspomnienie, że małżeństwo ze starszą również od ojca Rychezą nie układało się pomyślnie. Nie było też pewności, czy będąca już w południu swych lat niewiasta urodzi mu następcę. Ale nie pora była na rozmyślania, nie brakło innych spraw. Nie pora też była na

odbudowę zniszczonej katedry Chrobrego, uprzątnięto jedynie gruz i zgliszcza, natomiast ozdobić należało kościółek św. Michała, w którym odbyć się miał chrzest Dobronegi, a potem zaślubiny jej / Kazimierzem. Na chrzest nalegał sędziwy Rachelin, który chrzest wedle obrządku wschodniego za nieważny uważał. Ożywił się nieco po przybyciu Aarona i benedyktyńskich mnichów, mając nadzieję, że przy ich pomocy ruszy odbudowa Kościoła w Polsce, do czego się lepiej nadawali niż żonate przeważnie duchowieństwo świeckie, bardziej dbałe o swe rodziny niż o duszpasterską pracę. Niezbyt widział wśród nich przyszłych biskupów, którzy by nie musieli się troszczyć o swe pokolenie. Jednym z niewielu wyjątków niezonatych był Pietrek zwany Bróg z możnego rodu Leszczyców. Ongiś zawołany wojak, po stracie młodej żony przy porodzie wstąpił do stanu duchowego, ale zawsze jeszcze wojaka przypominał. Toteż gdy w czasie najazdu Brzetysława zbiegł z Gniezna, nie szukał bezpiecznego schronienia przed wrogiem, lecz przyłączył się do próbujących stawiania oporu gromad, nie zalecając się łagodnością, jaka duchownemu przystała. Po odejściu Brzetysława, wobec zniszczenia i wyludnienia Gniezna, zgłosił się w Krakowie do Rachelina, niewielką jednak biskup miał z niego pociechę w pracy duszpasterskiej. Jeżeli umiał coś z łaciny, zdążył niemal zapomnieć, znał wprawdzie litery, ale składał z nich słowa jak szczyrby z rozbitego garnka. Gdy Rachelin rozmawiał o tych sprawach z Aaronem, którego sobie na własnego następcę upatrzył, Aaron rzekł:

- Młody jeszcze jest, przyuczyć się może, czego trzeba. Że do rozkazywania nawykły, to i lepiej. Czas zresztą o tym mówić, pilniejsze, gdzie moich towarzyszy osadzić, by rozpoczęli pracę.

- Sami rozpatrzcie zdatnego miejsca. O niecałe dwie mile od Krakowa jest wyniosła skała nad Wisłą opodal dawnego grodziska, siedziby Starzów. Z książęciem trzeba o tym mówić, by jeńców przydzielił do budowy i posługi. Ninie przygotowaniami do zaślubin zajęty, ale już na dniach oczekuje przybycia oblubienicy.

Kazimierzowi istotnie nie brakło nie tylko zajęcia, ale i trosk. Przyrzekł Jarosławowi zwrócić jeszcze za Chrobrego pobranych jeńców,

poprzydzielanych Kościołowi i rycerstwu do uprawy roli i innych posług. Wielu już pomarło, inni pobrali niewiasty i założyli rodziny, nie zechcą wracać do kraju. Chętnych do powrotu należało wykupić lub w zamian przydzielić pomorskich jeńców. Sprawa była pilna, gdyż poselstwo prowadzące Dobronegę było już w drodze i wracając miało ich zabrać. Z trudem zebrano ich ośmiuset i teraz, równie niecierpliwie jak Kazimierz, oczekiwali przybycia poselstwa.

Ranek był świetlisty, rozmigotany rosą, której nie zdążyło jeszcze wypić pogodne słońce, ruch dopiero zaczynał się na grodzie, gdy do stóp wzgórza w pędzie przypadł jeździec, zwolnił na stromiznie i rzucawszy wodze strażnikowi pobiegł do stołbu. Kazimierz zbierał się właśnie, gdy rozległo się pukanie; nie czekając na przyzwolenie wpadł do komnaty młody Michał Awdaniec i jeszcze zadyszany, zakrzyknął:

- Zbierajcie się, miłościwy panie. Ino ich patrzeć.

Mimo iż Kazimierz spodziewał się nowiny, po którą wysłał Michała, udzieliło mu się podniecenie młodego Awdanca. Pospiesznie wydawał rozkazy, by o przybyciu Dobronegi zawiadomił biskupa i komesa, by wraz z nim stanęli przy bramie powitać nową panią. Wieść o jej przybyciu rozeszła się już po grodzie i pod bramą Kazimierz zastał tłum, zwłaszcza ciekawych niewiast, wśród którego straż usiłowała zaprowadzić ład i uciszyć gwar. Powszechnie wiadomo już było, że Kazimierz zawarł z Jarosławem przymierze i pierwszy z Piastowego rodu małżonkę bierze z Rusi. Obawiano się bowiem, że Rycheza zaszwała mu Niemkę i nie widząc jeszcze nowej pani, z góry darzono ją życzliwością. Niemniej paliła ich ciekawość, jak też wygląda, a nie mniejsza, jakie uposażenie otrzymała od brata. Ale nie o tym myślał Kazimierz, choć zasoby, jakie przywiózł z Niemiec, były na wyczerpaniu. Ten dzień miał przynieść zmianę w jego życiu, z ciekawością łączył się niepokój. Związek ten postanowił zawrzeć, bo był korzystny dla kraju, ale czy jemu przyniesie szczęście, nie wiedział.

Biskup, przybrany już w szaty pontyfikalne, stanął po prawicy Kazimierza, komes Bogufał po lewej stronie, barczysty i wyniosły, z tyłu kręgiem dworscy dostojnicy i duchowieństwo, czekając na przybycie, ale już słychać było zbliżające się okrzyki, którymi lud witał nową

panią i u stóp wzgórza ukazał się pochód, na czele którego jechało kilku brodatych mężów, a za nimi szły wozy otoczone strażą, na pierwszym widać było kilka niewiast, wśród których domyślano się nowej pani. Trwało dłuższą chwilę, nim orszak dotarł pod stromą górę. Jadący na przedzie na kilkanaście kroków przed czekającymi zeskoczyli z koni. Oddawszy je pachołkom, podeszli pieszo i stanąwszy przed księciem trzykrotnie pokłonili się w pas, ręką dotykając ziemi, po czym idący na przedzie zaczął po rusku:

- Jam jest jarl Ruław, a to moi towarzysze bojarzy Wrotysław i Cziudyn. Zaszczyt mamy posłować od wielkiego kniazia Jarosława i przekazać waszej miłości braterskie pozdrowienia. Niechaj družba będzie między nami, pokąd woda płynąć będzie w Dnieprze, wasi wrogowie będą naszymi wrogami, a dostojna siostra wielkiego kniazia niechaj będzie tego poreką. - Znowu skłonił się trzykrotnie i przystąpił do wozu, by pomóc zsiąść Dobronedze, ale ona nie czekając na to zeskoczyła i przystąpiwszy do Kazimierza objęła go i ucałowała, a nim zmieszany zdążył jej oddać pocałunek, pochyliła się do ręki Rachelina.

Dopiero teraz zdołał jej się przyjrzeć. Trudno było uwierzyć, że już dochodziła do południa swych lat. Cerę miała białą i gładką, pod ciemnymi brwiami oczy błyszczące raczej zaciekawieniem niż mieszaniami lub niepokojem. Bardziej zdał się zmieszany Kazimierz, gdy ująwszy go za rękę, powiedziała:

- Prowadźcie mnie. Pewnikiem ucztę zgotowano na przyjęcie gości, a zgłodnieliśmy.

Od pierwszej chwili zachowywała się, jakby miała tu być nie tylko poreką przymierza, a nieobyty w obejściu z niewiastami Kazimierz o tym właśnie myślał i rumienił się. Bliższego niż w Kijowie spodziewał się znaleźć sprzymierzeńca.

Wiść o powrocie Kazimierza i rozpoczętej odbudowie kraju rychło doszła na Mazowsze, powodując poruszenie. Liczni zbiegowie, którzy w czasie pogańskiej reakcji znaleźli tu schronienie, zamyślać zaczy-

nali o powrocie na swe dawne siedziby. Obco tu się czuli, nawet mową różniąc się od Mazurów, niewielu zawiązało tu trwalsze związki, często pozostawiając w starym kraju rodziny, o których losie trudno było nawet się dowiedzieć. Wstrzymywała ich jednak niepewność. Wiadomo było, że Kazimierz wrócił z niemiecką pomocą ze zacieśnieniem od odbudowy kościelnej organizacji; jedno i drugie było przyczyną, że prosty naród, nie po raz pierwszy, powstał przeciw nowościom. Ale Chrobry był dość potężny, by stłumić rozruch, w zamian zapewniając krajowi spokój i dobrobyt. Kazimierz zaś wrócił do kraju zrównanego buntem i najazdem, nie prócz zniechęconych nowości nie ma do zaoferowania, nie było więc pewne, czy się w kraju utrzyma.

Takie wątpliwości żywił nie jeno Mojsław, nie przejmując się jednak powrotem Kazimierza i losem dawnego państwa Piastów. Mazowsze wcielił do niego siłą wielki Mieszko, ale i on pozwolił mu żyć odrębnym życiem, nie wprowadzając chrześcijaństwa przymusem. Toteż gdy zgłosił się u Mojsława dziesiętnik Wysota, by się pożegnać przed powrotem do starego kraju, ten powiedział lekceważąco:

-Jedziecie się pokłonić Kazimierzowi, byle nie ode mnie. Miejcie jeno na uwadze, że wtóry raz gościny wam nie udzielę. Jeszcze służy wam wybór: ze mną lubo przeciw mnie. Bez jednego wojaka wojna będzie - dodał lekceważąco.

Wysota zaskoczony odparł:

- Któż prawi o wojnie? Mniemałem, iż sami się pokłonicie Kazimierzowi, jak przystało. Słysząc, że nawet zbuntowanych na urzędach ostawia, i was by pewnikiem wielkorządcą Mazowsza zatwierdził.

- Może i Brzetysława wielkorządcą Śląska zatwierdzić - drwiąco powiedział Mojsław. - Mnie nie bardziej niż Czechowi jego zatwierdzenie potrzebne. Nie z łaski Kazimierza dzierzę Mazowsze. Jeszczeć tego nie bywało, by silniejszy słabszemu posłuch był dłużny.

- Jeno to pewne, że od domowej wojny nikomu sił nie przybędzie - powiedział Wysota. - Za książęcia nie mogę mówić, ale nie zda mi się, by się z utratą Mazowsza pogodził, skoro państwo swych przodków odbudować wziął przed się. Słysząc też, że swaty miał ślać do kijowskiego Jarosława, tedy i pomoc może od niego zyskać.

Mojsław zmarszczył się gniewnie: Książęca przekonajcie, by mnie w pokoju ostawił. Zechceli z obcą pomocą Mazowsza dochodzić, najdę i ja pomoc. I Pomorcom, i Prusom nie po myśli, by drużbę zamienić na zależność. Ale dość o tym - dodał wstając na znak, że rozmowa skończona. - Chcecie wracać, nie będę was zatrzymywał, jako i nikogo. Gdybyście jednak z Kazimierzem wrócić tu zamierzali, nie gościna was czeka, jeno miecz a powróż.

Wysota wracał do starego kraju wraz z gromadą dawnych zbiegów, przeważnie z zachodnich jego części, toteż przebywszy Pilicę, rozproszyła się. Mojsław istotnie nie czynił im przeszkód, nie mając do nich zaufania. Wiedział, iż jeśli nie wszyscy, to wielu za złe mu miało, że nie tylko nie przeszkadzał pomorskim, pruskim i jaćwieskim napaściom, ale przepuszczał je przez Mazowsze, dzieląc się łupami. Choćby dlatego Kazimierz nie mógł pozostawić sprawy Mazowsza swemu biegowi.

O tym myślał Wysota, kierując się do Krakowa, gdzie spodziewał się zastać Kazimierza lub wiadomość, gdzie przebywa. Do Giecza, gdzie zostawił rodzinę, nie miał po co wracać, wiedział, że nikogo tam ze swoich nie zastanie, a Kazimierzowi każdy miecz się przyda.

Do Wysoty przyłączyło się kilku wojów, w podobnym jak on położeniu, również zamierzających oddać się na usługi Kazimierzowi, przekonanych, że musi zebrać rozproszone siły, jeżeli kraj nie ma ulec ponownemu najazdowi. Ciągnęli dosyć już ruchliwym gościńcem. Kraj Wiślan najmniej był zniszczony, ruszył się już handel, a po drodze można było zasięgnąć wieści. Pogłoska o przymierzu z Rusią i małżeństwie Kazimierza z przyrodnią siostrą Jarosława potwierdziła się. Kazimierz zyskiwał nie tylko spokój na wschodniej granicy, ale potężnego sprzymierzeńca, a o wywianowaniu Dobronegi opowiadało cuda. Wątpliwości, czy Kazimierz utrzyma się w kraju, rozwiewały się. Życie z wolna wracało w stare łożysko, wrzała praca przy odbudowie i umacnianiu obsadzonych już grodów i opuszczonych lub /niszczonych osad. Najgorsze wraz z głodną zimą już minęło, powrót Kazimierza budził nadzieję, że zabliznią się zadane krajowi rany.

Wysota jednak jechał chmurnie zamyślony. Państwo Chrobrego niełatwo będzie odbudować, nie starczy życia jednego pokolenia. O odebraniu Brzetysławowi Śląska nie można nawet myśleć, gdy jeszcze się umocnił zadana cesarzowi Henrykowi klęską. Rozmowa z Mojsławem upewniła też Wysotę, że i odebranie Mazowsza nie obędzie się bez wojny, gdy krajowi nade wszystko potrzebny jest spokój. Mojsław jest pewny siebie, a Kazimierz wojownikiem nie jest, wynik walki zdał się niepewny.

Wiosna już była w całej pełni, gdy gromadka wojów dotarła do Krakowa. Gród z wyjątkiem katedry był już odbudowany, do mieszkalnego stołbu dostawiono nawet babiniec. Na podgrodziach jeszcze było widać ślady zniszczeń, ale i tu praca była już na ukończeniu, ruszyło rzemiosło i targ.

Wysota dopytywał się o księcia, zamierzając zarazem przypomnieć się i donieść mu o stanowisku Mojsława. Ku swemu rozczarowaniu księcia jednak nie zastał w Krakowie, wyruszył bowiem w objazd kraju i nie umiano powiedzieć, kiedy wróci. Zasoby, jakie Wysota przywiózł z Mazowsza, były na ukończeniu, liczył jedynie na swój miecz, nie wątpiąc, że księżę musi odbudować drużynę i odpowiednio ją uposażyć. Stał tymczasem gospodą w starym mieście nad Wisłą i nie wiedząc, co począć ze sobą, postanowił zgłosić się u komesa Bogufała, któremu księżę na czas swej nieobecności musiał zostawić jakieś zlecenia.

Bogufał przyjął Wysotę wyniośle, dowiedziawszy się jednak, skąd przybywa, zaczął wypytywać z zaciekawieniem. Gdy Wysota powtórzył mu swą rozmowę z Mojsławem, Bogufał uśmiechnął się zgrzyliwie i powiedział:

- Prawdę rzekł Mojsław, że silniejszy słabszemu posłuchu nie dłużny. Księżę zaś miast siły zbierać, mnichów sobie sprowadził gdzieści aż z Burgundii i wiano Dobronegi na uposażenie trwoni, ziemie im ponadawał, które przez wieki nasze były - dodał gniewnie i ciągnął z drwiną: - Nie dziw, że mnicha do mnichów ciągnie, jeno mnichami Mazowsza nie odbierze, nie pomni też, dlaczego prosty naród się podniósł.

Wysotę jednak, który przywiązał się do Kazimierza, rozgniewała wyraźna niezyczliwość Bogułała i nie bacząc, z kim mówi, rąbnął:

Prosty naród się podniósł, bo ucisku doznawał, nie jeno od obcych, ale i od swoich i nie on wygnął księżęcia, ale wielmoże. Nie jeno nie mnie, ale i nie wam pouczać księżęcia, od czego ma poczynać.

- Bacz, z kim mówisz - groźnie powiedział Bogułał, ale Wysota odparł śmiało:

- Ja nie baczę z kim, jeno co mówię.

Odwrócił się i wyszedł bez pożegnania, odprowadzony groźnym spojrzaniem Bogułała.

Wyszedłszy od Bogułała, myślał o tym, co od niego usłyszał. Nie miał wątpliwości, że Kazimierz sprowadził mnichów aż z Burgundii, a nie niemieckich z Korbei i Fuldy, jak było za poprzednich władców. Już wielki Mieszko pierwszego biskupa sprowadził z Italii, nie tylko dlatego, że naród miał do Niemców uprzedzenie, ale by nie uzależnić polskiego Kościoła od roszczeń niemieckiej hierarchii do misji w Polsce, która, jak na Połabiu, była przednią strażą podboju. Wysota nie wątpił, że Kazimierz rozpocząć zamierzał od odbudowy Kościoła w Polsce, nie tylko by szerzyć chrześcijaństwo, ale duchowieństwo dzięki znajomości pisma, obcych krajów i języków zajmowało się też sprawami państwowymi. Natomiast nie wierzył, by Kazimierz ograniczyć się miał tylko do odbudowy Kościoła. Niemal wszystko od podstaw odbudować należało, a siłę nie w ostatku. Nic wątpił też, że nie tylko on z kilkoma towarzyszami wrócił do starego kraju. Zbiegów na Mazowszu w czasie niepokoju schroniło się mnóstwo, jak on przeważnie bez rodzin, stanowiąc poważne wzmocnienie sił Mojsława. Jeżeli nawet nie wrócą zaraz, to w razie walki przejdą na stronę Kazimierza, zwłaszcza gdyby szala zwycięstwa przechyliła się na jego stronę. Mojsława zaślepiła żądza władzy i pewność, że jeżeli nawet Kazimierz upomni się o zwrot Mazowsza, potrafi mu się przeciwstawić.

Tak czy inaczej, Wysota postanowił udać się do Kazimierza. Że księżę nie siedzi na miejscu, było pewne, ważne było dowiedzieć się, w którym kierunku wyjechał, a po drodze łatwo się będzie dopytać, gdzie przebywa. Bez trudu dowiedział się, że księżę wyjechał do San-

domierza wraz z Aaronem, by z arcybiskupem Stefanem w sprawach kościelnych się naradzić.

Druga metropolia, którą Stefan miał objąć, w rzeczywistości dopiero mająca się utworzyć ze wschodnich diecezji, po reakcji pogańskiej przestała istnieć nawet w zamierzeniach. Bożęcie wprowadzie Stefan przyrzekł objąć po nim metropolię gnieźnieńską, ale Gniezno było tak zniszczone, że w ruinach katedry zagnieździł się zwierz. Zniszczone były siedziby biskupie w Poznaniu i Kruszwicy. Wrocław zajęty był przez Brzetysława. Na miejscu pozostał tylko krakowski Rachelin, ale duchowieństwo, jeśli nie wyginęło w czasie rozruchów, to rozpięchło się, sam Stefan, zgorzkniał i postarzał, siedział na swej majątności koło Zawichostu. Dowiedziawszy się jednak, że księżę bawi w Sandomierzu, zjawił się rychło, witając go z radością. Księżę również życzliwie powitał arcybiskupa, ale gdy zaczął mówić o odnowie organizacji kościelnej, Stefan rzekł smutno:

-Niewiele wam mogę pomóc, miłościwy panie. Stary jeśm, sił mi brak. Łacniej nowe zbudować, niżli odbudować zburzone. Jeśli radą służyć mogę, gotów jeśm każdego czasu. Daj wam Bóg sił i żywota, bo nie to jedno odbudować należy.

- Wždy po radę właśnie przychodzę. Doświadczenia wam nie brak, byliście w kraju czasu onych nieszczęsnych rozruchów, gdy ja bawiłem na obczyźnie. Lepiej wicie, czego krajowi potrzeba, by spokój przywrócić, bo budować można jeno w spokoju.

Stefan zamyślił się i po chwili zaczął:

- Siłą wasz wielki przedziad krzyż u nas wprowadził, bo siłę miał, by opór złamać. Ale po bitwie z Hodonem, gdy jako bez duszy leżał, żeby nie światłej pamięci małżonka jego, która dobrocią miłość ludu pozyskać umiała, mało brakło, by krzyż obalono. Za dziada waszego, którego srogimi karami za nieprzestrzeganie boskich i kościelnych przykazań groził, znowu lud się przeciw nim podniósł. Siłą go przytłumił, bo siłę miał. Wy sił nie macie, miłościwy panie, dobrocią wam działać przydzie. Na ugorze zasię wam siać, ale by plon zebrać, czasu potrzeba.

- Siac? Jeno kim? - powiedział Kazimierz w zamyśleniu. - Przedziad mój młodszych synów Jordanowi na naukę przysłać kazał, by ich na kapłanów przysposobić. Miał ci i Rachelin szkołę przy katedrze, nie ma jej już i nierychło da się odbudować. A lata upłyną, nim zdatnych do duszpasterstwa ludzi przysposobimy. Towarzysz mój i druh Aaron zna już naszą mowę, mógłby do nauczania przystąpić, ale reszta mnichów, których sprowadził, nie zna jej. Tyle że księgi przywieźli do nauki potrzebne, na leczeniu się znają. W Tyńcu ich osadziłem, gdzie zaraz budowę eremu zaczęli, ale nierychło pracę duszpasterską rozpocząć mogą.

- Ale Rachelinowi pomagać mogą w jego pracy, a duszpasterstwo najlepiej rozpoczynać od dobrych i pożytecznych uczynków. Nie brak wdów i sierot po onych nieszczęsnych wypadkach, niechajby się o nie zatroskali, przez wdzięczność najłacniej zyskać zaufanie.

Rozmowa z arcybiskupem upewniła Kazimierza, że dobrze rozpoczął odbudowę organizacji kościelnej, a przyspieszanie jej biegu nie od niego zależy. Może mu i życia nie starczy, nim się wiara i chrześcijański obyczaj jak dąb zakorzeni i okryje cały kraj. Nie brak innych pilniejszych spraw, których załatwienie może przyspieszyć. Dotychczas żywił nadzieję, że Mojsław, choć późno, zjawi się po zatwierdzeniu go jako wielkorządcy Mazowsza. Stanowiło nie tylko ważną dzielnicę, ale ubezpieczać mogło resztę kraju przed najezdami Pomorzan, Prusów i Jadźwingów. Tymczasem zamierzał uporządkować sprawy sądownictwa i zarządu w Tarczku, Iłży, Skrzywnie i Żarnowie, w powrotnej drodze zamierzając wracać przez Kurzelów i Mstów do Krakowa.

Pogoda sprzyjała podróży, wiosna była ciepła, w południowe godziny niemal upalna, ale w puszczy, przez którą wiodła droga, panował miły chłód. Pod wieczór pagórki pochyliły się ku północy i orszak dotarł nad Kamienną, gdzie przed przeprawą Kazimierz zatrzymał się na nocleg. Pocztowni rozniecili ogniska, przy których jęli przygotowywać wieczerzę, a czekając na nią Kazimierz zasiadł przed (ednym z nich na zwalonym pniu, wpatrzony w zamyśleniu w płomień, którego blask nasilał się w miarę, jak zapadał zmrok. Aaron nic

przerywał milczenia, szepcząc po cichu wieczorne modlitwy. W drodze długo rozpatrywali, jak pozyskać chętnych do stanu duchownego. Aaron przeciwny był, by jak wielki Mieszko nakazem ściągnąć młodszych synów rycerstwa i wielmożów. Rozpatrzywszy się już w kraju doszedł do wniosku, że niechęć prostego ludu do duchowieństwa miała źródło nie tylko w wyznawaniu przez niego nowej wiary, ale obce stanem nie budziło zaufania. Przyszłych kapłanów postanowił przeto szukać przede wszystkim wśród prostego ludu, którzy lepiej będą rozumieć jego potrzeby i troski, a nauką wynieść się mogą ponad rycerstwo.

Zamyślenie Kazimierza przerwał młody Michał Awdaniec, który orszakowi przywoził. Nasłuchiwał przez chwilę, po czym rzekł:

- Ktoś ci za nami zmierza i chyba do nas.

Niemniej należało wiedzieć, bo za bezpieczeństwo księcia ponosił odpowiedzialność. Wstał i ruszył w kierunku odgłosów, wśród których wyraźnie już można było rozróżnić tętent kilku koni. Wypadłszy z lasu, jeźdźcy na widok obozu powściągnęli pęd, a Michał doskoczywszy do nich wypytywał kto i do kogo, po czym podszedł z nimi do księcia i oznajmił:

- Do was, miłościwy panie. Rycerz Wysota z towarzyszami.

Stanęli, kłaniając się. Kazimierz ręką przysłonił oczy od blasku i powiedział:

- Wysota! Skądśi was znam.

- To ja, miłościwy panie, towarzyszyłem wam, gdyście na wygnanie szli.

- Prawda. Rzekliście, że pójdziecie do Mojsława.

- Iście, a ninie stamtąd wracamy, by wam donieść, co na Mazowszu.

- To mi w porę przybywacie - rzekł książę. - Właśnie nad tym przemyślałem, co z Mazowszem poczynać.

- Niedawno wróciliśmy - zaczął Wysota - jeszcze się w kraju nie rozpatrzył, ani nie moją rzeczą doradzać, co poczynać. Nie byłem praw mówiąc, że odnajdzie się jedność, gdy postronny wróg uderzy. Mojsławowi ani w myśli było czeskiemu najazdowi się przeciwstawić. Mniemam, że jeszcze rad był, iż wróg z kraju siły wyssie i na to liczy, że choć wróciliście na ojcowiznę, nie stać was będzie, by go do

- 76

posłuchu zmusić. Gdy go żegnałem na wyjeździe, rzekł mi, że silny słabemu posłuchu niedłuzny i jeszcze mi pogroził, gdy mu nadmienił, że pomoc zyskać możecie od kijowskiego Jarosława. Sam także na wsparcie liczy pogańskich somsiadów, z którymi przymierza pozawierał.

Kazimierz słuchał, chmurnie zadumany. Nadzieja, że Mojsław jeszcze się ukorzy, zgasła. Zamiast upragniony pokój przynieść krajowi, zaczynać trzeba od wojny, i to domowej. Ale Mazowsze zbyt ważne było, by je pozostawić w ręku nieprzyjawnego człowieka. Nim powźmie postanowienie, naradzić się musi i z siłami policzyć, a przede wszystkim upewnić, czy istotnie może liczyć na pomoc ze strony Jarosława. Walki na Rusi niemal nie ustawały, postronnych wrogów Jarosławowi nie brakło: Bizancjum, Połowców, Pieczeniegów i Jadźwingów. Na własne siły Kazimierz jeszcze liczyć nie mógł, Mojsław widocznie

wie o tym.
Zadumę księcia przerwał Michał Awdaniec:

Prawił mi stryk, iż bywa, że słabszy silniejszemu poradzi, gdy go niespodzianie zaskoczy. Ma się za silniejszego Mojsław, tedy się najścia nie spodziewa. Pogańskiej pomocy także ściągał nie będzie, skoro się pewny czuje. Słać nam, nie mieszkając, do Jarosława, zmówić się z nim. Gdy z dwóch stron uderzym, Mojsław siły podzielić musi. Ale poradzimy choćby sami. Wždy przedziad wasz ni części sił nie potrzebował, by zhołdować Mazowsze. Książę uśmiechnął się i odparł:

Wierę, iż rad byś wojował, młodemu w to graj. Ale do rady jeszcze/eś nie dorósł. I bacz, że nie wszytcy z wojny wracają, kto po cudzą głowę przydzie, swoją przynieść musi.

To i cóże? - powiedział Michał. - Bez to jeszcze ni ród, ni naród nic zginie. Strykowie także otroków mają, tyle że jeszcze niesprawnych, bo późno małżonki pojęli. Mężowi zasię wstydno w łożu umierać jak niewiasta. Nie braknie wam wiernych sług.

Rad to słucham - rzekł książę - ale wołałbym o tym ze strykiem twoim Michałem naradzić się. On się już zadość nawojował, nie będzie taki skory, jak ty.

Michał powiedział z pewnym rozczarowaniem:

- Iście nieskory, bo mi rzekł, iż wojażka mu obrzydła.

Książę uśmiechnął się znowu:

-To i lepiej. Wojna to nie igry i nigdy nie wiada, jak się obróci. Mnie takż sierdca nie brak, jeno doświadczenia nie dostaje, tedy doświadczonej rady posłucham. Wiesz co? - dodał. - Jedź do stryka, rzeknij mu, o co sprawa i że czekam na niego w Krakowie.

Tu wtrącił się Wysota, mówiąc:

- Zda mi się, że palatyn nic innego doradzić nie może, jak by Mojsława nakłonić do posłuchu. Słyszałem, że już raniej jeździł do niego i nic z tego nie wyszło. Ale jeśli radzić wolno, do Kijowa szmat drogi, nierychło się dowiemy, zyskamy ruską pomoc lubo nie. Od tego takż zależeć może, zali poczynać z Mojsławem. Sama pora byłaby po żniwach, ale Jarosław wcześniej wiedzieć musi, by takż potrzebne siły zebrać.

Książę głową skinął:

- I to dobra rada. A skoro tak radzicie, was posłem wyznaczam, ale jakowyś orszak dodać wam przystoi i dary, jak jest obyczaj, tedy nie mieszkając, wracamy do Krakowa.

Wysota zarumienił się. Mianowanie go posłem stanowiło zaszczyt i otwierało drogę do wyższych godności. Odparł jednak:

- Dzięki wam, miłościwy panie, ale zwólcie jeszcze doradzić: w mniejszym orszaku rychlejsza podróż. Oto krewniak mój, Wielisław z rodu Belinów i Zbisław Łabędź, obydwaj ludzie rycerscy, starczą mi za orszak, a dary dla Jarosława podjąć mogą w Sandomierzu, któredy mi droga. Pospieszać nam trzeba, tedy naj zdatniejsze byłyby konie, bo nie będą hamować nas w drodze.

-Niechaj będzie, jak prawisz - odparł książę. - Tedy ninie spocząć nam i wracamy do Krakowa, takż co trzeba przysposobić.

Myślał, że dobrze się stało, iż skończyło się wahanie. Teraz rozprawienie się z Mojsławem zależy tylko od wyniku poselstwa. Dziewierzowi samemu powinno być na rękę poskromienie Mojsława, u którego Jaćwierz znajdowała poparcie.

Mimo że nie osiągnął celu zamierzonego objazdu, z zadowoleniem myślał o powrocie do Krakowa, ale nie tylko, by przygotować niemal

już postanowioną wyprawę na Mazowsze. Czeką tam na niego Do-
hronęga, a zajęty ustawicznie innymi sprawami, nawet w czasie poby-
tu w Krakowie niewiele mógł jej poświęcić. Nie żaliła się nigdy,
witała go zawsze z radością. Czulość, której nie doznał u surowej
i oschłej matki, znalazł u małżonki. Przeczucie nie zmyliło go, że
/najdzie w niej sprzymierzeńca w dobrej i złej doli.

Świt dopiero zabarwił niebo, gdy zbierać się począł do powrotnej
drogi, by jak najdłużej przebywać z małżonką, świadomy, że wkrótce
znowu ją będzie musiał opuścić, nie wiadomo na jak długo. Wiedział,
że będzie czekała, jednego tylko nie był pewny, czy da mu upragnio-
nego następcę, dla którego warto będzie podjąć trud odnowy niemal
od podwalin zburzonego państwa.

Ranek był rześki, obfita rosa zapowiadała pogodny dzień, wypoczę-
te konie ruszyły z ochotą i gromadka rozjechała się. Wysota z towa-
rzyszami pognął na wschód, Michał z jednym pacholkiem na zachód,
a księżę jakiś czas jechał obok wozu, rozmawiając z Aaronem
o sprawach Kościoła, ale myślał już tylko o spotkaniu z Dobronęgą,
wiedząc, że znowu wkrótce pożegnać ją przyjdzie, a z wojny nie zawa-
sze się wraca. Wkrótce też pożegnał Aarona i z uszczuplonym orszakiem
ruszył przodem.

Trzeciego dnia Kazimierz dotarł do Krakowa, ale radość powrotu
zmąciły wieści z Węgier. Życzliwy mu król Piotr, któremu zawdzię-
czał uwolnienie z niewoli, ledwie z życiem uszedł przed Samuelem
Aba, którego Węgrzy okrzyknęli królem, nie mogąc Piotrowi dawać,
że otacza się cudzoziemcami. Podobnie jak w Polsce, pogaństwo
wykorzystując zamęt podniosło głowę, mordując duchowieństwo,
w tym czterech biskupów. Król Piotr schronił się w Niemczech w na-
dziei, że Henryk nie będzie obojętny na węgierskie wypadki i pomoże
mu odzyskać tron, choćby po to, by uzależnić Węgry od cesarstwa.
Kazimierz z żalem myślał, że nie może odwdziżyć się przyjacielowi,
ale wyprawa na Mazowsze wymagała zgromadzenia sił, które
i tak nie były zbyt znaczne.

Nie pora była jednak zajmować się węgierskimi sprawami, gdy na
własne niemal nie starczyło sił i czasu, mimo że troskę o sprawy ko-

ścielne zdał zupełnie na Aarona, który w pierwszym rządzie doglądał budowy eremu dla swych benedyktynów w Tyńcu i rzadko nawet go widywał. Brakło natomiast Kazimierzowi doświadczonej ręki w przygotowaniach wyprawy na Mazowsze. Doświadczenia nie brakło komesowi Bogufałowi, ale już sama zwłoka w złożeniu hołdu budziła nieufność, a zachowanie się Starzów w czasie bezkrólewia pogłębiła ją jeszcze. Gdy dowiedział się, że książę wezwał Awdańców do Krakowa, pod pozorem choroby usunął się do swej Morawicy.

Wiadomość o zamierzonej wyprawie na Mazowsze nie dała się długo utrzymać w tajemnicy, gdyby bowiem książę zamierzał odebrać Brzetysławowi Śląsk, nie gromadziłby sił na wschodzie kraju. Sam zresztą zdawał sobie sprawę, że póki kraj nie okrzepnie i nie uładzi się, nie starczy sił na walkę z Brzetysławem. Gromadzenie ich w samym Krakowie stwarzało zresztą trudności w zaopatrzeniu, Kazimierz pchnął przeto gońców do komesów Radomia, Skrzynna i innych grodów bliższych granic Mazowsza z rozkazem zaciągnięcia łuczników i tarczowników, sam czekając w Krakowie na wiadomość z Rusi, która miała rozstrzygnąć, czy wyprawa dojdzie do skutku. Przygotowania te groziły, że Moj sław może być przestrzeżony i zgotować obronę, ale Kazimierz wołał uderzyć wspólnie z Jarosławem, niż słabymi siłami zaskoczyć Moj sława, by po pierwszym powodzeniu nie spotkać wzmocnionego oporu, który mógł przedsięwzięcie udaremnić. Toteż z niecierpliwością, a także z pewnym niepokojem czekał na powrót Wysoty.

Wcześniej jednak wrócił Michał Awdaniec, donosząc, że stryjowie na dniach winni nadsiać, wiodąc ze sobą hufiec rodowy i dwie setnie jazdy pod Bieganem. Oznaczało to, że Awdańce uważają wyprawę za postanowioną i książę z ulgą pomyślał, że skończyło się wahanie. W słoneczny, letni już dzień błonia nad Rudawą pobiełały od namiotów, koniary wiedli stada koni do wodopoju, a na grodzie zapanaował niezwykły ruch.

Książę z zadowoleniem witał braci Awdańców, a widząc, że palatyn Michał widocznie się postarzał i słabuje, powiedział życzliwie:

- Wdzięczny wam jestem, iżście nie bacząc na trudy, na me wezwanie się stawili, by mi doświadczoną radą służyć. Ale w waszych leciech nie ma już powinności na wyprawę stawać. - Uśmiechając się, dodał:

Prawił mi wasz brataniec, iż wojaczka już wam obrzydła, jemu zaś w to graj. Pokolenia odchodzą i przychodzą, nie wstydno swój czas odsłużywszy spocząć, gdy sił już brak, a młodym wojaczkę ostawić, gdy zda mi się, że godny już wam następcą rośnie, waszej krwi.

Rad to słyszę, miłościwy panie - odparł palatyn Michał -jako że bez jednego woja wojna będzie, ale jeszcze nie na tylem zgrzybiały, by wam choć radą nie dopomóc odzyskać ojcowe dziedzictwo, gdy młodemu doświadczenia jeszcze brak. Kazimierz zamyślił się i po chwili powiedział:

Nie wiem, co ważniejsze: Śląsk lubo Mazowsze i czy samemu mi starczy żywota, by go Brzetysławowi odebrać, gdy on przemógł samego cesarza, a u nas wszystko dopiero odbudowywać trzeba. Milczący dotychczas Skarbek wtrącił się:

Nie zda mi się, by bitny choć niedoświadczony Henryk ostawił Brzetysławowi klęskę bez odpłaty, a wam widno przychylny, skoro dopomógł odzyskać ojcowiznę.

Tak ci może i jest - odparł Kazimierz -jeno że Henryk nawet nie taił, że jako krewniakowi pomaga cesarskie lenno odzyskać, a nie samowładne państwo. Wždy rodzic mój ostatkiem sił zrzucił niemiecką Zależność i takie państwo odbudować umyśliłem, jeśli starczy sił i żywota.

Przydzie i na to pora - przerwał palatyn. - Ja może nie doczekam, ile wyście młodzi, miłościwy panie. Żywot przed wami, a że niełacny, nie miał łącznego żywota ni rodzic wasz, ni dziad, ni przedziad. Najdziecie zawsze takich, co wam pomogą, jako i oni naleźli. Ninie o lym nam myśleć, co przed nami.

Rozmowa istotnie zesła na przygotowania do mazowieckiej wyprawy, postanowiono jeszcze czekać na wiadomość od Jarosława, od tego uzależniając sposób rozegrania sprawy, a tymczasem ukończyć przygotowania. Lato już było w pełni, gdy na zajeżdżonych koniach

zjawił się niecierpliwie wyczekiwany Wysota. Widać było, że nie żałował ni koni, ni siebie. Towarzyszy zostawił na podgrodziu, a sam nie odetchnąwszy nawet pospieszył na gród. Wiadomo było, po co jeździł na Ruś, toteż nie mógł się opędzić od pytań o wynik poselstwa, ale zbył ciekawych i udał się do księcia.

Kazimierz zasiadał właśnie do wieczerzy wraz z Dobronegą i Awdaćami, gdy nie zapowiadany zjawił się Wysota. Zbiedniały był, ale nim zaczął mówić, księżę wiedział już, że przynosi wieść pomyślną, że złą bowiem nie byłby się spieszył. Nim zaczął mówić, Kazimierz rzekł:

- Widzę, iżęście zdrożeni, siadajcież i posilcie się wraz z nami. Na dobrą wieść możemy poczekać.

Wysocie jednak samemu spieszno było wieścią się podzielić. Usiadł, ale nim jeść zaczął, powiedział:

- Wielki kniaź śle wam i siostrze swej braterskie pozdrowienia. Pieszę wojska wysłał łodziami w górę Dniepru i Prypeci, a potem przetoką do Bugu, a konne do Brześcia i w dół rzeki gościńcem wiodącym do Wizny u przeprawy na lewy brzeg.

- To i nam ruszać - powiedział księżę. - Nie przystoi, by nas na miejscu nie zastali. Wszak wraz z nami, a nie za nas walczyć mają.

Jakby od tego zależał pośpiech, pożywiali się szybko, po czym Awdące odeszli wraz z Wysotą do wojsk obozujących nad Rudawą, by zapowiedzieć pochód, i Kazimierz pozostał sam z Dobronegą. Ujmując ją za rękę, powiedział:

- Oto znowu żegnać się nam trzeba, nie wiada na jak długo.

- Wiem ci ja, że was woła powinność. Jedźcie i wracajcie szczęśliwie. Może i na was dobra wieść tu czeka.

Kazimierz patrzył pytająco, zrazu jakby nie rozumiał lub tego się nie spodziewał, po czym serdecznie objął Dobronegę i zapytał:

- Zali to już pewne?

Przymknęła oczy i kiwnęła głową. Kazimierz ją całował małżonkę. Zarazem uradowany był, ale niewolny od niepokoju. Dobronegą dobiegała już lat trzydziestu, dotychczas bezpłodna była, obawiał się już, że nie da mu potomka, który by podjąć mógł trud odbudowy pań-

stwa, gdy on stera już swoje siły lub gdyby go nie stało. Jeden niepokój minął, zastąpił go nie mniejszy. Na wojnę przecież idzie, wodzowi nie przystoi chować się za drugich, a co więcej, poród często bywa przyczyną śmierci. Dobronegą jakby wyczuwając jego obawy, rzekła:

- Pokojni bądźcie. Po trzykroć zasięgałam wróżby, wszystkie są pomyślne, a także sen miałam wróżebny, że urodziłam dziecię w złotej koronie.

Kazimierz westchnął. Nawet Chrobry dopiero pod koniec pracownego żywota zdołał ozdobić się koroną, symbolem niezależności od cesarstwa, sam Kazimierz nie mógł żywić na to nawet nadziei, Henryk uważa go za swego lennika i tylko dlatego pomógł mu wrócić na dziedzinę przodków, a walczyć trzeba o jej scalenie. Z Moj stawem nie spodziewał się łatwej rozprawy, znowu wdów i sierot przybędzie, o odebraniu Śląska nawet myśleć jeszcze przedwcześnie. Niemal wszystko od nowa odbudowywać trzeba. Serdecznie pożegnał Dobronegą, ale sam długo w noc nie mógł usnąć, rozmyślając, do czego wcześniej rękę należy przyłożyć. Zmusił się wreszcie, by tymczasem myśleć o czekającej go wyprawie na Mazowsze. Sam niezbyt wielkie siły może przeciwstawić Mojsławowi, ale szczęściem może liczyć na ruską pomoc. Uspokoił się i zasnął.

Mojsław siedział w Płocku, trawiając czas na rozbudowie swego stołecznego grodu i ucztach z pruskimi sprzymierzeńcami, gdy doszła go wiadomość, że Kazimierz wiciami zwołuje rycerstwo i wolnych kmieci, wyznaczając na miejsce zboru Luków. Nie było wątpliwości, co zamierza, Mojsław dziwił się jedynie, że przed uładzeniem starego kraju chce do niego przyłączyć Mazowsze, nie licząc się z siłami. Jakkolwiek pewny był sił własnych, uważał jednak za możliwe, że Kazimierz otrzyma posiłki z Rusi i skorzystał z obecności pruskiego kunigasa Skomanta, by go również prosić o pomoc, a także o zawiadomienie sąsiednich plemion Natangów, Bartów i Sasinów o możliwości ruskiego najazdu i o ściągnięcie sił na granicę z Mazowszem, żeby w razie potrzeby wspólnie najazd odeprzeć. Wiedział wprawdzie, że niespokojny lud pruski, jeżeli posiadał jakieś uzbrojenie, to raczej z łupieskich wypraw, a niemal każdy gródek miał swojego kunigasa,

który nie zwykł mieć kogoś nad sobą, ale naród był bitny, a zwłaszcza w lesistych i bagnistych okolicach potrafił dać się we znaki nawet znacznie liczniejszemu przeciwnikowi.

Skomant wyruszył nie mieszkając, by zebrać swoich, pruskim zwyczajem zasięgnąć wróżby u arcykapłana Kriwego i prosić o powodzenie głównego bożka Perkunasa, a Mojsław zwołał naradę swych dostojników. Zasiedli w niej wojewodowie Blizbor Gozdawa, Cieszek Lis i Dobiesz Doliwa. Samemu Mojsławowi nie brakło wojennego doświadczenia i plan działania miał już przemyślany, ale wołał go z równie doświadczonymi ludźmi rozważyć, by raz na zawsze utrwalić swą władzę na Mazowszu.

Narada trwała krótko, gdyż jednomyślnie postanowiono nie rozpraszać sił, w szczególności nie bronić lewobrzeznych grodów w Łowiczu, Sochaczewie, Czersku i pomniejszych, a wszystkie siły ściągnąć do Brańska i tam, gdzie skieruje się pochód Kazimierza, zastąpić mu drogę i jedną bitwą sprawę rozstrzygnąć.

Kazimierz również nie zamierzał zabawiać się w zdobywanie grodów, nie prowadząc zresztą sprzętu oblężniczego, przekonany, że jeśli złamie Mojsława, opór zgaśnie. W pogodny, letni już poranek ruszył gościńcem w dół Wisły, przodem wysyłając hufce Biegana z zadaniem rozpatrzenia się w położeniu przez podjazdy, a także, gdyby Jarosław wcześniej doszedł, zawiadomienia go, że Kazimierz z głównymi siłami nadciąga. Wyruszając z Krakowa liczyły zaledwie kilkuset ludzi, ale po drodze coraz to dołączały do niego hufce rodowe Śreniawitów, Jastrzębców i inne, oraz gromady łuczników i tarczowników, tak że gdy pochód przeprowiał się na prawy brzeg Wisły powyżej Solca, liczył już ponad tysiąc jazdy i kilka tysięcy pieszych wojsk, a wciąż jeszcze napotymano gromady ciągnące na zbór.

Biegan tymczasem dotarłszy do Łukowa, zastał tam już nieco przybyłych na zjazd. Rozesłał drobne oddziały po żywność i paszę dla koni i ubezpieczywszy obóz pchnął silny podjazd konny w dół Liwca z zadaniem pojmania jeńców, a mniejszy do Bugu, na wypadek gdyby Jarosław nadszedł wcześniej zawiadomienia go, że Kazimierz nadciąga i na dniach można się go spodziewać.

Godek, który podjazdowi przywodził, ruszył ostrożnie, osad unikając i z dala obszedłszy gród w Liwie liczył się z tym, że może napotkać podjazdy Mojsława. Czekał zresztą na to, gdyż w razie schwytania jeńców zadanie swe mógł uważać za spełnione. Niedaleko ujścia Liwca do Bugu zapadł w las, a sam wysunął się na skraj, tak że bród na rzece miał na oku. Istotnie nie czekał długo, gdy z dala ujrzał przepływający się przez rzekę konny oddziałek. Nie był liczniejszy niż jego własny, ale otwarta walka mijała się z celem. Osiągnąć może go natomiast podstępem. Przywołał doświadczonego woja Czarnotę i rozkazał:

Wźmi dwóch ludzi i wyjeźdź im naprzeciw. Podjedź tak, by cię zrazu nie widzieli i pozor daj, żeś ich takż niespodzianie napotkał. Im takż pewnikiem jeńcy potrzebni, tedy ubieźaj ku nam. Pozwól im się zbliżyć, by mniemali, że cię dopadną, my tu na nich poczekamy.

Patrzył jak Czarnota, kryjąc się za krzami, zbliża się ku jadącym, których na chwilę stracił z oczu, gdy wjechali w młodnik samosiewu. Lada chwila powinni się znowu ukazać i Godek zaniepokoił się, widząc, że Czarnota ze swymi ludźmi tam się zbliża. Zuchwały jest, trudno zmiarkować, czy nieprzyjacielski podjazd nie ma ścigłych koni, by dopaść uchodzących, zanim zdołają powrócić. Czarnota miał dobrego konia, ale ludzie, których zabrał, mierne. Zamiast wziąć jeńców, może ich dostarczyć nieprzyjacielowi. Godek w napięciu czekał, co się będzie działo. Gdyby nieprzyjacielski podjazd dopadł Czarnoty lub jego ludzi, zanim dotrą do lasu, będzie zmuszony wdać się w walkę, która nie była jego celem, a nie obędzie się bez strat. Na wszelki wypadek podsunął swych ludzi na skraj lasu.

Jak przewidywał, nieprzyjacielski podjazd ujrzawszy trzech jeźdźców, którzy na jego widok zwrócili się do ucieczki, puścił się cwałem za nimi, rozciągając się w długiego węża. Godek odetchnął, widząc, że Czarnota mając najlepszego konia pozostaje jednak, tak że jadący w przedzie szybko się do niego zbliża. Zdało się, że już go dopadnie, gdy Czarnota skreślił w lewo, by nie pozwolić przeciwnikowi zajechać łobie z lewej strony. Na ten widok ścigający rozdzielili się, jedni skreśli na Czarnotę, inni nadal ścigali dwóch pozostałych. W tej

chwili Czarnota skreślił znowu w prawo i odsądził się od ścigającego, który musiał zmiarkować, że wciągają go w zasadzkę i zaczął hamować konia, krzycząc coś do swoich, ale uciekający już wpadli do lasu, a za nimi rozpędem kilku prześladowców. Rozległ się wrzask, aż echo oddało.

Większość nieprzyjacielskiego podjazdu zawróciła, ale dwóch zapędziło się, nie zdołało dołączyć do towarzyszy i ujrzeni się otoczeni. Jeden z nich widząc, że nie ujdzie, cisnął broń, drugi jednak wziął się miecza, ale nie zdążył go unieść, gdy cięty w głowę, aż mu hełm zagięto, spadł z konia.

Godek kazał związać jeńca i przystąpił do leżącego, by go obrać z łuskowego pancerza, sądząc, że nie żyje. Gdy jednak pochylił się nad nim, zauważył, że oddycha, widno tylko ogłuszony. Kazał przeto przynieść wody w hełmie ze strugi leśnej ciekącej opodal i chlusnął nią w twarz. Jeniec odetchnął głębiej i otworzył oczy. Przez chwilę patrzył jak obudzony z głębokiego snu, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Po czym zamknął je znowu.

- Wstawaj! - powiedział Godek, a gdy jeniec się nie ruszył, wskazał na niego towarzyszom, mówiąc:

-Związać go i wsadzić na koń. Jadziem! Gdy zaczęto go wiązać, jeniec mruknął ponuro:

- Ubijcie mnie!

- Możesz poczekać, przódzi gadać będziesz - odparł Godek.

Dosiedli koni i ruszyli z powrotem. Zadanie było wypełnione, a pościg większą siłą mógł rychło nadejść.

Biegan niecierpliwie czekał na powrót syna z podjazdem. Wieści o sile i położeniu Mojsława zdałoby się mieć wcześniej, nim księżę nadciągnie, by o dalszych poczynaniach mógł postanowić. Siedział właśnie wieczorem przy ognisku, zamierzając zabrać się do wieczry, gdy od strony straży posłyszał głosy, a wśród nich poznał głos własnego syna. Ręką przysłoniwszy oczy od blasku, spojrzął w kierunku nadchodzących i ujrzał syna prowadzącego dwóch związanych ludzi. Godek krótko opowiedział przebieg swego przedsięwzięcia i wskazując na jeńców, rzekł:

Spieszno mi było, tedy nie pośpiałem w drodze ich przesłuchać. Zechciejcie to sami uczyńć.

Siadaj i pozyw się, bo pewnikiem w drodze nie wieszczęłaś - powiedział Biegan. Spojrzał na jeńców stojących w pełnym świetle ogniska, jakby ich szacując. Młodszemu dopiero pierwszy zarost pokrył twarz. Patrzył na Biegana z widoczną trwogą. Miał zbroi na sobie kaftan z wołowej skóry, na głowie czapę futrzaną. Starszy, w sile już wieku, z twarzą pokrytą ciemnym zarostem, spod krzaczystych brwi ponurym spojrzeniem patrzył na Biegana, który zwracając się do syna, powiedział:

Oni także pewnikiem nie wieszczęli. Zdejmij im więzy.

Gdy Godek z wahaniem zaczął rozwiązywać pęta, dodał:

-Nie uciekaj, a z pustym brzuchem gadać nijak, gdy kiszki grają.

Podaj im sądy i łyżki.

Młody, nie rozartałszy nawet zdrętwiałych rąk, odetchnął z ulgą i zaczął jeść chciwie, starszy natomiast nawet się nie ruszył. Godek wskazując na niego, powiedział:

W drodze także jeść nie chciał, widno umyślił zamorzyć się głodem, bo prosił, by go ubić.

Biegan patrzył na jeńca przenikliwie. Dla wojaka nie ma wstydu dostać się do niewoli. Wykupić się może lub uwolnić na wymianę. Śmierci nie pragnie nikt, chyba że się gorszej obawia, lub hańby. Obrzucił jeńca podejrzliwym spojrzeniem, po czym wrócił do jedzenia. (idy skończył, powiedział:

Ninie porozmawiamy. Mniemam, że się bez przypiekania obędzie - dorzucił kpiąco. - A słyszeć chcę jeno istą prawdę. Wyda się, iż to leż, nie powróż, ale pał was czeka.

Zwrócił się do starszego, czekając, czy mówić zacznie, ale gdy ten się nie odezwał, wskazując na niego, powiedział:

Nie chce żreć ani gadać, zwiąż mu ręce z przodu, by sam sobie mógł portki opuścić.

Jeniec nie stawiał oporu, gdy Godek wiązać go zaczął, poczerwieśniał tylko na twarzy i mruknął:

Ubijcie mnie!

- Coś ci więcej musisz mieć na sovmnieniu, niż żeś się z wrogiem związał, że do śmierci tak ci pilno - powiedział Biegan, a zwracając się do młodszego, zapytał:

- Znasz go? Co za jeden?

Jeniec ramionami wzruszył:

- Wiem jeno, że Dobrogost go wołają i podkowę z krzyżem miał na szczycie. W drużynie niedawno, a o sobie nierad gadać.

- Jastrzębiec! - powiedział Biegan, zwracając się do jeńca. - Twoi rodowcy tu nadciągną z księżciem, będą cię mogli wykupić, jeśliś tego wart, tedy nie spiesz się do śmierci.

Zwracając się do młodszego, powiedział:

- Dość o nim. Praw, kamo Mojsław przebywa, jakie ma siły i co zamierza.

- Jeszcze siły gromadzi pod Brańskiem - zaczął jeniec. - Gdyśmy wyjeżdżali, było już do dwóch tysięcy jazdy i dwakroć tyle pieszych. Nie wszystkim ta wojna po myśli, ale pomoc Prusów sobie zapewnił, przeto przysunął się do pruskiej granicy, by nadażyła, nim ksiązę Kazimierz nadciągnie, a że nadciąga, to wiedzieć już musi i w jakiej sile, bo nie jeno nasz podjazd wysłał.

- Jeśli więcej nie działy niżli wasz, tedy może i nie wie - powiedział Biegan kpiąco, a wskazując jeńców, rzekł do Godka:

- Wziąć pod straż i pilnować jak oka w głowie. Ksiązę na dniach winien nadciągnąć.

Istotnie dopiero dniało, gdy straż doniosły Bieganowi, że od południa nadciąga jakowaś jazda, za chwilę nie było już wątpliwości, że to swoi, a na czele jedzie Skarbek Awdaniec. Ruch się wszczął w całym obozie, dymiły rozniecone ogniska, przy których gotowano strawę, a rozsiadane konie koniary pognali na pastwisko.

Biegan czekał na Skarbka przed swym namiotem i powitawszy go, zdał mu sprawę z zeznań jeńca. Skarbek zamyślił się i po chwili powiedział:

- Ważne to, że nie wszystkim tu lubuje Mojsławowa właść. Jeśli Kazimierz zbuntowanym zapewni, iż jak w starym kraju na urzędach i przy majątnościach ich ostawi, niejeden się namyśli, zali warto ży-

wot stawić, by pysze Mojsława dogodzić. Jego samego pojmać i stracić, krótka wojna będzie. A co słyhać z ruską pomocą? - zapytał. Wysłałem ludzi do brodu na Bugu, kędy nadejść winna. Jeszcze nie ma wieści.

Poczekamy na księżęcia, niech sam postanowi, co poczynać. Branek mój społem z nim ciągnie. Uradzim, a tymczasem większy zastęp wysłać do Liwa.

Wždy konnymi grodu nie weźmie - zauważył Biegan, ale Skarbek odparł:

Nie oblegać mają, jeno wybadać, zali to prawda, iż nie wszytcy tu za Mojsławem stoją. Jeśli nie, to ta wojna zawlecze się, a w kraju nic wiada, do czego raniej ręce przyłożyć. Biegan poszedł wydać rozkazy, i hufiec jazdy pod Wysotą ruszył w kierunku Liwa z poleceniem wezwania tamtejszego grodozierczy do poddania. Pozostali rozbijali namioty, nie wiedząc, jak długo czekać im przyjdzie na nadejście pieszych wojsk. Koniary popędzili stado koni do niezbyt odległego Liwca, w obozie zapanował zwyczajny nich. Jedni czyścili i ostrzyli broń, drudzy wypoczywali wyłożywszy się do słońca, inni rozpytywali wcześniej przybyłych towarzyszy o położenie. Powszechnie już było wiadomo, że Godek przywiódł jeńców, a Mszczuja z Jakuszowic zaciekała wiadomość, że jeden z nich miał znak Jastrzębców na szczycie. Dopytał się, gdzie jeńców trzymają.

Przed namiotem stał strażnik, który na widok dostojnika nie czynił przeszkód w wejściu. W namiocie cień panował, i wszedłszy z jaskrawego światła słonecznego, Mszczuj nie od razu rozróżnił jeńców. Po chwili, gdy oczy nawykły do cienia, spojrzął na leżącego na ziemi Człowieka. Bładą twarz okrywał zaniedbany zarost, oczy miał wpadli ietc i nie otworzył ich, gdy Mszczuj stanął nad nim wpatrując się, liikby go poznawał. Zakrzyknął:

Tyżeś Dobrogost! Skądżeś się tu wziął u biesa? Jeniec pomału podniósł powieki. Przez chwilę patrzył na Mszczuja i wysilonym B/.cptem powiedział:

Mszczuj! Ubij mnie.

-Wiła z ciebie. Małżonkę z dzieckiem zostawiłeś, po kiego licha. Wždy nie musiałeś przed rozpasaną tłuszcą do Mojsława uchodzić.

Gdy Dobrogost milczał, Mszczuj rzekł ze złością:

-Gadaj! Może mógłbym dla ciebie coś uczynić, krewniaku. Choćby wykupić. Wždy siedziałeś doma, gdy ów rozruch był. Skądże się ninie u Mojsława nalazł?

Dobrogost powiedział niechętnie:

- Wiesz, że z mojej poręki wygnano Kazimierza...

- Przetoś uszedł? - przerwał Mszczuj. - Wždy i ja za tym głos dałem. Kto nie dał? Chyba ci, co ich na zjeździe nie było. Głupi byłem, jako i drudzy, bo bez to się wszystko rozprzęgło. Ale gdy Kazimierz wrócił, pomyślałem, że gdyby wszystkich chciał karać, co go wygnali, toby chyba z oną Bolkową tłuszcą ostał.

Na twarz Dobrogosta wybił rumieniec. Powiedział cicho:

- Iście byłem głupi.

- Dobrze, żeś choć to uznał, ale nie żeś głupi ostał. Cóż u licha do Mojsława cię zagnało?

~ Prawili, że się Kazimierz w kraju nie utrzyma z niemiecką pomocą, będzie zmuszony ustąpić, Mojsław w reszcie kraju swój porządek zaprowadzi i kaźden będzie mógł wyznawać Boga, jaki mu po sierdeu.

- Ale się utrzymał przy niemieckiej pomocy, a ninie przyszła pora z Mojsławem załadzić. Żeby mi twej małżonki i częda żal nie było, sam bym ci doradził, byś się obwiesił, bo jeno ród za ciebie oczyma świecić musi. Sprawimy się z Mojsławem, przydzie pora u ksiąźęcia za tobą się wstawić. Kazimierz miętki jest. Ninie żrej, co ci dają, i ciesz się, że słońce świeci. A nie, to bierz cię lichu. Szczęście to dla ciebie, że cię połonili, bo gdybym cię w walce napotkał, sam bym cię ubił.

Zostawił zawstydzonego Dobrogosta i wyszedł. Pomyślał, że po stronie Mojsława znajdzie się więcej takich, którzy nie bardzo wiedzą, co poczynać. Zamęt w czasie bezkrólewia i najazd Brzetysława na bezbronny kraj uświadomił możnowładcom, że czasy na samodzielność minęły, a nie nadeszła pora, by nadrzedną władzę ksiąźęcia ograniczyć. Ale nadrzedna władza Mojsława, którego niejeden pamięć-

łał dworskim urzędnikiem niskiego rodu, nie w smak musi być starym lodom i Mojsław zapewne musi bardziej liczyć na oparcie w pogańskich sprzymierzeńcach, dla których groźbą było silne państwo piastowskie.

/ tego zdawał sobie również, sprawę Mojsław, mimo pychy rozdętej powodzeniem, dlatego siły zebrał w Brańsku, zamierzając ciągnąć naprzeciw przyrzeczonej pomocy pruskiej. Wiadomość o wydaniu Liwa bez walki umocniła go w przeświadczeniu, że bez pruskiej pomocy może się nie utrzymać. Toteż gdy podjazd przyniósł mu wiadomość o nadciąganiu Kazimierza, a pomoc nie nadchodziła, postanowił ruszyć jej naprzeciw. Jakie siły prowadzi Kazimierz, nie zdołał się powiedzieć. Obrachunek z grodzierzczą Liwa postanowił pozostawić k czasu rozprawienia się z Kazimierzem i ruszył na północ w kierunku Narwi, gdzie wiódł gościniec do Wizny, którym spodziewał się odejścia pruskich posiłków. Nie sądził wprawdzie, by siły Kazimierza przeważały jego własne, wiedząc, że dopiero zaczął przywracać lul i spokój w kraju, ale im głębiej wciągnie je, tym pewniej do szczętu wygubi, a może i samego Kazimierza. Otwierałoby mu to widoki na poszerzenie swej władzy przynajmniej na Kujawy, a odsunęło na ławszc zagrożenie dla Mazowsza.

Kazimierz natomiast, przeprawiwszy wojska przez Liwiec, ciągnął w kierunku Bugu, wysyłając tylko przodem podjazdy, które wkrótce poniosły, że Mojsław odszedł z Brańska. Na naradzie rozważano, czy korzystając z tego, że Mojsław ściągnął siły, zająć przynajmniej lewobrzeżne grody, ale przeważało zdanie Skarbka, że gdyby nawet poszczególne grody poddały się jak Liw, wojna może się zaciągnąć, podczas gdy w kraju jeszcze nie brak pracy nad przywróceniem ładu i sprawę może rozstrzygnąć tylko pokonanie Mojsława, a wówczas może Mazowsze podda się bez walki.

Kazimierz z ciężkim sercem myślał o bratobójczej walce, ale zdawał sobie sprawę, że odbudowa niezależnego państwa Chrobrego nie Rio/c się obyć bez zniszczenia wewnętrznego wroga. O odebraniu Brzetysławowi Śląska nieprędko będzie mógł pomyśleć, raczej spodziewał się, że cesarz Henryk nie daruje lekkomyślnie poniesionej

kłeski i nie zezwoli na takie wzmocnienie niebezpiecznego sąsiada. Tak Polska jak i Czechy były lennami cesarstwa, musi więc troszczyć się o to, by żaden z lenników kosztem drugiego nie uzyskał przewagi. Na potem troska o niezależność, ważnym krokiem do niej jest odzyskanie Mazowsza. Przyrzeczona pomoc ruska nie nadchodziła, postanowiono jednak nie czekać na nią, jeśli wojska zdążyć mają zapobiec otrzymaniu przez Mojsława pruskich posiłków. Toteż mimo sprzeciwów Skarbka, Kazimierz ruszył naprzód z całą jazdą, a na jego uwagę, że sam się naraża, a jego śmierć oznaczałaby ostateczną klęskę, uśmiechnął się, mówiąc, że zadbał już o swego następcę. Skarbek przez chwilę milczał zaskoczony, ale powiedział:

- Tedy zwólcie nam społem się radować, ale nierychło wydoli dźwigać wasze brzemie, miłościwy panie, a umrzeć łatwiej niż żyć. Zwracając się zaś do młodego bratanka, który hufcem rodowym Awdańców dowodził, rzekł:

- Twoje dzieło strzec miłościwego pana, choćbyś miał sam nie wrócić. Pomnij, że żywię jeszcze sława mego rodzica, który żywot w obronie pana położył, a sława trwalsza od ciała!

- Bądźcie pewny, stryku, że nie zabędę - odparł Michał, ale obecny przy tym Dzierżyśław Śreniawita widocznie podrażniony, wtrącił:

-Nie sami tylko Awdańce krwią służyć gotowi. Lec i ja potrafię, a także mam następcę, któren przysłemu, jeszcze nie urodzonemu, służyć będzie.

- Wierę! - powiedział Kazimierz pojednawczo - ale mnie żywych potrzeba, bo nie jeno wojna, ale praca przede mną - a zwracając się do Skarbka, który miał piesze wojska prowadzić, dodał:

-Nadążajcie za nami co ducha, bo nie wiada, kiedy potykać się przydzie.

Skarbek, który radził nie rozdzielać sił, jeno głową skinął. Jeśli jazda rychło napotka Mojsława, może z pieszymi nadążyć na bitwę, gdyby jednak Kazimierz odsądził się zbyt daleko i napotkał przeważające siły, nie powinien wdawać się w walkę. Więcej ma serca niż doświadczenia, ale tego Skarbek nie śmiał powiedzieć. Dosiadł konia i dognawszy idącego w przdzie Biegana, rzekł:

Na waszej głowie, byście się z przeważającą siłą w bitkę nie wdali, bo pan nasz gotów na to nie zważać. Jeśli z pieszymi nie nadążę przed napotkaniem Mojsława, cofajcie się na nas. Wszystkiego nie przewidzi, ale doświadczenia wam nie brak. Może tymczasem Ruś nadciągnie. Nadąży czy nie, tę bitwę musimy wygrać, choćby drogo zapłacić przyszło. Nie czas się długo z Mojsławem zabawiać, bo i w kraju nie wiada, do czego raniej ręce przyłożyć.

liiegan istotnie wiedział, że wojna składa się z samych niemal niespodzianek, ale i Mojsławowi doświadczenia nie brak. Może istotnie ciągnąć w kierunku Wizny, ale może też zaskoczyć Kazimierza w czasie przeprawy przez Bug i nawet równymi siłami zadać mu klęskę. Odparty podjazd nie był zapewne jedynym, a jeśli nawet, to zbiegli doniosą mu o nadciągnięciu Kazimierza. Toteż Biegan ze swym hufcem wysunął się naprzód i wieczorem już przeprawił go przez rzekę bez przeszkód i stanął obozem, wysyłając tylko podjazdy do pobliskiego lasu. Ogni palić i koni rozsiódłać nie pozwolił, póki zresztą jazdy nie nadejdzie księżę i postanowi, czy czekać będzie na przeprawę pieszych wojsk.

Kazimierz nadszedł wkrótce po świcie i również bez przeszkód przeprawił się, postanowił jednak nie czekać na piesze wojska i bezwzględnie ruszył w kierunku Narwi. Wojska zanurzyły się w las. Podszyty był, pełen wiatrołomów i wykrotów, toteż rozciągnęły się w długiego węża, by się nie rozpraszać. Las stawał się rzadszy, przechodził w młodnik samosiewu i koło południa czoło pochodu dotarło do otwartej wyżynki, z rzadka porośniętej krzewami. Tu Kazimierz zatrzymał pochód, czekając, by dociągnęła reszta jazdy, a także, by napoić i naobroczyć konie, a ludziom pozwolić spożyć posiłek. Gdy tylko od wodopoju przywiedziono pierwsze konie, wysłano silny podjazd z poleceniem dotarcia do Narwi, jeśli wcześniej nic napotka na przeciwnika. Na dowódcę wprosił się młody Michał Awdaniec, któremu pilno było wykazać się męstwem i sprawnością. Kazimierz, powiedział do niego, uśmiechając się:

Wždy stryk ci przykazał baczyć na moją bezpieczeńność, ale chcesz, to jedź. Pomnij takóž, że mnie żywych potrzeba, tedy bacz i na siebie.

Michał zarumienił się, ale odparł butnie:

- Wojna mi już nie nowina, a wam, miłoścy panie, nie ciastochów¹ trzeba, którzy swej bezpieczeństwa pilnują.

Odwrócił się i dosiadłszy konia ruszył na czele podjazdu. Obecny przy rozmowie Biegan powiedział do księcia:

- Za młodu też byłem niccierpieliwy. Jeno mi dziwno, że rodzic jego cherlawy i do wojny niezdatny, a to pachol tęgi i widno w dziada się wdał, nie w rodzica. Lubo w stryka, takż Michała, któren skończył już wojowanie. I mnie pora kończyć, jeszcze ten raz wam usłużę, ale synów żrałych mam dwóch, których łasce miłościwego pana zalecam. Nie będą gorsi ode mnie.

- Wdzięchen wam jeśm - odparł Kazimierz. - Nie jeno w wojnie doświadczonych ludzi mi trzeba, by z ich dorady skorzystać.

- Tedy zechciecie i ninie - powiedział Biegan. - Mojsław już wie, że ciągniemy przeciw niemu, ale nie może wiedzieć, że ciągnie tu też Ruś. Bez pruskiej pomocy siły ma większe niżli my, tedy na jego miejscu nie czekałbym nawet na pruską pomoc. Tym ci bardziej, jeśli już nadeszła, ciągnąć będzie przeciw nam. Poczekajmy, by podjazd wrócił, a tymczasem wojewoda Skarbek dociągnąć winien z pieszymi. Kraj tu lesisty, nie wiada, kamo bój toczyć przydzie, a w lesie koń jenozawada.

- Uczynię, jak radzicie - powiedział Kazimierz, po czym polecono starszyźnie zapowiedzieć dłuższy postój. Rozsiodłano konie, by mogły się wytarzać, ludzie wypoczywali, jak kto chciał i umiał, napięcie czekającą ich walką zmałało.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, cień padający od ściany lasu wydłużał się, ale Skarbek z pieszymi jeszcze nie nadchodził. Zdało się już, że przyjdzie nocować na miejscu, gdziegdzie zapalano ogniska, by przygotować wieczerzę, gdy z wysuniętej daleko straży dopadł wojak, donosząc, że widać wracający podjazd. Wiadomo było, że wracać ma, gdy napotka nieprzyjaciela, toteż rozleniwienie ustąpiło podnieceniu. Niedługo trwało, gdy podjazd był już w oczach. Jadący

¹Ciastoch - niedolega.

na przedzie Michał Awdaniec skierował się wprost do księcia, pozostałych obstały gromady, chcąc jak najprędzej otrzymać wieści.

Kazimierz natychmiast zwołał starszyznę na naradę, by wysłuchać sprawozdania Michała. Wyjechawszy z zagajnika, ujrzał nadciągający naprzeciw niewielki podjazd nieprzyjacielski, który widocznie również go spostrzegł, bo natychmiast zawrócił. Ścigał go dość długo, chcąc wziąć jeńca, ale nie zdołał dopaść, gdy ujrzał wychodzące z lasu konne hufce. W jakiej sile, nie zmiarkował, bo z kolei jego zaczęto ścigać, ale dopadłszy lasu zgubił prześladowców. Jedno było pewne, że Mojsław nadchodzi.

Jako najstarszemu wiekiem, księżę pierwszemu udzielił głosu Biegunowi. Zaczął:

Przysliśmy nie jeno by walczyć, ale wygrać, choćby Mojsław siły miał większe. Nie brak tu doświadczonych wojów, ale rzeknę swoje, a rad innych wysłucham. Ku wieczorowi się ma, tedy Mojsław bitwy nie nacznie. Ja bych się z moim hufcem podsunął do następnego lasu. Z lasu nie będą zwarcie wychodzić, nacznę bitwę, pokąd będą w rozproszeniu. Gdy zmiarkuję, że są w przewadze, wycofam się. Będą mnie ścigać, takóž się rozproszą, wy zasię tu na skraju lasu poczekajcie. Nierychło wydolą przyjsć do ładu, u zaskoczonych łącno popłoch wywołać, a to już połowa zwycięstwa. O drugą połowę będzie się starać pospołu.

Gdy nikt więcej głosu nie zabrał, godząc się na plan Biegana, księżę kazał z ostrożności wygasić ogniska, konie wprowadzić do lasu, a ludziom zabronił kręcić się po otwartej wyżynie, by nie zdradzić zasadzki. Biegan natomiast jeszcze o zmroku na czele pancernego hufca wyruszył, by się zasadzić opodal następnego lasu, strażę wysunął naprzód i pozwolił ludziom spocząć, a koniom zluźnić popręgi.

Jeszcze nie dniało, gdy zarządził pobudkę. Mojsław niewątpliwie wysłał przednią straż, a gdy się zaczęła walka, na jej odgłosy będzie pospieszał całą siłą. Biegan wysunął się naprzód, tak by las mieć na oku, i czekał.

Słońce dopiero wzniosło się nad bory, gdy dostrzegł wychodzących z lasu zrazu kilku ludzi, którzy prowadzili konie przy pyskach. Za-

trzymywali się, czekając widno na resztę. Gromadka się powiększała, gdy było już kilkudziesięciu, dosiedli koni i ruszyli stępą, widocznie nie zauważywszy ukrytego, jak się dało, hufca. Biegan dopadł swoich i rozkazał:

- Na koń i w skok!

Dostrzeżono go zaraz i jadący na przedzie jakby się zawahał, widząc przewagę zawrócił, ale było za późno. Nieprzyjaciel siedział uchodzącym na karkach, pierwsza krew zabarwiła ziemię.

Docierali już niemal do lasu, gdy jadący w przedzie krzyknął coś i zawrócił. Teraz walka zawrzała zacięta, baczny jednak na jej przebieg Biegan wiedział, co to oznacza. Przedniej straży nieprzyjaciela nadchodzą posiłki. W miarę jak ich przybywało, zaciętość walki wzrastała, nadchodzący obskakiwali hufiec Biegana od skrzydeł, starając się go otoczyć.

Na to czekał Biegan. Skrzyknął swoich, na miejscu zdarli konie i zawrócili, odcinając się. Szli zwarcie, natomiast ścigający, w miarę jak ich przybywało, rozproszyli się, usiłując otoczyć hufiec Biegana i powstrzymać jego pęd, by nadciągających w ociążu wprowadzić do walki. Równina trzęsła się od kopyt idących w skok koni, a wrzawę bojową zwiększał pogłos od niedalekiego już lasu. Ścigający zajęci walką nie od razu dostrzegli wysuwające się z niego konne hufce, które ruszyły zwartą ławą.

Walczący w przedzie Mojsław zrozumiał, że dał się wciągnąć w zasadzkę i stracił panowanie nad bitwą, gdy jedni zawracali w popłochu, a nadciągający, nie widząc, co się dzieje, parli jeszcze naprzód, powodując zamęt. Musi oderwać się od nieprzyjaciela, jego piesze wojska winny już nadciągnąć, wówczas zmieni się obraz bitwy.

Nie mylił się; pod lasem w zwartym szeregu stali tarczownicy, a jeszcze z lasu wysypywały się wojska, zapewne łucznicy. Uchodząca konna, jak na rozkaz, rozdzieliła się, by nie wpaść na swoich, a na pościg lunęła ulewa strzał. W pierwszych szeregach powstał zamęt, niejeden spadł z konia, pozostali jednak wpadli na tarczowników, którzy zachwiali się pod naporem, jednak zahamowali pęd i walka zaczęła się bezładna, ale wzrastała zaciętość.

Kazimierz jednak, baczny na jej przebieg, zmiarkował, że jazda Mojsława doszła już do ładu i każdej chwili może wdać się w walkę, zagrażając otoczeniem jego sił. Zabrzmiały rogi na odwrót, jezdni oderwali się od tarczowników i rychło znaleźli się poza zasięgiem strzał, natomiast na równinie znowu rozpętała się bitwa jazdy. Mojsław zdołał już zaskoczyć Kazimierzowym od czoła, hamując odwrót, ale Kazimierz, widząc wzrastającą przewagę nieprzyjaciela, parł ku lasowi, każdej chwili spodziewając się nadejścia Skarbka z pieszymi.

Słońce tymczasem wbiło się już wysoko, nie pojone od rana konie Ustawać zaczynały, ludziom brakło tchu, pod skórzanymi jakami ciała kpiły się od potu, Mojsław jednak postanowił skończyć, czekając tylko, by dociągnęła jego piechota. Niepomyślna początkowo bitwa obracała się na jego korzyść, wrzawa chwilami cichła, gdy znużone płuca nie mogły już wydawać okrzyków.

Nagle krzyk od czoła wzmógł się. Mojsław poskoczył i zaklął. Z lasu wychodziły zastępy nieprzyjacielskiej piechoty, jego konni znaleźli się otoczeni. Zmiarkował to i Kazimierz, skrzyknął najbliższych i jakby im nowych sił przybyło, wbili się w stłoczoną gęstwę nieprzyjaciół, którzy widząc nadchodzącą zgubę, zaczęli dawać rozpaczliwy opór.

Kazimierz, który dotychczas starał się tylko czuwać nad przebiegiem walki, teraz postanowił sam wziąć w niej udział, by znużonym już dodać serca. Skarbek ze świeżymi siłami powinien bitwę rozstrzygnąć. Pierwsze jego szeregi wdarły się już w gęstwę wroga.

Zmiarkował to Mojsław i wydobywszy się ze skrzyżtu podskoczył naprzeciw nadciągającej własnej piechocie i odetchnął. Nadszedł Skomand ze swymi Prusami. Teraz pewny był już zwycięstwa. Ale krótko. Nagle na tyłach nadciągającej piechoty rozległy się wrzaski i nasilały się, Mojsław spojrzął i zdretniał. Po spiczastych hełmach poznał jazdę ruską.

Nadchodzące z pomocą Kazimierzowi świeże siły w rozstrzygającej chwili bitwy nie pozwalały Mojsławowi ludzi się, że zdoła jeszcze na swą korzyść ją rozstrzygnąć. Utracił już nad nią panowanie, widział, jak kto jeszcze wydoli wyrwać się ze skrzyżtu, uchodził, kto nie zdołał, próbował zrazu rzucić broń, ale w zamęcie bitewnym nie pora

była brać jeńca, więc kto nie cisnął oręża, bronić się zaczynał z rozpaczą, byle drogo sprzedać życie.

Michał Awdaniec, który przez cały czas bitwy miał księcia na oku, nagle z przerażeniem spostrzegł, że Kazimierz zniknął, widocznie obalony wraz z koniem. Nie zważając, kogo w zamęcie zostawia za sobą, rzucił się z pomocą, ale nim zdołał dotrzeć do leżącego, ujrzał, jak rosły tarczownik zasłonił sobą księcia, zbierając przeznaczone dla niego ciosy. Dосkoczył w samą porę, gdy obrońca legł, jeszcze własnym ciałem zasłaniając Kazimierza, a w ślad za Michałem dopadło kilku towarzyszy i roznieśli napastników na mieczach.

Michał zeskoczył z konia i odciągnawszy leżącego na księciu tarczownika, usiłował wydobyć Kazimierza spod konia, pobladły z niepokoju, co zastanie. Koń przywalił księciu tylko nogę, ale zlany był krwią. Gdy jednak z pomocą towarzyszy Michał odciągnął konia, Kazimierz sam usiłował powstać. Michał z niepokojem zapytał:

- Ranni jeście, miłościwy panie?

- Nic mi nie jest, jeno nogę mam potłuczoną - odparł Kazimierz i spojrzawszy na leżącego obok tarczownika dodał: - To jego krew, żywot mi ocalił.

Leżący bez ruchu pomału podniósł powieki, zamrugał oczyma i wyszeptał:

-Żywiście, miłościwy panie! Synaczka mam... - Nie dokończył, oczy uciekły mu w górę i uczyniły się szkliste. Księżę powiedział wzruszony:

- Wiem, co chciał rzec. Nie zabędę. - Cicho, jakby do siebie, dodał:

- Ocalił coś więcej niż żywot mój.

Michał pomógł potłuczonemu księciu dosiąść swego konia i ująwszy go przy pysku wyprowadził z bitwy, która już gasła. Uchodzących nie ścigano, i koniom, i ludziom, brakło sił. Na stratowanej w krwawe błoto równinie pozostali już tylko ci, którzy wstać nie mogli, martwi lub ciężko ranni. Tych należało naprzód opatrzeć, polegli mogą czekać. Gdy nadejdą juczne konie ze spyżą i sprzętem, spoczną we wspólnej mogile.

Mimo odniesionego zwycięstwa Kazimierz nie był pogodny. To dopiero pierwszy krok do odzyskania Mazowsza. Mojsława widziano, jak uchodził wraz z Skomandem, znając jego pychę i zaciętość było prawdopodobne, że będzie próbował odegrać się. Mazowsze zawsze żyło odrębnym życiem, nie miało nawet swego biskupa, nie brakło w nim jawnego pogaństwa, trzeba pracy i czasu, by zrosło się ostatecznie z resztą kraju, a i tam pracy nie brak.

Do wieczora znoszono i opatrywano rannych. Kazimierz polecił slars/yznie nie robić między nimi różnicy, wiedząc, że wyrozumiałością można z wroga uczynić przyjaciela. W starym kraju ci, którzy go wyganiaли, teraz gorliwością usiłują odkupić swą przewinę, miał nacł/icje, że i na Mazowszu tak będzie, szkoda ludzi i czasu, by łamać opór.

Już wieczorem nadciągnęła także ruska piechota, którą jarl Ostrom 11 wyprzedził z konnymi, otrzymawszy od podjazdu wiadomość o toczącej się bitwie. Zdążył na sam jej koniec. Straty miał niewielkie, ale samym nadejściem rozstrzygnął jej wynik, a teraz szedł do księcia powitać go, przekazać braterskie pozdrowienia od Jarosława, urazem oświadczając gotowość wzięcia udziału w zdobywaniu mazowieckich grodów, gdyby stawily opór. Kazimierz jednak, który miał nadzieję opanować Mazowsze bez dalszej walki, odpowiedział:

Wdzięchen wam jeśm, iżeście mi z pomocą pośpieli, gdy sił zaczęło brakować, ale tak mniemam, że grody nie dadzą już oporu, gdy się zwiedzą, że Mojsław kłęskę poniósł i uszedł.

- Jak wasza wola, miłościwy panie - odparł Ostromir - jak stoi zmowa, dłużniśmy wam pomoc. Ale i nam Mojsławowa właść nie po Wyśli, bo i do nas pogańską dzicz przepuszcza. Sam takóž nie był, popleczników ma na Mazowszu, którzy się przytaić gotowi, czekając, by wrócił, a możemy nie wydolić przyjsć wam z pomocą, bo piesze Wojska wolno idą i mało brakło, byśmy nie pośpieli wydażyc na bitwę.

-Daj Bóg, by nie było potrzeby - odparł Kazimierz. - I w starym krupi nie wszytcy czekali na mój powrót, a ninie już wraca ład, choć nieskoro. Pamiętają i tu ludzie piastowe panowanie i do nowego ładU Ule nakłonią. Tedy jeno podziękę odnieście dziewierzowi mojemu,

wielkiemu kniaziowi Jarosławowi, wraz z radosną wieścią, że spodziewać się może ryczła siostrzana.

Myślał o tym, jak niewiele brakło, by sam osierocił nie urodzonego, a ile już wdów i sierot przybyło, o które zadbać trzeba. Jak cierń tkwiła w nim nie dokończona prośba swego zbawcy, by zadbał o syna. A nie tylko o niego.

Do zapadnięcia ciemności znoszono i opatrywano rannych, pojono i obroczo konie, po czym znużeni woje pożywiali się przy ogniskach, ale wkrótce zaczęły przygasać, nad krwawym polem zapanowała zimna poświata pełnego księżyca i cisza przerywana tylko pojękiwaniem rannych.

Słońce już wzbilo się nad bory, gdy obóz zaszumiał znowu. Starszyzna zaczęła wprowadzać ład w pomieszanych hufcach. Rannych kilku jeszcze doszło, układano ich w długim szeregu poległych, jak pokot wielkich łowów.

Książę, który zasnął późno, zbierał się właśnie, by ich obejrzeć i odszukać między nimi tarczownika, któremu życie zawdzięcza, gdy przyszedł Michał. Pamiętał miejsce tego zajścia i odszukał zwłoki poległego, a nawet odnalazł jego dziewczera. Od niego wywiedział się, że poległy zwał się Cieszko, z wolnych kmieci był, małżonkę miał Czesławę i jednorocznego synka Domana, nad którym wuj przyrzekł objąć opiekę. Kmieć był zasobny, dworzec miał opodał majątności Dzierzysława Sreniawity, który także poległ. Książę uśmiechnął się smutno i rzekł:

- Nie jeno słowy umiał dowieść, że nie sami Awdańce żywot oddać potrafią. I on pewnikiem kogoś ostawił, o którego zadbać należy.

- Wraz się dowiem, miłościwy panie. Jest tu huf Śreniawitów, którym przywodził.

Książę w towarzystwie Skarbka poszedł obejrzeć poległych. Przygnębiony był widokiem skutków bratobójczej walki, do której doprowadziła pycha i żądza władzy jednego człowieka. Skarbek jednak widząc to, powiedział:

- Nie sumujcie się, miłościwy panie. Od męża nie można wyczekiwać mleka, jeno krwi!

- Jeno szkoda ją przelewać na marne - powiedział cicho Kazimierz.

Przez kilka następnych dni wojska oczekiwały na przysłanie z Liwa i pobliskich osad podwód celem odwiezienia rannych, a tymczasem wieść o klęsce Mojsława rozchodziła się po kraju. Z grodów leżących nad Narwią, Bugiem i Wisłą Mojsław ściągnął niemal wszystkie siły i Kazimierz słusznie przewidywał, że bronić się nie będą, choćby powrót Mazowsza do Polski nie wszystkim był na rękę. Toteż gdy tylko pochowano poległych, a rannych odesłano, by się lizali w swych domach, książę ruszył wojska, bez przeszkód przepawił je przez Bug i po drodze do Brańska napotkał poselstwo z tego grodu. Przynosiło oporu nie stawiać i gotowość wszelkich świadczeń, jakich książę domagać się będzie. Kazimierz nakazał tylko uzupełnienie spży dla wojska, zapowiedział zjazd w Płocku po żniwach celem złożenia hołdu i przysięgi posłuszeństwa przez grodotwierców i starszyznę rodów i nie wstępując nawet do grodu, pociągnął dalej, przekonany, że nigdzie już nie będzie zmuszony użyć siły. Jakoż istotnie nie napotkał oporu w żadnym z grodów leżących na drodze do Płocka, w Serocku, Zakroczymie, Wyszogrodzie wszędzie bramy zastał otwarte, niekiedy nawet spotykał się z objawami radości, że skończyła się samowola Mojsława. Zwłaszcza możliwe rody Gozdawów, Lisów, Doliwów i inne z niechęcią patrzyły na wyniesienie się człowieka niskiego pochodzenia, opierającego swą władzę na przymierzach z poganami.

W Płocku przyszło zabawić dłużej. Położony na wysokiej skarpie wiślanej, umocniony jeszcze przez Mojsława, gród nie posiadał Domu Bożego. Zamierzając tu założyć biskupstwo, Kazimierz przystąpił do budowy przyszłej katedry. Z nie zniszczonego najazdem kraju Mojsław zdołał zaopatrzyć skarbiec, brakło jednak duchownych, którzy by w na poły pogańskim kraju misję objąć mogli. Nie brakło i innych trosk. Mojsław grodotwiercami ustanowił przeważnie ludzi, którzy jemu tylko zawdzięczali swe wyniesienie. Wprawdzie stanęli na zjazd i złożyli przysięgę posłuszeństwa, ale Kazimierz nie mógł ich być pewny. Także pominięte przy tym stare rody niechętnie patrzyły na nowych dostojników, nie tając nawet, że od księcia oczekują zmian. Książę często uradzał nad tym z Wysotą który, bawiąc na Mazowszu

w czasie najazdu Brzetysława, znał ludzi i stosunki. Zapytany, komu jego zdaniem można tu zaufać, odparł:

-Nie wiem, miłościwy panie, komu można zaufać, ale wiem, komu nie można. Komesi pogranicznych grodów z Prusami i Jaćwieżą nie jeno nawykli bratać się z poganami, ale pospołu z nimi najazdy czynić. Jeśli radzić wolno, zmienić grodzierzców w Szreńsku, Grzeb-sku, Wiźnie i Świecku. Stare rody Mojsławowi krzywe, tedy między nimi najdzie zdatniejszych, którzy i swego bronić będą, gdyby Mojsław nie poniechał sprawy. Prostemu narodowi zasię zajędo, komu posłuch dłużny, byle sprawiedliwość nalazł.

- Pierwszy raz na Mazowszu jeśm, nie znam tu ludzi ni spraw. Wam łatwiej rozejrzeć się za zdatnymi.

- Jać się nie uchylam, miłościwy panie, ale nie moja sprawa dostoj-ników stanowić. Za siebie jeno mogę dać porękę, że wiernie wyko-nam, cokolwiek mi zlecicie. Niech mi jednak wolno będzie rzec, że trudno wlaść sprawować nad ludźmi, których się nie zna. Nierychło zasię będziecie na Mazowszu. Zda się, by was naród ujrzał, nie jeno ci, co was w walce lub na zjeździe widzieli.

Kazimierz westchnął:

-Nie wiem, zali nie będzie trzeba rychło tu wrócić. Mojsław uszedł, nie wątpić, że i on ma tu popleczników i odegrać się zechce z pogańską pomocą. Kraj jest wielki, wszędy być nie mogę i nie wia-da, w co raniej ręce włożyć.

- Młodziście, miłościwy panie, żywot przed wami i ludzi wam nie brak wiernie wspomagać was gotowych. I tu ich najdziecie pewni-kiem. Przedziad wasz siłą Mazowsze do swego kraju przyłączył, a mi-łość i posłuch pozyskać umiał.

- Ale przedziad mój swemu krewniakowi wielkorządztwo zawie-rzył, którego pewny być mógł. A rodzic mój Mojsławowi, bo nie miał krewniaka, któremu by mógł zawierzyć i ninie siłą zęgnąć go należa-ło, a nie wiada, zali to już kres wojnie domowej.

- Tedy nijakiego wielkorządcy nie ustanawiajcie. Jedna wlaść, jed-no prawo i obyczaj niechaj będzie dla całego kraju.

- 102

- Czasu na to potrzeba - powiedział książę w zamyśleniu. Na wszystko czasu potrzeba, ale najmniej miał go dla siebie. Ciągnęło go do Krakowa, do małżonki, ale słusność miał Wysota, że trzeba poznać ludzi i samemu dać się im poznać. Wspominał pobyt w klasztorze, gdzie dzień do dnia podobny, czas jakby stał w miejscu, każda godzina dnia i nocy upływała ustalonym porządkiem. Ale z własnej woli podjął odbudowę ojcowizny, wziął na siebie brzemię, któremu musi poddać, póki żywota starczy. A jeśli nie starczy, to przynajmniej posiew zostawi, którego plon zbierze jego następca.

Ku jesieni już szło, gdy Kazimierz, objechawszy prawobrzeżne grody z samym tylko hufcem Biegana, przeprowił się w Czersku przez Wisłę, by zwiedzić jeszcze lewobrzeżne. Oporu nigdzie nie napotkał, a prosty lud często witał go z radością, z dobrej woli przynosząc swe ubogie dary. Ale i z rodów rycerskich niejedyn młodziak wprosił się do przybocznego hufca, tak że mimo poniesionych w bitwie z Mojsławem strat liczniejszy był niż wyruszając. Pogoda sprzyjała podróży, ale noce zaczynały już być chłodne i książę przyspieszył pochód, by przed nastaniem jesiennych słońc stanąć w Krakowie. W Wiślicy przeprowił się przez Nidę i ciągnąc już gościńcem do niezbyt odległego Krakowa postanowił sam odwiedzić wdowę po poległym w jego obronie kmieciu. Hufiec przyboczny u przeprawy przez Śreniawę odesłał do Krakowa, by oznajmił, że na dniach tam stanie, a sam z młodym Awdańcem i kilkoma pachółkami puścił się w górę rzeki, nad którą położony miał być dworzec kmiecia Cieszki.

Jechali zrazu w milczeniu. Z południa już było, krótki dzień miał się ku schyłkowi. Rzadko widocznie uczęszczana droga wiodła między zalesionymi pagórkami. Milczenie przerwał Michał:

- Zwólcic, miłościwy panie, że skoczę przodem. Nocować nam przydzie, lepiej uprzedzić o waszym przyjeździe, a i drogę odnaleźć, pokąd jasno. Cieszków dziewierz drogę do osady mi opisał, ale o ćmie mogą się nie wyznaczyć.

- Jedź! - powiedział Kazimierz, a gdy Michał ruszył kłusem, zadumał się znowu. Za sieroctwo i wdowieństwo niczym odplącić, ale

czuł się zobowiązany przynajmniej wdzięczność okazać i zadbać o sierotę Tego widocznie chciał Cieszko, choć nie stało mu słów.

Słońce już zaszło, gdy wjechali w płytki wawóz o stromych zboczach, w którym leżał mrok. U wylotu stał Michał i wskazując na ścieżkę odbiegającą od drogi, powiedział:

- Jesteśmy u celu. Domostwo o dwa stajania. Uprzedziłem o waszym przyjeździe.

Kazimierz nic nie mówiąc skręcił z drogi na podmokłą łąkę, przez którą sączyła się bagnista struga, biegnąca ku Sreniawie, a na niewielkim wzniesieniu widać już było zabudowania osady. U wejścia stał rosły mąż z odkrytą głową, a gdy ksiązę podjechał, ucałował podaną mu dłoń i odbierając od niego konia, powiedział:

- Łaska to wasza, miłościwy panie, że własną osobą zechcieliście wdowę i sierotę odwiedzić. Zwólcie do izby, wraz wam siostra moja poda wieczerzę, jeno nakarmi małego.

- To wyście dziewierzem Cieszki? - zapytał ksiązę, choć już się tego domyślał. - W gościnie jeście tu?

- Osadę mam poblíž, a że mi małżonka zmarła przy połogu, ze wszystkim się tu zniosłem, bo nijak samej gospodarzyć niewieście. Ale wybaczcie, bo i o waszych ludzi zatroskać się muszę.

Odszedł, a ksiązę wraz z Michałem przez ciemną sień weszli do obszernej izby oświetlonej zatkniętym w żelazną kunę łuczywem. Cień chował się po kątach, ale nie było się za czym rozglądać. Dębowy stół pośrodku, trójnogie stolki nie wszystkie z oparciem, ławy pod ścianami i póły nad nimi ze sprzętem gospodarczym.

Sędek wrócił po chwili i mimo że ksiązę wskazał mu, by usiadł, słuchał stojąc, gdy ksiązę zaczął:

- Rad jeśćm, że was tu widzę, bo iście po to przyjechałem, by obaczyć, zali czego nie trzeba sierotom. Nijak za żywot odpłacić, ale czym wydole, rad bych się wywdzięczyc. Tedy rzeknicie, zali wam czego trzeba.

- Jeśli wasza łaska, miłościwy panie, koń by się zdał i trochę srebra, by łazęgów wynając, bo dwoje rąk na dwa gospodarstwa mało.

- Konie wam ostawię, na których pachołkowie przyjechali, srebra wam dośle, a prawo połowu na Śreniawie będzie wam nadane.

- Dzięki wam, miłośniwy panie, ale prawo rybołówstwa Dzierżysławowi Śreniawicie służy dziedzicznie. I on poległ, ale ostała wdowa z otrokiem tylko co postrzyżonym. Zasobny był człek, ale nie wiada, jak sobie wdowa radzi, gdy rataje nie czują nad sobą męskiej ręki.

Książę zamyślił się. Mężowie muszą wiedzieć, że w razie gdy im lec przyjdzie, wdowy i sieroty nie zostaną bez opieki. Zapytał:

- Daleko do Dzierżysławowego dworca?

- Z naszą graniczy ziemia Gosława Lisa, którą od Dzierżysława zakupił, a dalej w górę rzeki Dzierżysławowe, niecałe pół dnia drogi.

- Tedy i te sieroty odwiedzę, skoro już tu jeśm - powiedział książę - a ninie chciałbym wasze obaczyć.

Sędek wyszedł i po chwili wrócił, mówiąc:

- Czesława nakarmiła już czędo, a ninie wieczerzę warzy i skoro tu będzie.

Sędek nakrył stół białym ręcznikiem, z póły zdjął i postawił przed księciem i Michałem rzadko używane cynowe misy i kubki, od łuczywa zapalił woskowe świece i postawiwszy je na stole w glinianym świeczniku wyszedł, by po chwili wrócić niosąc kamionkę z piwem i rzekł:

- Wiem, że na srebrze jadać obykliście, ale czym chata bogata, tym rada.

Kazimierz odparł:

- Za gościnę, jaka jest, dziękuję, ale z wyprawy ninie wracamy, bywało, że i z kotła pożywić się wypadło. Głodnemu zajedno, byle było co.

- Tylko patrzeć, jak będzie - powiedział Sędek i istotnie drzwi się otwały i weszła niewiasta, niosąc sady z polewką, a w koszu chleb i wędzone mięso. Przez zapaskę ujęła rękę księcia do pocałowania. Na pochylonej głowie miała czepiec wdowi, spod którego wymykały się jasne kędziory. Gdy wyprostowała się, na księcia spojrzwały wielkie, błękitne oczy. Gdyby nie czepiec, można by ją wziąć za młodą dziewczynę, twarz miała gładką i białą, przekreśloną ciemnymi

brwiami, i koralowe usta. Księcia na jej widok ogarnęło wzruszenie; w kwiecie lat została wdową, nie słowami ją można pocieszyć. By coś rzec, powiedział:

- Rad jeść, że brat twój pieczę nad wami objął, choć małżonka i rodzica nikt nie zastąpi.

Przymknęła oczy, jakby hamując łzy, a księżę ciągnął:

- Synaczka waszego chciałbym ujrzeć. Nie zabędę, com jego rodzicowi dłużeń. Niechaj się zdrowo chowa, gdy żrały będzie, pomyślę o odwzięce.

- Wraz go przyniosę, jeśli jeszcze nie śpi - powiedziała. Głos miała wysoki i śpiewny. Wyszła i po chwili wróciła, niosąc chłopczyka, który na widok obcych ludzi przytulił się do matki i rozplakał. Księżę głaszcząc go po głowie, powiedział:

- Nie lękaj się mnie, rad bych ci nieba przychylił - a zwracając się do Czesławy, która też miała łzy w oczach, zapytał:

- Ile też godów sobie liczy, bo spory widzę wyrostek? Pewnikiem ino patrzeć, jak chodzić i gadać zacznie.

- Rychło będzie mu dwa, a dawno sam chodzi, gadać też. Już zaczął, ino obcych widzieć nie obykły. Doman mu jest po moim rodzicu - dodała.

Postawiła malca na ziemi, który ujął matczyną zapaskę i widocznie spłoszony, a zarazem zaciekawiony spoglądał na księcia. Kazimierz uśmiechnął się do niego, mówiąc:

- Szczęsnyś, iż nie zaznasz sierocej doli. Chowaj się zdrowo, a przydzie czas, za ojcową kry¹ ci odwzięcę.

Pogłaskał chłopczyka po głowie i gdy Czesława z nim odeszła, zasiedli do wieczerzy, a Sędek wyszedł do gospodarstwa. Pożywiali się przez chwilę w milczeniu, ale rychło skończyli i księżę siedział zadumany. Michał zapytał nieśmiało:

- Nad czym rozmyślacie, miłościwy panie? Zdrożeni jesteście, czas wam spocząć.

- Myślę, ile zła może wyrządzić pycha jednego człeka. Gdyby mnie nie stało, ty pomnij, com dłużej onej sierocie.

- Co prawicie, miłościwy panie! Wždy wiek przed wami.

- Mało brakło? Nikto nie wie, kamo i kiedy kości złoży. Myślę i o moim jeszcze nie urodzonym. Przyrzeknij, że i jego nie opuścisz, gdyby mnie nie stało.

- Na cześć swoją przyrzekam, ale skąd wam takowe myśli, miłościwy panie?

- Może przeto, że znowu tyle wdów i sierot ostało, nie o każde ma się kto zatroszczyć. Skoro już tu pobliż jesteśmy, sieroty po Dzierżysławie chcę odwiedzić, zapytać, zali i im czego nie trzeba.

- Wasza wola, miłościwy panie - odparł Michał i wyszedł zawołać Sędka, by przygotował nocleg.

Późny świt dopiero zabarwił niebo, gdy ksiączę z Michałem stał gotowy do drogi. Pachołków na piechotę odesłał do Krakowa, a Sędkowi zapowiedział, że raz jeszcze skorzysta z gościny, zamierzając wieczorem wrócić. Dojechawszy do drogi, puścili konie w cwał, chwilami tylko przechodząc w stępa, by trochę wydychały. Minęli widoczny opodal dworzec Gosława Lisa i nie było jeszcze południa, gdy stanęli u celu. Obszerny dziedziniec zabudowany był z trzech stron budynkami gospodarczymi z dworcem mieszkalnym pośrodku, nie widać na nim było żadnego ruchu. Z obory dochodził ryk bydła, kilka kur kręciło się koło domu, jedyne oznaki, że dworzec zamieszkały jest.

Michał zeskoczył z konia i pomógłszy zsiąść księciu, przywiązał rumaki do słupka podtrzymującego daszek nad wejściem i przez otwarte na ścieżaj drzwi wszedł do środka.

Dom na przestrzał podzielony był długą sienią z widokiem na sad na tyłach, po obydwu stronach sieni kilkoro drzwi do izb mieszkalnych. Mimo że dzień był słoneczny, błony w oknach niewiele przepuszczały światła. W izbie pierwszej z krają panował półmrok, nie było w niej nikogo, to samo w następnej. Gdy z kolei wszedł do trzeciej, pierwiej usłyszał, niż spostrzegł siedzącą na łożu niewiastę z twarzą ukrytą w dłoniach, z włosom rozwianym na odkrytej głowie. Gdy

podszedł do niej, podniosła głowę i na widok nieznanego krzyknęła przestraszona.

- Nie lękajcie się - powiedział. - Sam ksiązę przyjechali do was ujrzeć, zali wam czego nie trzeba.

Zamiast odpowiedzieć, rozplakała się na cały głos. Przez chwilę czekał, by się uspokoiła, po czym rzekł:

-Uspokójcie się i ogarnijcie. Nie przystoi dać czekać ksiązęciu.

Głosem przerywanym szlochem powiedziała:

- Jakoż mi podejmować takowego gościa? Jeno wieść przyszła, że mój małżonek legł, rozprzegło się wszystko. Dziewki się pewnikiem gdzieś grzą z ratajami, ani komu krów wydoić, ani o chudobę zadbać. Bez mała głodować przydzie...

- Poszukam ja ich i do posłuchu wdrożę, a wy się przybierzcie i wyjdźcie ksiązęcia powitać. A syn wasz kamo? - zapytał.

- I tego nie wiem - odparła. - Jeno rodzicielskiej ręki brakło, zgoła z posłuchu wyszedł. Jeszcze mi odszczeknął, że postrzyżony jest, tedy niewiasty nic mu nie mają do przykazywania.

Pokiwał głową i wyszedł. Do siedzącego na podcieniu księcia powiedział:

- Gospodarstwo zda się zasobne, jeno brak mu męskiej ręki, a niewiasta zgoła bezradna jest, jeno lutać umie. Pójdę ja onych dziewczek poszukać, niechby co zgotowały na obiad, bo i same żreć muszą, a tymczasem może się gospodna zbierze, by was powitać.

- Poczekam - powiedział ksiązę. - A onże malec kamo?

- Odszukam i jego, jeśli jest gdzieś pobliz. Z nim takoz radzić sobie nie umie.

Dziewki odnalazł w sadzie i nie żałując głosu zagnał do pracy, po czym rozejrzał się za chłopcem. Widziały go, jak szedł ku rzece, więc Michał skierował się tam. Urwiste brzegi zarośnięte były wikliną i nie od razu zauważył chłopca, który widocznie rękoma łowił ryby czy raki w przybrzeżnych jamach. Stanąwszy nad nim, Michał powiedział:

- Póđz do dom. Ksiązę do was przyjechali i chcą cię widzieć.

Chłopiec nie spiesząc wygramolił się na brzeg i powiedział:

- Ja także chciałbym obaczyć księżęcia, bo jeszcze nigdy nie widziałem. A ty coś za jeden? - zapytał.

Michał uśmiechnął się na poufałość malca, który zgoła nie zdał się zmieszany i odparł:

- Jam jest Michał Awdaniec.

- A ja Nawój Sreniawita - wyciągając rękę odparł chłopiec. - Skoro rodzic mój legł, wszystko tu jest moje - ręką zatoczył dokoła.

Michał uśmiechnął się znowu. Bawiła go pewność siebie chłopca, mimo że niezbyt dostojnie wyglądał, bosi, w parcianym giele i portkach ociekających wodą, z parcianą torbą przewieszoną przez ramię, w której znajdował się widocznie łup z połowu. Szczupły był, niezbyt wyrosnięty na swój wiek, z twarzą pociągłą i małymi bystrzymi oczkami. Michał powiedział:

- Pódzi do dom przybrać się przystojnie. Skoroś ty tu cały gospo-dzin, twoja rzecz księżęcia ugościć.

Chłopiec zachmurzył się, i cokolwiek zmieszany, powiedział:

- Jeno jak to uczynić, skoro nikt mnie tu słuchać nie chce.

- Pokojny bądź. Już ja dziewczki do pracy zagnałem. Z ratajami też pogadam po swojemu. Pódzi!

Szli przez dziedziniec, z dala już dostrzegając, że Kazimierz nadal siedzi na podcieniu. Gdy się zbliżali, Nawój zapytał:

- Po czym poznać, że to księżę? Zgoła na zwykłego człeka patrzy. - Michał mimo woli zaśmiał się:

- Człek jest jako drudzy, jeno właśc ma nad wszystkimi; który żywic w tym kraju, posłuch mu dłużny.

- To przecz Mojsław go nie słuchał? - zapytał, lecz odpowiedzi już nie otrzymał, bo podeszli do księcia, a Michał rzekł:

- Owo jest dziedzic, Nawój Dzierżysławów. Jeno się odzieje przystojnie, przydzie was powitać.

- Ostaw! - powiedział Kazimierz, a zwracając się do chłopca, dodał:

- Siadaj wedle mnie. Przybyłem tu obaczyć, jako się wam wiedzie i zali czego nie trzeba.

Chciał chłopca pogładzić po zwichrzonej czuprynie, ale ten uchylił się nieznacznie i odparł:

- Mnie ta niczego, jeno matuś prawi, że bez chłopa jako bez ręki.

A ja to co?

- Jeno nie żrały jeś - powiedział ksiązę. Patrzył na wątłą postać chłopca. Bez męskiej opieki zmamić się może. Zapytał:

- Krewniaków macie? Może by któryś objął pieczę nad wami?

- Iście mamy. Gdybym szczeł, puściznę po mnie objęliby.

Książę zaskoczony zapytał:

- Skądże ci to na myśl przyszło?

- Rataje między sobą gadali. Im dogodniej tak jak jest.

Rozmowę przerwało wejście Michała z niewiastą która podjęła Kazimierza pod nogi, zapraszając na posiłek:

- Wybaczcie, miłościwy panie, alem się takowych gości nie spodziewała. Ani nie wiem, co tam dziewczki zgotowały. Robią, co chcą.

Nie potrzebowała tego mówić. Bezradność widniała z całej jej postaci. Oczy miała jeszcze zapłakane, strój niedbały, czepiec na głowie przekrzywiony.

Spostrzegłszy chłopca, ciągnęła:

-Należliście to złe ziele. Jeno się włóczy. A zwracając się do chłopca, powiedziała:

- Idzi się przybrać przystojnie. Na łazęgę patrzysz.

- To i co? - odparł. - Książę i tak wiedzą, kto jeśm.

Kazimierz jednak zwrócił się do chłopca:

- Iście wiem, ale przykazuje ci macierz przybrać się, posłuch jej dłużnyś.

- Macierz chciałaby jeno, bym się jej zapaski dzierzył jak czędo - odmruknął, ale oddalił się, a Kazimierz z Michałem weszli do domu, gdzie stół zastali już nakryty. Posilali się w milczeniu, po czym Kazimierz, żegnając Nawojkę, powiedział:

- Iście brak tu męskiej ręki. Za włodarzem by się obejrzyć należało. A ty - zwrócił się do Michała - odszukaj ratai, niechaj konie napoją i naobroczą i wracać nam.

- Ani was śmiem prosić, byście na noc ostali - powiedziała Nawojka. - Taka to i u mnie gościna!

Z południa już było, gdy ksiązę z Michałem puścili się w powrotną drogę. Kazimierz jechał zadumany i dłuższy czas panowało milczenie. Gdy przeszli w stępa, przerwał je Michał:

- Jeśli pytać wolno, nad czym rozmyślacie, miłościwy panie?

- Myślę, ile też takich wdów i sierot ostało i nie wiada, jak im pomóc.

- Pirwa to powinność swojaków pieczę objąć nad nimi - powiedział Michał. - Wždy ani wszystkich odwiedzić nie wydolicie, a nie to jedno na waszej głowie.

- Nie to jedno - powiedział ksiązę. - Alić z tego, co widziałem, niejednakowa sieroca dola. O tym wyrostku myślę. Bystry jest nad wiek, ale przy takiej macierzy zmamić się może. A bodaj czy nie prawda, co mi rzekł, że swojakom na rękę byłoby, gdyby szczeł, boby prawem bliższości majątność przejęli.

- Ale choć nietęgi, zaradny się patrzy - odparł Michał - a nijak go macierzy odbierać, choćby się zgodziła, bo raniej on jej wyręką będzie, niżli ona jemu.

Rozmowa się urwała, bo puścili konie w cwał, by przed wieczorem dotrzeć do Cieszkowej osady. Słońce już zachodziło, gdy zboczyli z drogi, a Sędek czekał na nich z wieczszą. Pożywiwszy się, ukladli się na spoczynek, by, wyruszywszy o świcie, jednym dniem stanąć w Krakowie.

I tu wszystko czekało na księcia, ale tylko z konia zsiadł, udał się do babinca powitać małżonkę. Widać już było wyraźnie, że jest w ciąży, doświadczone niewiasty zapowiadały, że przyjdzie im powitać dziedzica z Nowym Rokiem. Nie oszczędzono jej wieści o niebezpieczeństwie, w jakim znalazł się ksiązę, oraz o przyczynie opóźnienia jego powrotu, ale gdy zaczął się usprawiedliwiać, powiedziała:

- To twoja powinność zadbać o sieroty po mężu, któremu do zgonu wdzięczność będę dłużna, że mój nie urodzony sierotą nie ostał. Przystałoby i Bogu podziękować.

- Myślałem i ja o tym - odparł Kazimierz. - I bez tego Domów Bożych brak po onym najeździe. Naradzę się z Aaronem, kamo najpilniejsze.

- Aaron już się przeniósł do swoich mnichów - odparła. - Uwiadomisz go o swym powrocie, pewnikiem się zjawi lubo sam zechcesz obejrzeć nową siedzibę klasztoru. Może też raniej z Rachelinem pogadać przystało. Bardzo na zdrowiu podupał, często bóle wielkie go chwytają, tak że nawet rzadko w swej tymczasowej katedrze bywa, ale człek doświadczony jest i o Kościół dbały.

- Pogadam z nim, a do Tyńca sam pojedę, ino sprawy bieżące załadę, których pewnikiem narosło. A ty jakoże się czujesz? - zapytał.

- Niczego mi nie brak, krom ciebie - przytuliła się do męża. - Ale wiem, żeś ty nie mój, jeno jam twoja.

Rankiem Kazimierz zbierał się chorego biskupa odwiedzić na Okole, dokąd się przeniósł, gdy zjawili się u niego Skarbek i Michał Awdańce, by się pożegnać. Książę żegnał ich życzliwie, choć ze smutkiem, przywiązał się bowiem i nawykł do młodego Michała, i ściskając go, powiedział:

-Nie zatrzymując, bo zda się i tobie spocząć i odwiedzić rodzicieli, ale pomnij, coś przyrzekł, że opiekować się będziesz moim synaczkiem, gdyby mnie nie stało. Byś zasię nie zabył, do chrztu świętego trzymać go będziesz i w razie potrzeby zastąpisz rodzica.

Michał, dziękując, do ręki księcia się pochylił, a Skarbek również wzruszony, rzekł:

- Zaszczyt to dla nas niemały i zawidić nam go będą, ale to nam nie nowina. Ostawiłbym wam otroka, ale czas mu małżonkę pojąć. Jest u Nałęczów dziewczka nadobna, wiano też niemałe. Niechaj się stara, by waszemu nie urodzonemu wiernych sług przybyło.

-Niechaj ci się szczęści, otroku - powiedział książę, ściskając Michała za głowę. - Jeno się jakiś znaczniejszy urząd opróżni, tobie go nadam, choć za sierdce jeno sierdce można zapłacić.

Rachelin istotnie przez czas nieobecności księcia znacznie się pochylił. Zapytany o zdrowie, odparł:

- Starość i chorość to jedno. Wybaczcie, iżem was witać nie wyszedł, gdy mnie bóle chwycą, sobą nie władne. Ale jeno się pozbie-

ram, nabożeństwo odprawię dziękczynne, bo słyszę, śmierć przeszła wedle was. Jak prawią, nie jeno wołu, ale i ciołka skórę wieszają się na ścianie.

- O tym i ja myślę, jak Bogu podziękować za ocalenie i nie w ostatku w tej sprawie naradzić się przychodzę.

Rachelin zamyślił się i po chwili zaczął:

- Po mojej katedrze już i gruz uprzątnięto, ale wiem, że zasobów na odbudowę nie dostaje, a są pilniejsze sprawy. Mnie już do śmierci święty Michał za katedrę obstoi, ale rad bych dożył odbudowy szkoły katedralnej, bo na nic Domy Boże, gdy duchowieństwa brak. Pokąd się swoich nie wychowa, obcych sprowadzić należy, jak drzewiej bywało, z Korbei i Fuldy. Najdzie i takich, co polską mowę znają, na misję w słowiańskich krajach szkoleni.

- Jeno że prosty naród obcych nierad widzi i nie w ostatku przeto się podniósł - powiedział Kazimierz w zamyśleniu, ale Rachelin odparł żywo:

- Wybaczcie, miłościwy panie, i jam był obcy, a ninie jeśm swój. Wždy i wasza macierz Niemkiny, zali nie swój jeście? Wždy mogliście ostać w Niemczech, miast podejmować trud odbudowy ojcowizny. Tam człek przynależy, kamo serdce umieści. I nie wszystko, co obce, jest złe. Zdałoby się i naszą młódz wysłać w obce kraje, by poznała i mowy, i ludzi. Brat Aaron mógłby w tym pomóc, samże na zachodzie kształcony, najlepiej się wyzna, jak nią pokierować, by z pożytkiem dla kraju wróciła.

- Praw jeście, za radę dziękuję i pogadam z Aaronem - powiedział książe i pożegnał biskupa.

Wykorzystując spokojniejszy czas, Kazimierz postanowił nie zwlekać z odbudową organizacji kościelnej. W pogodny ranek ze szczupłym orszakiem przeprowił się na drugi brzeg Wisły i krętą drogą wiodącą na przemian wśród skalistych wzgórz, bagien i rozlewisk skierował się do niezbyt odległego Tyńca. Z dała już, na wyniosłej skale, przepaścią opadającej ku rzece, ujrzał świecące w słońcu świeżym jeszcze drewnem zabudowania klasztorne.

Świeża też była jeszcze osada budująca się u stóp wzgórza, w której Kazimierz zostawił konie i orszak, a sam stromym podejściem wspinał się ku bramie, nad którą widniał łaciński napis: „*pateat miseris et amicis*”. Istotnie otwarta była, a u wejścia młody braciszek, swojego już widocznie chowu, ukląkłszy pokornie witał księcia, prosząc o błogosławieństwo, a zarazem oznajmiając, że opat i bracia są na prymie, a modły wkrótce się skończą i wówczas przybycie gościa oznajmi.

Z niewielkiego drewnianego kościółka dochodziły głosy chóralnych modłów. Książę wspomniawszy własny pobyt w klasztorze. Tam panował spokój, którego już nie odnajdzie do końca swego żywota. Odbudowę dzieła przodków niemal od podwalin trzeba zaczynać. Westchnął: nie ma nadziei, by kiedyś w kraju ujrzeć wspaniałe Domy Boże, jakie widział na zachodzie. Może je kiedyś zbuduje jego następca, zbierze owoce ojcowego trudu; nie posiać, nie będzie plonu, nieważne, kto go zbierze.

Zamyślenie Kazimierza przerwał nadchodzący Aaron, który witał księcia z radością, zapraszając na posiłek, a potem na obejrzenie, czego już dokonał. Książę z zadowoleniem ujrzawszy, jak kopiuje się księgi dla zamierzonej szkoły katedralnej. Gdy zaczął mówić o tym, że biskup Rachelin chciałby jeszcze za swego życia zobaczyć jej odnowienie, Aaron odparł:

-I moją to troską następców sobie zgotować. Człek nie wieczny jest, jeno Kościół Boży. Paru oblatów" już pozyskać zdołałem, których do stanu duchownego przysposabiam, a co zdatniejszych wysłać zamierzam, by poznali obce kraje i ludzi.

- Rachelin radzi mnichów sprowadzić z Korbei i Fuldy, bo nierychło swoich przyjdzie wyhodować - powiedział Kazimierz w zamyśleniu. - Co o tym myślicie, wielebny bracie?

- Wždy Kościół jeden jest, jak jeden Bóg, choć niejedną mową ludzie Go chwalą. Trudno od prostaczków czekać, by Go wszytycy

Pateat miseris et amicis (łac.) - otwarta dla ubogich i przyjaciół.

² *Oblatus* (łac.) - ofiarowany.

chwalili mową uświęconą napisem na Chrystusowym krzyżu, ja sam z dziecięcego nawyku modlić się obykłem, jak mnie macierz uczyła. Bóg wszytkie mowy rozumie.

Kazimierz zarumienił się: choć nieobca mu łacina, jego matka uczyła modlić się po niemiecku. Rachelin sam z Niemców, ale słusznie prawił, że nie mową, ale sercem się przynależy. Zwrócił się do Aarona:

- Wdzięezen wam jeśm, iże zdjęliście ze mnie troskę o odbudowę Kościoła, gdy mnie innych nie brak. Wiem, że klasztory znoszą się między sobą, tedy wam zlecam sprowadzenie tych mnichów, jeno kamo myślicie ich osadzić?

- Zdałoby się na zachodzie, gdziesi nad Odrą, może w Lubuszy - odparł Aaron. - Ninie zechciejcie obaczyć, jak tu gospodarzemy.

Zeszli nad Wisłę, gdzie Aaron pokazywał zmyślnie urządzony przewóz na linie, po której sam prąd przynosił prom. Potem obesli klasztorne wzgórze, na którego południowym stoku mnisi zasadzili winną latorośl, by doczekać się wkrótce własnego wina mszalnego. Resztę obszernej, ogrodzonej przestrzeni zajmował młody sad. Usiedli w dogrzewającym jeszcze jesiennym słońcu, gwarząc o wyprawie na Mazowsze. Książę nie taił, że niepokoi go ucieczka Moj sława. Pyszny człowiek będzie jeszcze usiłował z pomocą wrogów odegrać się. O odzyskaniu Śląska jeszcze nierychło można będzie pomyśleć. Gdy opat wstał, przepraszając, że musi udać się na tercję, książę pożegnał go życzliwie, mówiąc, że spokojny jest o sprawy, które zlecił Aaronowi, a w Krakowie czekają go inne. Myślał jednak przede wszystkim o małżonce i oczekiwanym dziedzicu. Jeśli nie zmuszą go okoliczności, postanowił nie opuszczać jej aż. do porodu. Niepokój o niego mógł zaszkodzić nie urodzonemu. Nie brakło zresztą zajęć na miejscu, a wkrótce słotna jesień drogi uczyniła przepadlistymi, a brody na wezbranych rzekach nieprzebytymi. Zima nadchodziła z ociąganiem, jesienna słota coraz częściej niosła śniegowe płaty i dłużył się też czas oczekiwania na urodzenie następcy.

Zima uderzyła nagle, północne wichry niosły zawieje i zamiecie, drogi stały się kopne, gród jakby przysiadł pod śniegową czapą. Na (lody nie było zjazdu, bez koniecznej potrzeby nikt nie ruszał z domu.

Wreszcie wicher ustał, szare niebo wyczyściło się, na bladym błękitcie ukazało się dawno nie widziane słońce, a zarazem siarczysty mróz skuł rzeki lodową skorupą.

Kazimierz już zaczynał przypuszczać, że doświadczona Sądysława pomyliła się w obliczeniu, gdy jednego ranka doniesiono mu, że poród się zaczął. Do babinca nie wpuszczano nikogo z mężów, przez cały dzień krążył przeto koło niego, nasłuchując idących stamtąd odgłosów. Przemarznięty i głodny, pod wieczór wszedł do świetlicy, by się rozgrzać i pożywić, gdy zjawiła się Sądysława. Zerwał się, z niepokoju nie mogąc słowa wymówić, lecz ona nie czekając na zapytanie, rzekła:

- Ninie już możecie, miłościwy panie, obejrzeć swego dziedzica.

Niemal pobiegł do babinca, ledwo Sądysława zdołała za nim nadążyć. Nowina rozeszła się już po grodzie, pod babincem był niemal tłum, który rozstał się przed księciem. Wszedł do izby, w której leżała położnica, umyta już po wysiłku i okryta miękką łosiową skórą. Nic nie mówiąc, przystąpił do niej i ujął za wyciągniętą do niego rękę, a ona rzekła:

- Duży jest, przeto i ciężko było, ale już dobrze. Pobłogosław go.

Skinęła na służebne, wskazując na kołyskę. Sądysława jednak sama wyjęła dziecko i wręczając je Kazimierzowi powiedziała:

- Wasz jest, podnieście go!

Nieśmiało ujął malca, który wykrzyczawszy się spał, i powiedział cicho:

-Mój!

Po przetartych już drogach wieść o urodzeniu dziedzica lotem rozchodziła się po kraju, budząc wszędzie nadzieję lepszej przyszłości, a zarazem niepewne jeszcze wieści o cesarskiej wyprawie na Czechy. Z chrztem i nadaniem imienia postanowiono czekać na przybycie Michała Awdanca, który musiał już również mieć wiadomość o urodzeniu dziedzica i czekającym go zaszczycie trzymania go do chrztu. Kazimierz zaczynał się niecierpliwić, a nawet niepokoić, gdy wreszcie pogodnego dnia oznajmiono mu, że orszak z Michałem na czele stanął na podgrodziu, a sam Michał, jeno przebierze się z drogi, zjawi

się u księcia. Oboje księstwo z radością witali swego ulubieńca. Dobronęga jakby odmłodziła po porodzie i z nie ukrywaną dumą pokazała swego potomka przyszłemu ojcu chrzestnemu. Ku czci wielkiego dziada postanowiono chłopczykowi nadać imię Bolesław, które wielką sławę oznacza, a sam Rachelin, mimo że coraz częściej zapadał na zdrowiu, miał udzielić mu chrztu.

Gdy się już nacieszyli miłym gościem, Kazimierz bez wyrzutu zapytał o przyczynę późnego przyjazdu. Michał trochę zmieszany, odparł:

- Trochę się zawlekło z moim weseliskiem, ale nie to jedyną przyczyną. Wieści dochodziły o cesarskiej wyprawie na Czechy. Gdyby /asie kłeskę poniósł, Brzetysław umocniłby się tak, że ino patrzeć nowego najazdu. Gotowym być należało od wypadku. Jeśli jeszcze nie macie wieści, jak owo wyszło, rad jeść, że takowy podarunek swemu chrześniakowi przynoszę, krom żrebnej, śnieżnobiałej klaczy, pono po świętym ogierze z Retra, bogdaj na niej jeszcze dalej zajechał niżli przedziad.

- Pomyślnej wieści nie ja sam tylko rad będę wysłuchać. Rządnie opowiesz na uczcie, którą po obyczaju na chrzcinach wyprawię. Krótko jeno rzeknij, czy dla nas wieść pomyślna?

- Śląsk, kromie Gołęzan i Opolan, wraca do nas! Prawda, że trybut z niego płacimy Czechom, ale zapłacimy lubo nie, czescy starostowie już z ziem Ślązan, Trzcbowian, Bobrzan i Dziadoszan ustąpić musieli i Wrocław zasię nasz. Sam od tamecznego starosty włość przejmowałem, a lud się radował, bo srogiego od Czechów doznawał ucisku. Wielu, co przed nim uszło, zarówno z rycerstwa, jak i pospółstwa, wraca ninie na stare siedziby.

- Czekałem, by ci jakowyś urząd nadać - przerwał Kazimierz - tedy skoroś włość od czeskiego starosty przejmował, ostań przy niej jako wrocławski wojewoda.

Michał aż zarumienił się z radości i pochylając się do ręki księcia, powiedział:

Nie pożałujecie, miłościwy panie. By zasię i synowi waszemu wiernych sług nic brakło, juzem się o to postarał. Choć jeszcze nierychło, ja was na chrzestnego rodzica poproszę.

- Rad będę ci odwdzięczyć - powiedział Kazimierz, ściskając Michała. - A co z twym rodzicem i strykami?

- Rodzic mój już odszedł do ojców, jakoś po Godach, stryk Michał nieco słabuje, wojować chyba skończył, bo i Bogu dzięki już nie ma z kim, otroków dwóch ninie przysposabia, by gdy zajdzie potrzeba, godnie go zastąpili, stryk Skarbek zasię w Poznaniu bawi, by tam co trzeba załadzić. Z pokłonem ślą do was i dary dla waszego syna także przywożem w łupieżach bobrowych i gronostajowych. I jeszcze jedno, choć nie najważniejsze: król Henryk za dokonane w Polsce łupieństwa kazał Brzetysławowi zapłacić pięćdziesiąt grzywien złota i dwa tysiące srebra, które także przywożem.

Kazimierz westchnął:

- Jedna jeno płyta z Wojciechowego grobu trzysta grzywien ważyła, ale iście lepsza królewska sprawiedliwość niżli papieska. Najważniejsze, że się król Henryk za nami ujął, choć nie po to, by Polskę umocnić, jeno czeskiego lennika osłabić. Tedy spokój mamy i od Czechów, i od Niemiec, z Rusią przymierze, jeno Mazowsze jeszcze niepewne, pokąd Mojsław żywie i u sąsiedniego pogaństwa pomoc należeć może. Iście dobre przyniosłeś nowiny i pod dobrą wróżbą synaczek mój swój żywot rozpoczyna. Może mu kiedyś dane będzie odbudować państwo Chrobrego i jak on królewską koroną się ozdobić.

- Daj to Bóg i wam pozbyć się lennej zależności. Król Henryk swego, a nie naszego strzeże - powiedział Michał. - Przykładu szukać niedaleko. Sprzyjał Brzetysławowi, pokąd się przeciw rodzicowi buntował, próbował zrzucić zależność, omal go tronu, a bodaj i żywota nie zbawił. Podarowana wolność niepewna, jeno własną siłą się ostoi.

- Praw jeś, ale to dzieło na lata, nie wiem, zali mi żywota starczy - powiedział Kazimierz w zamyśleniu: - Boga chwalić, że mam już następcę.

Henryk jako pan całego chrześcijańskiego świata nie tylko nie chciał, ale nie mógł zadanej mu przez Brzetysława klęski pozostawić bez odpłaty. Rozdęty pychą z powodu odniesionego nad cesarzem

zwycięstwa nie tylko zelżył margrafa Ekkeharda, ale samemu cesarzowi poważyl się grozić: „Dopóki u boku Brzetysława wisi miecz, nie pocieże mleko z boku cesarza, lecz krew”. Henryk, podrażniony pogroźką, postanowił zniszczyć butnego lennika, przestrzeżony jednak porażką, która go dużo krwi kosztowała, postanowił nie lekceważyć bitnego i chytrego przeciwnika. Toteż zapewniwszy sobie pomoc węgierskiego Piotra, nakazał wszystkim lennikom i książętom stawić się na wyprawę przeciw Czechom.

Przygotowania do wyprawy nie mogły pozostać dla Brzetysława tajemnicą, ufny jednak w swoją chytryść i przebiegłość ponastrajał różne pułapki, mając nadzieję, że jak poprzednio wojska cesarskie w nie ułowi i raz na zawsze pozbędzie się lennej zależności. W lasach kazał kopać wilcze doły i walić przesieki, u przepraw i w wąwozach przygotował zasadzki i pewny siebie czekał na rozpoczęcie najazdu. Walnej bitwy nie zamierzał wydawać, licząc się z liczebną przewagą przeciwnika, natomiast rozproszone drobne oddziały miały służyć tylko do wciągania go w pułapki.

Henryk pamiętał jednak, co było przyczyną poniesionej klęski. Trzema zwartymi falami, od południa, północy i zachodu, wojska cesarskie i węgierskie wtargnęły jednocześnie do kraju, unikając pułapek i nie bawiąc się w zdobywanie grodów, niszczyły i paliły wszystko po drodze, zmierzając do stołecznej Pragi. Plony dopiero co ukończonych żniw niemal w całości przepadły i w dniu ósmego września wojska cesarskie stanęły na wzgórzu Szybenice opodal Pragi, gotując się do jej oblężenia.

W obliczu jednak ostatecznej klęski możnowładcy pomyśleli o własnej skórze. Jeden za drugim przechodzili na stronę cesarza, a pierwszy biskup Sewer chyłkiem zbiegł z Pragi do Henryka, zapewniając o swym oddaniu i błagając, by nie niszczył jego stolicy.

Teraz Henrykowi niespieszno było do oblężenia, gdy gasły już resztki oporu i pewne było, że zajmie ją bez walki. W to nie wątpił i Brzetysław. Teraz gorzko żałował zarówno wyrządzonej Ekkehardowi zniewagi, jak i pogroźek wobec cesarza. Ucieczka biskupa wywołała w mieście popłoch, nikt nie myślał o obronie, która wywołać

mogła tylko srozenie się nad bezbronnym ludem. Brzetysław czuł się bezradny. Gdy po swym zwycięstwie wysłał poselstwo na zjazd książąt w Seligenstadt, zamierzając załagodzić sprawę, Henryk odmówił pertraktacji, żądając bezwarunkowego poddania. Teraz tym bardziej nie zechce się układać.

W obliczu ostatecznej klęski nie straciła głowy małżonka Brzetysława, Judyta. Córka Ottona Białego ze Schweinfurtu, była spokrewniona z margrafem Ekkehardem, ojciec jej cieszył się względami cesarza. Zwróciła się do małżonka, który siedział osowiały, nie podejmując niczego i czekając na swój los:

-Nic gorszego już spotkać nas nie może, niż gdy cesarz i tym razem odmówi układów. Ale spróbować należy. Każę wygotować pismo do cesarza i sama z nim pojedę. Zalegamy z należnym mu trybutem za trzy lata, lepiej z dobrej woli go zapłacić, niż gdyby sam wziął bez rachuby. Mnie głowy nie utnie, ty czekaj na wiadomość ode mnie, zali możesz się stawić.

Sama podyktowała pismo wystraszonemu kapelanowi, które brzmiało: „Miłościwy panie! Wojnę prowadzisz, która nie przysporzy ci sławy. Twoja jest ta ziemia i my jesteśmy, i chcemy pozostać twoimi, a kto sroży się nad swoimi poddanymi, gorszy jest od okrutnego wroga. Jeżeli spojrzysz na swoje wojska, my nie jesteśmy dla ciebie ani okruszyną. Chcesz być zwycięzcą, już nim jesteś, dlaczego okazujesz swoją potęgę liściowi porwanemu przez wiatr?”

Po wyjeździe Judyty, Brzetysław, nie mogąc sobie miejsca znaleźć, udał się do Bożeny, która pod nieobecność matki zajęła się dziećmi. Nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje, również były przepłoszone i tuliły się do babki. Sama tylko spokojna była i głaszcząc po głowie najstarszego Spitygniewa, powiedziała:

- Takiemu dużemu otrokowi łzy nie przystoją. Mężem masz być, równym umysłem zło i dobro przyjmować należy. Po nocy zawždy słońce wschodzi, pokąd człek żywię, żywię i nadzieja.

Brzetysław zrozumiał, że matka do niego mówi, jej spokój udzielił się mu, natomiast niecierpliwie oczekiwał wiadomości od żony, na przemian żywiąc nadzieję i popadając w zwątpienie. Jednego był

pewny, że w najlepszym razie czeka go upokorzenie, którego gorzki przedsmak czuł już w liście wystosowanym do Henryka.

Trzeci tydzień jednak mijał od wyjazdu Judyty i Brzetysława już zaczynał żywić podejrzenie, że by siebie ocalić, małżonka na równi / dostojnikami przeszła na stronę cesarza. Bronił się jednak przed tym przypuszczeniem: Judyta nie opuściłaby dzieci, a Henryk nie wkroczył do Pragi, mimo iż jasne już było, że nie napotka oporu. Widocznie waha się jeszcze, a Judyta nie traci nadziei, że zdoła go przebłagać.

Istotnie Henryk, pomny rzuconej przez Brzetysława pogroźki, nie dopuścił nawet Judyty przed swoje oblicze i zakrzyknął, że nie czeka na list, ale na głowę Brzetysława. Dowiedziawszy się jednak, że Judyta przywozła zaległy trybut, uśmierzył swój gniew. Pieniądzy pilnie potrzebował, a od głowy Brzetysława wołał nałożyć na niego kontrybucję i pobierać corocznie pięćset grzywien daniny. Poleciał przeto odpowiedzieć Judycie, że niczego nie obiecuje, ale przyrzeka sprawę rozważyć. Judyta wiedziała, że rozważać będzie sprawę ze swymi dostojnikami, wśród których najpoważniejszy był głos margrafa Ekkeharda. Tego obawiała się najbardziej, wiedząc, jak w czasie poprzedniej wyprawy Brzetysław ciężko znieważył cieszącego się powszechnym szacunkiem margrafa. Z góry przeto przygotowana była, że należy i jego ułagodzić. Złota zastawa, wyrób praskich złotych, /dała jej się stosownym podarunkiem, któremu trudno będzie się oprzeć. Jakoż margraf przyjął krewniaczkę życzliwie, a gdy zaświeciła złotem, mówiąc, że Brzetysław sam wstydzi się przeproszać za rzuconą w gniewie obelgę i na przeproszenie przesyła, co ma najkosztowniejszego, odparł:

Nie dla podarunku, lecz dla życzliwości, jaką żywię dla was i was/ego rodzica, chcę zapomnieć zniewagi, a pomnę jeno, że to wasz małżonek. Jeśli miłościwy pan mnie zapyta, doradzę mu, by powściągnął swój gniew. Brzetysław zadość ukarany został i na przyszłość nie waży się już podnieść ręki na pana lennego.

Moja już będzie sprawa dopilnować, by nie słuchał złych doradców - odparła Judyta - a wam dziękuję, że zechcieliście zabyć o doznanej obeldze, jak i nie wątpię, że wstawiennictwo wasze u miłości-

wego pana będzie skuteczne. Zaczekam na nie, bo chciałabym z dobrą wieścią wrócić do małżonka.

Czekać jednak przyszło jej dość długo. Henryk bowiem pewny już siebie nie spieszył się z rozstrzygnięciem, a może rozmyślnie chciał pozostawić Brzetysława w niepewności, by tym większy był, gdy mu postawi swoje warunki. Wojska jego tymczasem pustoszyły okolice z żywności, a sam cesarz zabawiał się łowami, póki sprzyjała pogoda. Pod koniec miesiąca zaczęły się słoty i Henryk postanowił kończyć, bo zapowiedziany na połowę października zjazd w Ratyzbonie skłaniał do powrotu. Postanowienie już powziął, wiedząc jednak o wyrządzonej Ekkehardowi przez Brzetysława obeldze wezwał go, by zapytać, jakiego on domagać się będzie zadośćuczynienia. Gdy jednak Ekkehard oświadczył, że już je otrzymał, Henryk kazał wezwać Judytę. Posłuchanie było krótkie, ograniczało się raczej do postawienia warunków. Brzetysław zapłacić ma koszta obydwu wypraw w kwocie dwieście grzywien złota i dwa tysiące srebra, a Polsce odszkodowanie za rabunek pięćdziesiąt grzywien złota i dwa tysiące srebra, zwrócić zagarnięty Śląsk z wyjątkiem kraju Gołęczyców i Opolan, i na przyszłość wyrzec się naruszania polskiego lenna, w zamian za co z reszty Śląska może od Polski pobierać trybut. Sam stawić się ma na zjazd w Ratyzbonie, by się upokorzyć wobec wszystkich lenników i odnowić przysięgę lenną.

Brzetysław, który już zwątpił w powodzenie misji Judyty, wiadomość przyjął z ulgą i zaraz gotował się do drogi. Po zakupieniu papieskiej sprawiedliwości, zapłacie kontrybucji i odszkodowania Polsce, niewiele już w skarbcu pozostanie ze zrabowanych w niej skarbów, ale mogło nic nie pozostać. Toteż prócz nakazanych wypłat załadował na wozy bogate dary w futrach i wyrobach swych złotników i w połowie października stanął w Ratyzbonie. W zgrzebnej szacie pokutnika, bosy i z odkrytą głową w obecności wszystkich książąt padł do nóg siedzącego na tronie Henryka, błagając o wybaczenie swego zuchwalstwa i składając kontrybucję oraz dary. Henryk uznał, że dostatecznie już upokorzył zuchwałego lennika, a ujęty darami zrzekł się nawet połowy wyznaczonej kontrybucji i Brzetysław złożywszy naza-

jutrz przysięgę lenną udał się w powrotną drogę, by zdążyć do Pragi przed jesienną słągą. Drogi jednak już rozkisyły i podróż wlekała się, a widok zniszczonego kraju nie nastrajał go pogodnie. Wsie i osady były spalone, ludność koczowała w byle jak skleconych schronieniach, nieraz przychodziło stawać na nocleg pod gołym, chmurnym niebem. Stratowane lub spalone łany zapowiadały, że braknie zboża nie tylko do spożycia, ale i na siew, nietrudno było przewidzieć, że w kraju będzie głód. Nie może nawet zemścić się na przeniewierczych możnowładcach, i tak skłonnych do buntu. Jedyne zadośćuczynienie to przestać zapraszać biskupa na niemal codzienne uczyty, a Sewer nie tylko lubił i umiał dobrze zjeść, ale i sam przyrządzać smakowite potrawy, czemu zawdzięczał stolec biskupi. Teraz nie będzie miał z czego. Brzetysław ze złością myślał, że karmił go jak wieprza. Nie zaszkodzi mu schudnąć.

Kazimierz, mógł na razie przestać myśleć o odzyskaniu reszty Śląska. Trybutu płacić nie zamierzał, wiedząc, że osłabiony klęską Brzetysław nie porwie się, by go siłą dochodzić. Uzyskane zasoby postanowił użyć na zaopatrzenie wdów i sierot po poległych, odbudowę organizacji kościelnej, a przede wszystkim na uzupełnienie swych sił, spodziewając się, że wkrótce mogą być potrzebne. Uzupełniwszy i dozbroiwszy hufiec Biegana pod dowództwem Godka, wysłał go z zadaniem stróżowania na pruskiej i pomorskiej granicy, polecając zarazem po drodze zostawić posłańców z rozstawnymi końmi, by w razie potrzeby szybko mógł przesłać wiadomość. Gdy /miarkuje, że najazd nastąpi, ma natychmiast uwiadomić wielkiego kniazia Jarosława, a sam cofać się ku Wiśle i w razie potrzeby zaniknąć się w plockim grodzie i tam doczekać się odsieczki.

Na razie jednak nic nie zapowiadało najazdu i Kazimierz ruszył w objazd kraju wraz z Aaronem, który miał się zająć założeniem klasztoru w Lubuszy i odebrać sprowadzonych tam mnichów. Spodziewał się znaleźć wśród nich zdatnego do prowadzenia szkoły katedralnej, na co nalegał Rachelin, a Kazimierz przyrzekł mu spełnienie

- Wybaczcie, panie, że was tak powitam, ale dźwignę się już tylko na Sąd Ostateczny. Spodziewam się, że Bóg będzie miłosierny i cierpienia moje przyjmie za pokutę grzechów mojego żywota.

Kończył się tak wyrażnie, że ksiązę nie zapytał nawet, jak się czuje. Wiedząc jednak, że biskup troszczy się o odbudowę swej szkoły, powiedział tylko:

- Może waszą wielbność uraduje wieść, że znalazłem scholastyka i przywiódłem z sobą.

Słaby uśmiech ukazał się na poszarzałej twarzy chorego, i wyszeptał:

- Dzięki wam, miłościwy panie. Poślednia to radość mojego żywota, że ksiązę ciemności nie zdepce mojego posiewu.

Przez chwilę milczał, jakby siły zbierał, i podjął:

- Mojej służby już kres. Pokolenia przychodzą i odchodzą, miejsce poległego zajmuje inny bojownik. Czy pomyśleliście już, panie, kto zajmie moje?

Kazimierz z lekka zmieszał się, ale biskup widząc to, ciągnął:

- Nie czędo ja, by lutać nad sobą. Gadajmy jak mąż z mężem. Krakowski stolec biskupi najważniejszy ninie w kraju, stąd ma wyjść odbudowa Kościoła. Ja z dawna myślę już o tym i jeśli rzecz wolno, brata Aarona upatrzyłem sobie na następcę.

-I ja nie widzę godniejszego - odparł ksiązę i urwał. Nie chciał martwić umierającego, że w Kościele źle się dzieje. Lud rzymski zegnął znenawidzonego rozpustnika ze stolicy Piotrowej, który jednak zamierzał na nią wrócić z cesarską pomocą. Zasiadł na niej nowy papiież pod imieniem Sylwestra III, ale wątpliwa była nawet ważność wyboru, jak i to, czy się na stolicy utrzyma. Potężny ród hrabiów tuskulańskich, który liczył w swych szeregach już szóstego z rzędu papiieża, też nie zamierzał zrzec się dziedzicznego przywileju, nie wiadomo było, czy i kto zechce wybór Aarona zatwierdzić, obsadzenie zaś krakowskiej stolicy zdało się pilne.

Istotnie w zimowy już wieczór doniesiono Kazimierzowi, że po czterestu latach sprawowania władzy biskupiej, Rachelin dokonał pracowitego żywota. Wieść rozeszła się natychmiast po grodzie i podgrodziach, rozlewała po kraju, budząc wszędzie żal, zwłaszcza

wśród biedoty, wdów i sierot, których był hojnym opiekunem. Żalowali go też oboje księstwo, księżnej ubył doświadczony i znający swe owieczki doradca w jej dziełach miłosierdzia, księciu pomocnik w odbudowie organizacji kościelnej, niemal jedyny, arcybiskup bowiem Stefan, zniechęcony i chory, siedział na swej majątności koło Zawichostu, gdy gnieźnieńska katedra nadal leżała w gruzach, a co ocalało z duchowieństwa, znalazło się w Krakowie.

Tego samego dnia wieść o śmierci Rachelina dotarła do Tyńca i już nazajutrz nadjechał opat Aaron. Nie było dla niego tajemnicą, że Rachelin w nim przewidział swego następcę, a księżę widzi podporę swego dzieła. Po oddaniu ostatniego hołdu zmarłemu pasterzowi w obecności tłumów ludu i pochowaniu go w tymczasowej katedrze, Kazimierz zwołał synod duchowieństwa i na nim ogłosił ustanowienie Aarona krakowskim biskupem. Wymagało to jednak zatwierdzenia przez papieża, a nie było pewności, kto nim jest obecnie, czy Sylwester III prawowicie został nim ustanowiony, a zwłaszcza czy się na stolicy Piotrowej utrzyma. Na naradzie zabrał głos Aaron, mówiąc:

- Nie nam sądzić, kto ninie jest Ojcem Świętym, ani jaki jest, bo jeno Bożemu sądowi podległy. Od tego przyjmę święcenia, którego na stolicy Piotrowej zastanę, bo nie czas czekać, a i podróż sama nie mało czasu zbawi. Jeno gdyby na niej zasię Benedykt zasiadł, jak uczy doświadczenie arcybiskupa Stefana, niczego w kurii darmo nie załadzi.

Wkrótce jednak przez klasztory przyszła wiadomość, że po czterdziestu dziewięciu dniach swego pontyfikatu Sylwester III pod naciskiem partii tuskulańskiej zmuszony został ustąpić i Benedykt IX ponownie zasiadł na Piotrowej stolicy. Aaron bezzwłocznie wyruszył w daleką drogę, tymczasowe zastępstwo zlecając Pietrkowi jako proboszczowi kapituły. W towarzyszącym mu orszaku znalazł się najzdolniejszy z uczniów odnowionej szkoły katedralnej Stanisław, syn Wicłysława Turzimy ze Szczepanowa i nabożnej jego małżonki Bonny. Rodzice z żalem żegnali jedynaka, który rwał się do wiedzy. Zwłaszcza matce krajało się serce, gdyż wiedziała, że żegna syna na liiia, Aaron bowiem zamierzał wysłać go do słynnej szkoły w Paryżu.

Wielisław pocieszał małżonkę, przedstawiając, że już samo wyróżnienie przynosi rodowi zaszczyt, a synowi rokuje osiągnięcie wysokich godności w odnawianym Kościele. Może nawet przeczuwała, że syna nie ujrzy więcej, on natomiast nie myślał o tym, dumny z wyróżnienia i ciekawy poznania obcych krajów i ludzi.

Po wyjeździe Aarona, którego zaopatrzenie mocno nadszarpnęło dopiero wypełniający się skarbiec, ksiązę szczególną uwagę poświęcił jego uzupełnieniu. Szczęściem, urodzaje zapowiadały się dobre, ruszył się handel i rzemiosło, wpływy z ceł, targowego i innych danin rosły, a należało liczyć się z tym, że sprawy Mazowsza nie można jeszcze uważać za zamkniętą. Dochodziły stamtąd nie tyle wieści, co pogłoski, że ruchliwy Mojsław zabiega o pomoc Prusów i Jaćwieży w odzyskaniu mazowieckiej dzielnicy. Należało się liczyć z najazdem, a Kazimierz pamiętał, że gdyby nie pomoc Jarosława, wyprawa omal nie skończyłaby się klęską. By się upewnić, że nadal może na pomoc liczyć, zamierzał ponownie śłać rycerza Wysotę, gdy niespodzianie w Krakowie zjawilo się poselstwo Jarosława.

Kazimierz bawił w Mstowie, ale na wiadomość o tym bezzwłocznie wrócił do Krakowa, domyślając się, że poselstwo przybywa w sprawie, która nie schodziła mu z myśli. Jenó z konia zsiadłszy, wypytał o posła. Był nim znany mu z mazowieckiej wyprawy jarl Ostromir, i zastał go u księżnej Dobronegi, która rada była wywiedzieć się, co słyhać w ojczystym kraju, za którym tęskniła.

Na widok księcia Ostromir powstał, i skłoniwszy się w pas, powiedział:

- Wielki kniaz Jarosław przesyła waszej miłości braterskie pozdrowienia.

- Wdzięchen jeśm za pamięć i zechcicie panu swemu wzajemnie je przekazać, ale tak mniemam, że nie jeno przeto śle dostojnego jarla w daleką drogę?

Ostromir pochlebiony pogładził obfitą brodę i odparł:

- Iście tak. Omówić mam z waszą miłością pospólną wyprawę na Mazowsze.

- Dochodziły i do nas słuchy, że Mojsław Prusów i Jaćwież podburza do najazdu. Zali wam wiadomo coś pewnego?

- Przez kupców, którzy jeżdżą do Prusów po jantar i łupieżę, nie po raz pierwszy dochodziły do nas wieści, że coś się u nich gotuje. Bitni są i dokuczliwi, niespokojne to somsiędztwo, nie wiada, kamo się skierują, tedy dawaliśmy baczenie. Ostatnio jednak przyszła wieść pewna. Mojsław ich przekonał, że korzystniejsze dla nich, by on na Mazowszu władał, družbę z nimi utrzymując, niżby się Polska tam umocniła, której za wielkiego dziada waszego dań płacić musieli. Tedy jeno z wiosną bagna podeschną, wielką wyprawę gotują, nie w ostatku i na to licząc, że Mojsław ma jeszcze na Mazowszu polepczników.

- Tedy i nam się sposobić - powiedział Kazimierz. - Zasię wdów i sierot przybędzie - westchnął - ale pora kres z tym uczynić.

- Nic będzie pokoju, pokąd żywię Mojsław - powiedział Ostromir - a i Prusom należy obrzydzić napaści. Pośledni raz bliz mieli do swej granicy, tedy uszli społem z Mojsławem. Należy ich wpuścić w głąb aż do Wisły, przyprzeć do rzeki i wygnieść.

- Łacniej to rzec, niżli uczynić - powiedział Kazimierz z namysłem. - Mojsław wojownik jest doświadczony, zali da się wciągnąć w paści?

- Nie brak nam doświadczonych wojów, on zasię chcąc Mazowszem owładnąć i za Wisłę przejść musi. Najłacniej dopaść go u przepawy, gdy siły będzie miał podzielone, jeno pomiarkować nie śmie, że idziem za nim.

- Wasza to sprawa zmiarkować, kiedy się nacznie - powiedział Kazimierz.

- My na pruskiej granicy dawać będziemy baczenie i stając do walnej bitwy cofać się będziemy na Płock i tam się zejdziemy. Reszta w Bożym ręku.

- Jak u nas prawią: na Boga nadziejsia, a sam nie płoszaj - powiedział Ostromir, uśmiechając się. - Tedy stoi zmowa, a nie zabądźcie powrozów zabrać ze sobą, zdadzą się, by wiązać brańców.

(idy mężowie skończyli mówić o wojnie, Dobronega rozpytywać jąła o brata i jego pięciu synów. Gdy wieczerzę skończono, mężowie

czas jakiś zabawiali się kielichami, pijąc na pomyślność wyprawy, po czym Ostromir wyszedł, a Kazimierz jeszcze pozostał. Zadumany był i milczał. Dobronega ująwszy go za rękę przytuliła do niej twarz, mówiąc:

- To mnie radziej się smęcić, że znowu czekać mi przydzie z niepokojem. Mężowie muszą walczyć, a niewiasty płakać, taka już ich doła. A ty zważ, miły, o ile szczęśliwszy jeś od swego rodzica. Niemiec i Ruś zmówiła się przeciw niemu, nijak mu było wydolić. A ty przymerze masz z Rusią, która pomaga ci odzyskać Mazowsze, a cesarz nie jeno że ci dopomógł odzyskać polskie lenno, ale za ciebie odebrał Śląsk Brzetysławowi i chociaż część zrabowanego mienia.

- Lenno! - powiedział Kazimierz w zadumie. - Nie była Polska lennem cesarskim ni za przedziada, ni za dziada. Rodzic mój siły sterał, by niezależność utrzymać. Nie byłbym godnym ich potomkiem, gdybym się jej wyrzekł.

- Wždy żywot jeszcze przed tobą. Od podwalin zaczynałeś odbudowę, raniej ściany umocnić należy, nim budowlę dach zwieńczy.

- Żywot przede mną - powiedział Kazimierz cicho. Nachodziło go przecucie, że nie zdąży dokończyć swego dzieła. Od chwili powrotu do kraju żył w ustawicznym niemal napięciu. Jedyne chwile folgi to rzadki i krótki pobyt na łonie rodziny. Teraz znowu opuścić ją musi, by poczynić przygotowania do mazowieckiej wyprawy, a z wiosną wyruszyć na nią, nie wiadomo na jak długo.

Dobronega, jakby wyczuwając jego przygnębienie, podjęła:

- Ni drzewa nie pogoni, by rosło, czas na wszystko potrzebny. Ani się obejrzym, gdy Bolko służyć ci będzie pomocą i wyręką. Nie wydadzysz dokończyć swego dzieła, on to uczyni. Nie darmo śnił mi się w złotej koronie.

Na myśl o swym ulubieńcu, Kazimierz uśmiechnął się mimo woli. Nie w ostatku podejmował trudy, nieraz nad siły, by jasną przyszłość zgotować swemu następcy. Widząc, że małżonek się rozpogodził, Dobronega przytuliła się do niego, mówiąc:

- Nie sumuj się, że zima idzie. Po zimie zawždy bywa wiosna.

Późną jesień i niemal całą zimę spędził Kazimierz na objazdach, nie zważając ni na słoty, ni potem na zawieje i zamiecie śnieżnej zimy. Wyprawę należało przygotować starannie, jeśli ma zakończyć sprawę Mazowsza, a siły, jakie można było wystawić, nie były zbyt znaczne. Słuszność jednak miała Dobronega porównując położenie Kazimierza 7. położeniem Mieszka. Czechy zgnębione i wygłodzone nie przedstawiały żadnego niebezpieczeństwa, cesarz Henryk Kazimierzowi przychylny i od Niemiec nic nie grozi, przymierze z Jarosławem nie tylko zabezpieczało wschodnią granicę, ale zapewniało pomoc w uporaniu się z Mojsławem i dokuczliwymi Prusami. Umożliwiało to ściągnięcie sił z czeskiej i niemieckiej granicy. Od chwili powrotu do kraju Kazimierz nie był jeszcze na Śląsku, należało się i tam pokazać, a zarazem omówić z młodym wojewodą Michałem Awdańcem zamierzoną wyprawę i jego w niej udział. Czas było zastąpić starsze pokolenie, zasłużyło sobie na spokojną starość.

W drodze na Śląsk Kazimierz z troską stwierdzał, że odbudowa kraju, którą uczynił celem swego życia, daleka była od zakończenia. Często spotykał zgłiszcza osad zarosłe już pokrzywą, a uprawne ongiś łąchy samosiewem. Puszcza, której je mozolnie wydarto, wracała na swoje pradawne miejsce, nieraz w bród należało przebywać potoki przez wezbraną wodę, gdzie ongiś był most; mało gdzie świeżym drewnem świecił odbudowany po reakcji pogańskiej kościółek, a zamiast wszystkie siły i zasoby poświęcić odbudowie, znowu trzeba kmieci i rycerstwo odciągnąć od pracy, a zasoby zużyć na koszty /brojów i wyprawy. Ale ani jej poniechać, ani nawet odłożyć nie można. Udział w niej Rusi zapewniał pomyślny wynik, który bez tego byłby wątpliwy; nie wiadomo przecież, jak się ułożą stosunki z synami Jarosława, a i on sam ongiś był wrogiem. Podnosiło jedynie Kazimierza na duchu, że wszędzie, gdzie się zjawił, witano go z, niekłamną radością, mimo że stan¹ dla sporej gromadki książęcego orszaku był uciążliwy.

Stan - obowiązek utrzymania.

Szczególnie jednak radośnie witano go we Wrocławiu, nie tylko wojewoda Michał Awdaniec, ale i starszyzna możnych rodów, Łąbędzi, Grzymalitów, Zarebów, Nałęczów i pomniejszych, którym krótki okres panowania czeskich starostów dojadł samowolą i lekceważeniem. Ucieszyły księcia nie tylko objawy przywiązania młodego wojewody, ale widoczna życzliwość, jaką umiał sobie zjednać mimo dość powszechnej zawiści, jaką darzono Awdańców z powodu ich szybkiego wyniesienia. Może przyczyniło się do niej, iż pojął córę możnego Dzierżykraję Nałęcza, ale że lubiany był powszechnie zawdzięczał zapewne temu, że mimo osiągnięcia wysokiej godności w młodym wieku, przystępny był i niewyniosły.

Objazdowi odzyskanej części Śląska, w towarzystwie wojewody Michała, księżę niewiele czasu mógł poświęcić. Na Gody chciał stanąć w Krakowie, by załadziwszy bieżące sprawy na przedwiośniu zająć się przygotowaniem mazowieckiej wyprawy. Żegnając się z Michałem, powiedział:

- Od Jarosława przyszła wieść, że Mojsław z Prusami Mazowsze najechać zamierzył. Przyrzeczoną mam pomoc, jak raniej było, aliści społem z nami, a nie za nas walczyć obiecują, tedy ile wydolimy sił zebrać należy, by raz spokój uzyskać i od pruskiej granicy, a z Mojsławem skończyć. Na dzień zmartwychwstania Pańskiego w Sochaczewie zjazd zarządzić zamierzyłem. Liczę i na ciebie. Sam wiesz najlepiej, ile sił możesz przysposobić. Stryka w Poznaniu także zawiadom o zjeździe i wyprawie. Jeśli się na siłach czuje, może stanąć, ale powinności nie ma.

- Od stryków dawno nie miałem wieści - odparł Michał - ale jak ich znam, nigdy ich nie brakło, gdy kraj był w potrzebie. Jeśli nie ramieniem, to głową służyć mogą. Od czasów wielkiego dziada waszego nie było wojaczki bez nich.

- Iście tak, ale zasłużyli na pokojną starość. W Bogu pokładam nadzieję, że pośledni raz będą potrzebni, bo i kraj pokoju potrzebuje.

Pożegnawszy Michała księżę ruszył w powrotną drogę, zatrzymując się już tylko na noclegi. Niemniej podróż wlekła się. Krótkie grudniowe dni skracają jeszcze śniegowe chmury, tak że niewiele z połu-

dnia oglądać się było trzeba za noclegiem. Drogi były kopne, a opodal Siewierza burza śnieżna zawiąła je tak, że omal nie pobłądzili i w ciemnościach już orszak dotarł do grodu. Kazimierz przemarznięty był i znużony tak, że nie wieczerając nawet udał się na spoczynek, ale w nocy spać nie mógł, usnął dopiero nad ranem. Gdy szatny Żyrosław przyszedł go budzić, mówiąc, że czas się zbierać do drogi, Kazimierz dźwigał się z trudem. Rozpalony był tak widocznie, iż Żyrosław powiedział zaniepokojony:

- Zda się, iż jakowaś chorość się was ima. Ostańcie w łożu, miłościwy panie, zawołam baby znające, może coś poradzą. Na Gody jeszcze pośpijem.

- Chorować to doma - odparł Kazimierz, uśmiechając się z przymusem - jeno kolebkę między końmi niechajcie załadzić. Skórę niedźwiedzia takż najdzie, wydoli on w niej zimować, i mnie stoi za okrycie.

Gdy jednak dotarli do Krakowa, Kazimierz, nie powitawszy nawet małżonki i dzieci, legł w łożu. Dobronega natychmiast przybiegła zaniepokojona i na widok małżonka aż ręce załamała. Rozpalony był i chwilami zdał się tracić przytomność, bo majaczył. Natychmiast posłano do Tyńca po medyka, a tymczasem zajęły się nim baby znające, odczyniając uroki i pojąc gorzkimi ziołami. Sama Dobronega w dzień i w nocy ni na chwilę nie odstępowała od łoża, modląc się i wielkie śluby czyniąc. Nic chciała nawet dopuścić myśli, by mogła pozostać sama z drobnymi dziećmi. Nawet Aaron jeszcze nie wrócił, a ponury komes Bogufał zawsze przejmował ją niepokojem. Niepokój zresztą był powszechny, niedawno rozpoczęte dzieło odbudowy kraju zawisło na wątlej nici Kazimierzowego życia. Gody nie były świętem radości.

Wyczerpana walką między nadzieją a rozpaczą i ustawicznym czuwaniem przy łożu małżonka, Dobronega jednej nocy usnęła. Jak długo spała, nie zdawała sobie sprawy, obudziła się nagle, czując, że coś się stało. W półświecie wstającego poranka ujrzała, że Kazimierz paIr/y na nią przytomnie, a widząc, że otwarła oczy, powiedział szeptem: Już dobrze. Śpij dalej.

Ale jej już nie do snu było. Przytuliła głowę do piersi małżonka i zaniosła się łkaniem.

Kazimierz z wolna wracał do zdrowia, ale wyzbyty był z sił i z niepokojem myślał, jak potrafi znieść trudy wyprawy. By nie mógł sam stanąć na jej czele, nie dopuszczał nawet myśli, Mojsław czekać nie będzie, a wojska zwykły pana widzieć na czele, zasługiwać na jego pochwały i nagrody. Toteż Kazimierz często bywał przygnębiony, lękając się, by małżonka widząc jego słabość nie wymogła na nim, by pozostał w Krakowie. W rozmowach z nią przeto nie poruszał tej sprawy, mimo że myśl miał stale nią zajęta.

Dobronega знаła jednak swego małżonka, a dość bystra była, by zauważyć, że w rozmowach z nią unika nawet wzmianki o wyprawie. W chwilach słabości tęsknił za spokojem, jakiego zaznał w klasztorze, zdając sobie jednak sprawę, że z drogi, na którą wstąpił, nie ma odwrotu. Gdy raz znowu jakby roztargniony odpowiadał półsłówkami, Dobronega, ujmując go za rękę, powiedziała:

- Czemuż, miły mój, nie mówisz ze mną o tym, co myśl twoją zaprzęta?

Gdy Kazimierz zmieszał się i nic nie odpowiedział, ciągnęła:

- Wždy i ja myślę jeno o tym, że zasię rozstać nam się przydzie. Nie stanę ci na drodze, jeno sercem towarzyszyć będę, a ninie troska moja, byś w porę doszedł do sił.

Kazimierz objął Dobronegę i rzekł tylko: - Dziękuję.

Powrót Aarona pozwolił mu przez chwilę zapomnieć o tej trosce. O ustąpieniu Sylwestra III Aaron już wiedział, jak również, że z cesarską pomocą Benedykt wraca na apostolską stolicę. Zastał go w Cremonie, a Benedykt ujęty zarówno uznaniem go przez daleką Polskę, a nie mniej bogatymi darami, nie tylko udzielił mu święceń, ale obdarzył go paliuszem jako krakowskiego metropolite, zastrzegając, że przysługuje to tylko jego osobie. Uznanie zresztą nie było mu potrzebne, gdyż sprzedał wkrótce klucze Piotrowe arcybiskupowi Janowi Gracjanowi, który zasiadł na papieskim tronie pod imieniem Grzegorza VI. Cesarz Henryk jednak nie zamierzał pozbyć się swej

kukły i ku powszechnemu zgorszeniu ponownie wprowadził Benedykta na papieski tron.

Echa tych wypadków nie miały wpływu na odbudowę Kościoła w Polsce, którą nowy biskup krakowski natychmiast podjął, wyświęcając nowych kapłanów i poświęcając skromne drewniane kościołki, a Kazimierz uposażał je w beneficja i nadania. Zbliżała się jednak Wielkanoc, a z nią wyznaczony w Sochaczewie zjazd, i Kazimierz, choć nie ze wszystkim do sił doszedł, wyruszył, zabierając z sobą hufiec przyboczny. Siły, jakie zgromadziły się, nie były zbyt wielkie, ale pomoc Rusi pozwalała żywić nadzieję pomyślnego wyniku. Należało jednak uzgodnić plan działania i Kazimierz wysłał rycerza Wysotę, by nawiązać łączność z Jarosławem. Wysyłając go, powiedział:

- My przejdziem Wisłę pod Wyszogrodem i ciągnąc będziem w dół rzeki, podjazdy wysyłając, by zmiarkować, dokąd Mojsław zmierza i zastąpić mu u przeprawy. Wielki kniaź raniej to będzie wiedział, jeśli się da, niech działa tak, by Mojsław nie zmiarkował, że odwrót ma odcięty. Ale że na wojnie nie przewidzi wszystkiego, a pirwe co pocznie przeciwnik, nie wiada, kiedy ruszy, podjazdy będziem wysyłać, by wzajem wiedzieć o sobie.

Gdy Wysota odjechał, książę wezwał Michała Awdańca i rzekł:

- Pewnikiem cni ci się już do bitki, ale nie o bitkę ninie chodzi, trzeba raczej jej unikać, a jeno zmiarkować, zali Mojsław już ruszył i kamo zmierza. Ludzi weź niewiele, bo z mniejszą gromadką łatwiej się przytacić, ale doświadczonych i konie co ściglejsze, a wieści przesyłaj, byśmy wiedzieli, co Mojsław będzie poczynił. Najdziesz nas, gdzie będziem, ciągniemy na Płock prawym brzegiem Wisły.

Zgodnie z zapowiedzią, Kazimierz, doczekawszy ściągnięcia pieszych wojsk, trzeciego dnia przeprowił się za Wisłę, Michał zaś na czele swej gromadki ruszył zrazu gościńcem i omijając Pułtusk posuwał się w kierunku Wizny, skąd spodziewał się nadejścia nieprzyjaciela. Nie spieszył się, nie tylko by szanować konie, od których s/ybkości zależało możliwie rychłe uwiadomienie księcia o naciąganiu Mojsława. Mojsław sam przyjdzie do niego, a nawet jeśli Prusowie w swych łupieskich wyprawach szerzej ogarną kraj, to jednak

część ich przynajmniej ciągnąć będzie gościńcem. Nie bez tego, że wcześniej ukażą się na nim jacyś zbiegowie przed najazdem, Moj sław choćby chciał, nie zdoła powstrzymać łupieżców od postępowania, do jakiego nawykli w swych wyprawach. Rozważywszy to Michał zatrzymał się w lesie opodal gościńca, tak jednak, by mieć go na oku, z ostrożności zaś wysłał na zmianę po dwóch ludzi na gościniec, sam zaś z resztą rozłożył się na dłuższy postój. Ciepła, słoneczna pogoda zachęcała do wypoczynku, spętane konie puszczono na paszę. Wolni od straży wojacy gwarzyli beztrosko, a Michał usiadł oparłszy się o pień buka, myślą wrócił do dalekiego domu, do młodej żony i najmłodszego potomka rodu Awdańców. Zapomniał o tym, że na wojnę idzie, z której nie wszyscy wracają.

Dzień minął spokojnie, wieczorem zorze długo stały na niebie, gdy przy ognisku warzono wieczerzę, po czym ustawiwszy straż ułożono się na wypoczynek. Noc była ciepła, księżycowa, nie podtrzymywano nawet ogniska, które rankiem trzeba było rozniecać na nowo. Konie powiedziano do wodopoju w niedalekim strumyku, po czym ludzie pożywiali się z juków osuchami i wędzonym mięsem. Brodaty wojak Cieszymir mruknął:

- Brzydnie już to jadlo. Stoim tu, nic nie działając. Ułowilibyśmy co niebądź, zdałoby się pojeść świeżego mięsiwa.

- Brzydnie ci, to nie pożywaj. Nie zawadzi ci, jak schudniesz - odparł Zdziwój. - Dorna będziesz pożywał, ile wlezie i popijał miodem.

- Dla ciebie zasię szkoda żarcia, bo jakoby do studni wrzucił - odgryzł się Cieszymir.

Zdziwój chudy był i żyłasty, a pożywienia sobie istotnie nie żałował. Przekomarzali się dalej, a Michał przysłuchiwał się z uśmiechem, pomyślał jednak, że jeśli tu dłużej stać przyjdzie, żywność z juków się skończy, a w dość bezludnej okolicy nierychło będzie można ją uzupełnić.

Stali jednak trzeci dzień, a nic się nie działo. Michał zamierzał już ruszyć dalej, i wysunąwszy się na skraj, patrzył na gościniec. Nagle ujrzał dwa wilki, które wyrwały z przeciwległego lasu i gnały jak spłoszone niemal wprost na biwakujących. Powiew szedł z południa,

widocznie nie ostrzegła ich woń, natomiast bystre ucho musiało przestrzec drapieżników przed obecnością ludzi, gdyż nagle zakreśliły na zachód. Michał zastanawiał się jeszcze, co mogło je spłoszyć, gdy ze zdziwieniem ujrzał lochę ze sznurkiem warchlaków, która zmierzała ku niemu niemal wilczym tropem. Nie było wątpliwości, że zwierzy-
nę płoszyć musi gromada ludzi. Skoczył ku swoim i rozkazał:

- Dociągać popręgi i na koń!

Ściągnął co rychlej wysłanych na straż i ruszył na południe. Jak sądził, Mojsław zmierza od Brańska w dół Narwi do Bugu na Serock i Zakroczym. Teraz należało stale mieć go na oku. Może bowiem przepawić się przez Narew przed Serockiem i ruszyć ku Wiśle wprost na południe. W takim razie księżę zamiast ciągnąć w dół rzeki powinien zawrócić w górę, jeśli ma go zastać u przeprawy. Ruś, jeśli już nadeszła, niewątpliwie ciągnie za Mojsławem, ale to sprawa Wysoty, by księcia w porę o tym uwiadomić.

Las był gęsto podszyty, miejscami tak gęsto, że trzeba się było przedzierać i zdać się raczej na słuch. Michał, idąc na przedzie i konia prowadząc przy pysku, przystawał i nasłuchiwał. Chwilami do jego uszu dochodził szelest wciąż jeszcze uchodzącej zwierzyny. Spłoszony zając omal nie wpadł na niego i na widok człowieka szarpnął się w bok i zniknął w krzaczach. Michał stał przez dłuższy czas nasłuchując, ale uspokoiło się. Większa gromada ludzi musi czynić hałas, jednak nic słyhać nie było i gromadka ruszyła śmiało. Ku wieczorowi już szło, las rzedł, widocznie przetrzebiony, co zdało się wskazywać na bliskość osady. Istotnie wkrótce przeświecać zaczęła obszerna polana, a pośrodku widniały zabudowania. Michał stał przez dłuższy czas, patrząc i nasłuchując. Nic słyhać nie było, żadnego ruchu, choć niedawno zapewne była zamieszкана. Poszycie dachu jeszcze nie poczerniało, żerdź do czerpaka wisiała na ramieniu żurawia Ituziennego, zapewne niedawno używanego.

Michał skinął na Cieszymira i rozkazał:

Konia ostaw i podejdź obaczyć, jestli tam kto.

Patrzyli, jak Cieszymir podchodził do zabudowań i zatrzymał się koło studni. Nie wchodząc do checzy¹ zawrócił, i podszedłszy, powiedział:

- Nikogo nie widać, ale niedawno tu byli. W korycie woda stoi i końskie łajna przy nim. Ślady takż widać, ale niewiele. Jakowyś podjazd musiał tu być.

- Za późno iść za nim - powiedział Michał. - Tu stanem na noc, ślady odnajdziem za dnia. Mojsław ze swymi Prusami winien być niedaleko.

Ruszyli całą gromadką. Gdy wojacy wzięli się do pojenia koni, Michał wszedł do checzy. Kurna była, dymnik niewiele już przepuszczał resztek dziennego światła i zanim oczy Michała nawykły do mroku, z kąta odezwał się starczy głos:

- Zabyłeś tu czego? Nic nie znajdziesz, krom wody, bodajbys się nią otrul.

Jasne było, że stara niewiasta bierze Michała za jednego z tych, którzy byli tu niedawno, zapewne podjazd Mojsława.

- Niczego nie zabyłem, bom tu nie był - odparł Michał - ale kto tu był?

- Licho ich wie, wojacy, swoi i nie swoi. Przydzie taki, wyżre, ile strzyma, zabierze, co wydoli.

- My nic od was nie chcemy - rzekł Michał, ale stara zaśmiała się złośliwie:

- Możesz chcieć, szukajże se w boru.

- To wasi do boru uszli, a czemuż ty nie? - zapytał.

- Stara jeśm, co mi zrobią? Ani pożywać nie muszę.

Michał nic nie odparł. Wystawił straż, a wraz z pozostałymi wszedł do checzy. Rozpalili ognisko i jęli gotować wieczerzę. Stara niewiasta ze swego kąta patrzyła na to w milczeniu. Po chwili odezwała się:

- Na półce macie sądy.

Michał skinął, by mu podano miskę, nalał polewki i wraz z kawałkiem osucha podszedł do starej, mówiąc:

- Wszystko, co żywię, jeść musi. Pożyw się i ty.

- Jeśli ma co - mruknęła, ale widocznie zgłodniała była, bo zaczęła jeść chciwie. Gdy skończyła, rzekła:

- Pierwszy raz widzę takowego wojaka, co nie bierze, jeno daje. Coście za jedni?

- My od księżęcia Kazimierza - odparł Michał. - Sprawiedliwy pan, nie zwala krzywdzić prostego narodu. Przegna Mojsława, będzie ład na Mazowszu.

- Wždy raz już przegnał, a wrócił - mruknęła. - Panowie się wadzą, a prosty naród cierpi.

Nie było co odrzec. Michał dotychczas uważał wojnę za przygodę, sposobność wykazania swych sił, zasłużenia się. Nie przyszło mu na myśl, że dla słabych i bezbronych wojna jest klęską, zajedno kto wygra.

Po raz pierwszy myślał o tym, gdy okrywszy się zdejętą z konia derką usiłował zasnąć. Otrząsnął się z tych rozmyślań; wojna jest, trzeba ją wygrać. Państwo musi być silne, jeśli naród nie ma stać się łupem dla postronnych, pokój jest nagrodą zwycięstwa. Chrobry lata całe walczył, by go wywalczyć.

Zerwał się o pierwszym brzasku i ponagłał przygotowania do dalszej jazdy. Mojsław ze swymi nie może już być daleko, należy go mieć na oku. O wyprawie Kazimierza zapewne już wie, ma swoich ludzi na Mazowszu, którzy mu o niej doniosą, i zapewne będzie zmierzzał do rozstrzygnięcia.

Las zaczynał się gonny, niemal bez podszytu, dosiedli przeto koni, nie lękając się niespodzianego spotkania. Posuwali się szybko i słońce niewiele dopiero dzwignęło się nad nieboskłonem, gdy las przeszedł w młodnik samosiewu widocznie wykarczowany, a przed nimi otworzył się widok na uprawne pola, w dali zaś na zabudowania grodu w Serocku, za rzeką, której bieg zdradzało pasmo zarośli. Skierowali się ku niej i wyszukawszy bród przepawili się. W swym pochodzie ku Wiśle Mojsław albo już się przepawił przez Narew, albo musi się pi/cprawić. By jednak uwiadomić księcia, gdzie się nieprzyjaciel znajduje i dokąd zmierza, należało się upewnić, i Michał ruszył ku grodowi. Posuwali się ostrożnie pasmem zarośli wzdłuż rzeki, ale nic

było jeszcze południa, gdy zarośla zrzędyły, rzeka rozlała się szerzej niedaleko swego ujścia, a gród był już w oczach.

O nadejściu Kazimierza Mojsław miał już wiadomość, nie sądził jednak, by Kazimierz przestrzeżony był o jego najeździe, sądził raczej, że wzmocnić zamierza ochronę granicy i swój ład zaprowadzić na Mazowszu, siły bowiem, jakie zgromadził w Sochaczewie, nie były wielkie, a wkrótce zapewne się rozproszą, umacniając załogi po grodach i stróże na pograniczu. Utrwaliła go w tym przekonaniu otrzymana przez podjazdy wiadomość, że Kazimierz przepawił się przez Wisłę i ciągnie w kierunku Płocka. Gdyby spodziewał się ruskiej pomocy jak poprzednio, ciągnąłby jej naprzeciw. Zawzięty i zaślepiony żądzą władzy Mojsław myślał jedynie o tym, że wciąż jeszcze osłabionej Polski nie stać, by odebrać Mazowsze. Jeśli uda mu się zniszczyć szczupłe siły Kazimierza, na długo, jeśli nie na zawsze, potrafi się przy Mazowszu utrzymać. Gdyby Kazimierz zdołał ujść, najeździe Sandomierzan, gdzie pozwoli pohulać swoim Prusom, choć i tu trudno ich było od łupiestwa pohamować, gdy nie zwykli brać z sobą na wyprawy spyży, lecz żyć z kraju, w którym grasują. Jeśli się da, postanowił Kazimierza zaskoczyć, dlatego omijając grody ciągnął lasami, unikając w miarę możliwości otwartych przestrzeni, drobne oddziały nielicznej swej konnicy wysyłając przodem i na skrzydła, dotychczas jednak nie napotkały żadnej oznaki, by Kazimierz o jego pochodzie wiedział. Trudno natomiast było ukryć przeprawę znacznych sił przez uczęszczane brody, z konieczności zmuszonych rozciągnąć się na kilkanaście stajañ i Michał, wystawiwszy straż z poleceniem dawania baczenia w dół rzeki, rozłożył się w krzaczach na południowy wypoczynek. Pożywiali się z juków, by nie zdradzić się dymem, ale nie skończyli jeszcze, gdy stojący na straży wojak zaczął dawać ręką jakieś znaki. Michał zerwał się i podszedłszy na skraj zarośli spojrzął w kierunku, który strażnik wskazywał. Z dochodzącego niemal do rzeki lasu wyroił się tłum. Szli beładnie, z dala zda się nie więksi od mrówek, na brzegu ciżba gęstniała, nijak ją było policzyć, ale siły były znaczne, i jak pochód mrówek ją się przetaczać przez rzekę. Łatwiej było policzyć konnych przepawiających się widocznie

powyżej brodu, mogło ich być około tysiąca. Długo trwało i słońce pochyliło się już ku zachodowi, gdy ciżba znalazła się na prawym brzegu rzeki. Michał pomyślał, że najłatwiej byłoby rozprawić się z Mojsławem w czasie przeprawy, ale to wie zarówno książę, jak i Jarosław. Uderzyć muszą jednak równocześnie, a nie wiadomo, czy już Wysota nawiązał łączność z Jarosławem. Niemniej należało księcia uwiadomić, gdzie się Mojsław znajduje i dokąd zmierza. Kazimierz daleko, a Jarosław nie wiadomo gdzie, wątpliwe było, czy nadażą ku sobie, by dopaść Mojsława u przeprawy przez Wkrę; może u Buga, a najlaciej na Wiśle, jeśli Mojsław zamierza przejść na jej lewy brzeg. Ale nie Michał tu wodzem, jego zadaniem uwiadomić księcia. Zwrócił się do swoich i rozkazał:

- Sobieżyr i Maszko na koń i w te pędy uwiadomić księżęcia, kamo się Mojsław znajduje i dokąd ciągnie. My poczekamy na Mojsława u przeprawy przez Wkrę. Gdyby się indziej obrócił, damy znać.

Gdy posłańcy zniknęli w niedalekim lesie, Michał podniósł pozostałych, zbierając się do drogi, chociaż ku wieczorowi już szło. By spotkać Mojsława u przeprawy przez Wkrę, niewątpliwie książę nie nadaży, nawet gdyby ruszył samą konnicą. Michał wołał jednak uprzedzić pochód Mojsława i zaczekać u przeprawy, by stwierdzić, dokąd się dalej skieruje. Niemniej chciał zdążyć na bitwę, do której / każdym dniem było coraz bliżej. Nie mógł jednak wiedzieć, czy Wysota nawiązał już łączność z Jarosławem i jak postanowiono współdziałanie.

Wysota jednak wcześniej już spełnił swe zadanie i zanim posłańcy Michała dotarli do księcia, wrócił. Jarosław donosił, że ciągnie za Mojsławem o dzień drogi z samajazdą, by nie zdradzać nadchodzącej pomocy, a możliwie szybko doskoczyć w rozstrzygającej chwili bitwy. W razie przewagi Mojsława Kazimierz ma się cofać na wschód, pi/y spieszyć połączenie z Rusią, a zarazem odciąć odwrót Mojsławowi i jego Prusom, by, jak poprzednim razem, nie zdołali ujść. Jak / tego wynikało, Jarosław zamierza nie tylko pobić, ale zniszczyć siły Mojsława, zarazem jednak główny ciężar bitwy ma wziąć na siebie

Kazimierz. Gdy posłańcy Michała donieśli mu o nadciąganiu Mojsława i Kazimierz jął wypytywać, jakie siły prowadzi, Sobieżyr powiedział: - Nijak było policzyć. Konnych do tysiąca, a pieszych mrowie. Pół dnia przeprawiali się bez Narew.

Kazimierz zadumał się; w konnicy ma przewagę, zwłaszcza z chwilą gdy do bitwy wejdzie Ruś. W piechocie jednak przewagę ma Mojsław, a jego Prusowie znani są z bitności i zaciętości. Zanim nadejdzie pomoc, może być ciężko. Nie było jednak nad czym rozmyślać, pomoc Jarosława jest istotna dla ostatecznego rozprawienia się z Mojsławem, należy się zastosować do planu Jarosława i w tym celu obejść nadciągającego nieprzyjaciela i uderzyć od tyłu. W pierwszej chwili mogło to nawet dać korzyść zaskoczenia, udaremniało natomiast wybór pola bitwy. W zalesionej okolicy przewagę ma piechota. W poprzedniej bitwie omal się nie spóźniła z wzięciem w niej udziału. Tego błędu Kazimierz postanowił uniknąć, mimo pośpiechu, z jakim należało ciągnąć, by obejść wojska Mojsława i odciąć im drogę odwrotu.

Niepokoił też Kazimierza nie najlepszy stan zdrowia. Nocny wypoczynek często jeszcze zakłócał mu kaszel. Widocznie zbyt wcześnie podjął trudy wyprawy, nie czując się jeszcze w pełni sił. Ale nie od niego zależało, by ją odwlec, a sprawa zbyt ważna była, by potrafił spokojnie w Krakowie oczekiwać na jej wynik. Tym bardziej udział w niej Jarosława, męża w podeszłym już wieku, zmuszał Kazimierza, by osobiście poprowadził wyprawę i spotkał się z dziewczerm, by podziękować za pomoc.

Ważne też, było wymiarkować, czy Mojsław wie, że Kazimierz ciągnie przeciw niemu. W tym wypadku zaskoczenie nie mogło się udać, natomiast pozostawała korzyść wyboru pola bitwy, a ponadto Kazimierz będzie mógł stanąć do niej z nie wyczerpanymi pochodem siłami.

Słoneczna dotychczas pogoda skończyła się, dzień wstawał chmurny, o szarym jeszcze przedświcie wojska pożywiały się, po czym ruszyły na wschód. Pancerny hufiec Godka ciągnął w przedniej straży, często niknąc z oczu jadącego na czele Kazimierza. Plan Jarosława był jasny, natomiast trudno było przewidzieć, co pocnie Mojsław.

Doświadczenia mu nie brak, a ma jeszcze w kraju zwolenników, którzy musieli mu donieść o gromadzonych w Sochaczewie siłach. Jeżeli nie wie jeszcze, że Kazimierz przeprowił je przez Wisłę, będzie zapewne usiłował rozprawić się z nim na lewym jej brzegu. Byłoby korzystne nastąpić na niego w chwili przeprowy, ale Kazimierz wiedział już, że nie wszystko można na wojnie przewidzieć, a zwłaszcza poczynania przeciwnika.

Koło południa wojska dotarły do mało uczęszczanego traktu, wiodącego z Wyszogrodu do Pułtuska. Czekala tam na nie przednia straż, a znajdujący okolicę Godek zbliżył się do księcia i rzekł:

- Stąd niedaleko do Wkry. Jeśli, jak doniósł wojewoda Michał, Mojsław ciągnie ku Wiśle, będzie się koło Zakroczymia przeprowiał przez Wkrę. Dobrze byłoby u przeprowy na niego naskoczyć.

- Dobrze byłoby, jeno nie rychlej, gdy z Rusią nadejdzie Jarosław, bo możemy nie zdzierżyć. Nie wiadomo zaś, kamo się ninie najduje.

- Jak doniósł rycerz Wysota, idzie za Mojsławem o dzień pieszej drogi. Jeden bród jest na tym gościńcu, drugi pod Zakroczymiem. Jeśli podjazd wojewody Michała ma Mojsława na oku, winien wymiarować, kamo się Mojsław będzie przeprowiał.

- Jeno nie wiada, gdzie go szukać - powiedział książę, ale Godek odparł:

- Łacniej podjazdowi należć wojska niżli wojsku podjazd. Nalazł nas Sobieżyry, najdzie i wojewoda, bo i po to wyjechał. Ja bych tu stanął, a podjazdy ku obydwu brodom wysłał, ale tak mniemam, że pod Zakroczymiem będzie się przeprowiał, bo bliżej ku Wiśle, a bród szeroki. Tymczasem wozy ze spyżą i sprzętem dociągną. Zda się wypocząć przed bitwą.

- Tedy zarządźcie, co należy - powiedział książę. Czuł, że i same-mu zda się spocząć, nie był do wojny chowany, nie lubił jej i wiedział, że tylko w pokoju można budować. Ale rozumiał, że należy kres położyć jego mącielowi, a łatwiej to uczynić z pomocą Rusi. Gdy nadeszły wozy, kazał rozbić namiot, bo deszcz zaczynał padać, i siedział w nim samotny, przezuwając niewesołe myśli. Wojna, choć

wygrana, znowu przysporzy wdów i sierot, o które zadbać należy, gdy tyle zasobów potrzeba, że nie wiadomo, na co prędzejłożyć.

Po źle przespanej nocy księżę przysypiał, słuchając jednostajnego dudnienia deszczu po płachcie namiotowej, gdy otrzeźwiły go zbliżające się głosy, w których zdało mu się, że rozróżnia dobrze znany głos wojewody Michała. Podniecony, wyszedł przed namiot.

Zmrok już zapadł, ale w zbliżającym się poznał istotnie Michała, nadchodzącego w towarzystwie Godka. Uradowany, niemal zakrzyknął:

- Bywaj że mi! Jakożeś nas o ćmie znalazł? Michał pochylił się do ręki księcia i odparł:

- Prawdę rzec, nie ja was znalazłem, jeno Godkowy podjazd mnie napotkał i tu przywiódł. Ale ważniejsze, co mam rzec.

- Tedy wejdźcie - powiedział Kazimierz.

- Zwólcie, miłościwy panie, że skoczę po jadło, boście pewnikiem jeszcze nie wieczerali, a wojewoda także nie. I zda się światło jakowe, by do gęby trafić - zaśmiał się i odszedł, a księżę wraz z Michałem weszli do namiotu. Usiedli na podściółce z choiny i księżę niecierpliwie rzekł:

- Tedy praw, coś zdziałał i kamo się Mojsław najduje?

- Sobieżyr wam doniósł pewnikiem, że Mojsława mamy na oku. Dziś wedle południa rozpoczął przeprawę brodem opodal Zakroczyimia i pewnie już ją ukończył i na prawym brzegu Wkry stanął obozem. Nie czekałem i wracałem ku wam, gdy mnie napotkał wasz podjazd, tedy znalazłem i bez szukania.

Rozmowę przerwało wejście Godka. Przyniósł kociołek z polewką, sądy i kaganek. Skrzesał ogień, zaświecił i rzekł:

- Pożywcie się, miłościwy panie, a potem spocząć wam, bo zda mi się, że jutro bitwa będzie.

- Uradzimy jeszcze - odparł księżę, biorąc się do jedzenia. - Zda się uwiadomić wielkiego kniazia. Pośledni raz omal się Ruś nie spóźniła.

Wtrącił się Michał:

- Zwólcie, że powiem swoje. Ja bym piesze wojska przeprawił brodem na gościńcu na lewy brzeg Wkry i ku południowemu brodowi skierował, a samą jazdą na Mojsława uderzył. Juści, że nie dostoi ca-

łej sile Mojsława, tedy się bez bród wycofa na pieszych. Będzie je musiał z powrotem na lewy brzeg przeprować, a tymczasem albo wielki kniaź nadciągnie, albo my się na niego cofać będziemy, jak doradził.

- Jeśli radzić wolno - odezwał się Godek - ja bych jeno swoimi pancernymi zaczął, na wabia, by się z powrotem przeprować naczęli. Zrazu przeszkadzać im będziemy i długo to potrwa, a tymczasem albo wielki kniaź nadciągnie, albo my ku niemu cofać się będziemy. Sam takó¿ wiedzieć musi, kiedy i jak uderzyć, by ze wszystkim zniszczyć siły Mojsława, jak to wziął przed się.

- Jeszcze niedźwiedz w boru, o którego kozę tarzym¹ - powiedział ksią¿ę - ale samemu wiedzieć trzeba, co poczynać. Tak i będzie. My ruszym przed świtem, a Godek niechaj pierwszy uderza, gdy zmiarkuje, iżeśmy już na miejscu. Starszyźnie zapowiedzieć, by się ludzie pożywili, bo o świcie ruszamy, a nie raniej pożywać będą aż po bitwie! Ninie i nam spocząć, a noc krótka.

Deszcz ustał, ale ranek wstał szary i mglisty, gdy wojska w półmroku jeszcze ruszały, by przeprowić się na lewy brzeg rzeki, i następnie pociągnąć na południe i lasami przejść aż do rozległych łągów, ciągnących się ku Wiśle, przyszłemu polu bitwy. Ściółka zeszłorocznych liści głużyła kroki idących, tak że chwilami słychać było okapywanie wilgoci z drzew. Pewności nie było, że Mojsław nie wie o nadciągnięciu nieprzyjaciela, ale można było przypuszczać, że miał wiadomość, iż Kazimierz ruszył do Płocka i zapewne pociągnął już za nim. Zadaniem Godka było przeto ściągnąć go z powrotem nad Wkrę i w tym celu, nie spiesząc się, ruszył ku brodowi pod Zakroczyńcem.

W miarę postępu dnia mgła zaczęła się unosić, przez którą słońce przeświecać jęło jak srebrny pieniążek, by wyczyściwszy się zalało świat jaskrawym światłem południa. Wychynawszy z lasu, Godek spojrział ku widocznemu już o kilkanaście stajń odległemu brodowi. Wojsk Mojsława już nad rzeką nie było, widocznie tedy nie spodziewa się, że nieprzyjaciela ma z tyłu. Godek z zadowoleniem zatarł rę-

O którego kozę tarzym - o którego skórę się targujemy.

ce, które aż go świerzbiały, by jąć się miecza. Dwie setnie pancernych wprawdzie niewiele znaczą przeciw całym wojskom Mojsława, ale starczą, by je wciągnąć w pułapkę. Nie kryjąc się tedy, wyjechał na łęg i ruszył w ślad za Mojsławem.

Kazimierz dotarłszy również opodal brodu, spostrzegł, że Moj sław już odszedł. Pozwolił wojskom spocząć, a wezwawszy rycerza Wysotę, powiedział:

- Wielki kniaź winien już być blisko. Skoczcie do niego uwiadomić, kamo jesteśmy i że tu czekamy na Mojsława. Jarosław sam będzie wiedział, kiedy pora uderzyć.

Nie czekali zbyt długo. Godek wkrótce dostrzegł rozciągnięte na kilkanaście stajń wojska Mojsława. Widoczne było, że nie spodziewa się napotkać nieprzyjaciela, korzystne było również, że konnica szła przodem. Nie kryjąc się już, Godek ruszył zrazu kłusem. Widocznie nie od razu dostrzeżono nadciągającego, dopiero gdy był już o kilka stajń, w tylnych szeregach wszczął się ruch. Puścił konie w skok i dopadł pierwszych szeregów, zanim zdolali ustawić się czołem do nadchodzącego. Gwizdnęło kilka strzał, ale jazda już siedziała na karkach, powodując zamęt, gdyż idące w przodzie oddziały nie zaraz się połapały, co się dzieje. Godek wycofał się z zamętu, pilnie jeno bacząc, kiedy zjawi się jazda.

Nie trwało długo, gdy na obydwu skrzydłach ujrzał ją. Gnała bez ładu, z widocznym zamiarem otoczenia pancernych Godka i odcięcia mu odwrotu. Tego się jednak spodziewał. Zawrócił swoich i puścili konie w skok, a wyciągnięta w długiego węża gnała za nim jazda nieprzyjacielska. Gdy bród był już w oczach, Godek zaczął hamować pęd i jego tylne szeregi zwały się ze ścigającymi. Zadanie swe już wykonał, teraz może dać upust swej chęci walki. Reszta nie od niego zależy. Otoczony już ze wszystkich stron zwartą gromadą, nadal parł ku brodowi.

Stojący nad nim Kazimierz w towarzystwie wojewody Michała z dala już dostrzegł nadciągających, którzy zbliżali się szybko. Zaniepokojony, powiedział:

- Rusi jeszcze nie widno, może być ciężko. Twoja kolej, poczynaj!

Michał wskoczył w siodło, kopnął się ku stojącej w gotowości jeździe i krzyknął:

- Na koń i za mną!

Ruszyli szeroką ławą i podczas gdy środek znalazł się już na drugim brzegu, skrzydła, przeprawiając się głębszą wodą, pozostały nieco w tyle. Zajęty walką nieprzyjaciel nie zaraz dostrzegł nadchodzących, ale wrzawa w tylnych jego szeregach nie pozwalała wątpić, że otoczonym nadchodzi pomoc. Zabrzmiały rogi wzywające rozproszonych pod znaki, niełatwo jednak było uporządkować bezładną dotąd bitwę. Część otaczających hufiec Godka od zachodu rychło jednak doszła do ładu i dźwiękami rogów wzywać ją do odwrotu, by się jak najspieszniej z pieszymi połączyć i walka jazdy przesuwać się zaczynała ku zachodowi, a na pobojuwisku leżał już tylko pokos rozpoczynającej się bitwy - ludzkie i końskie trupy.

Z rosnącym niepokojem Kazimierz oczekiwał wieści o nadejściu Rusi. Początek był pomyślny, nad jazdą pruską i mazowiecką miał przewagę zarówno liczby, jak uzbrojenia. Ale położenie może się odmienić, gdy całą siłą nadciągnie Mojsław, który niewątpliwie zmierza ku bitwie.

Jakoż słońce niewiele jeszcze pochyliło się z południa, gdy na krańcu równiny znowu ukazała się jazda. Nie było wątpliwości, że to własna zetknęła się już z nieprzyjacielem i obecnie cofa się ku swoim.

Niepokój Kazimierza wzrósł. Zamierzał piesze wojska przeprowadzić na prawy brzeg, by Mojsławowi odciąć odwrot, jak zamierzył Jarosław, jednak bez jego pomocy sam może być zmuszony do odwrotu. Jeśli Ruś nie nadejdzie w porę, odwrot równa się klęsce, Mojsław pozostanie panem Mazowsza, odbudowa państwa Chrobrego udaremniona zostanie na długo, jeśli nie na zawsze.

Nie czas było jednak na rozważania. Niełatwo będzie nawet bronić przeprawy przez szeroki na dwa stajania bród. Jeżeli Ruś jest niedaleko, lepiej byłoby wycofać się i połączonymi siłami uderzyć. Jarosław winien nadciągać, ale jeśli nie...

Niespokojne rozważanie przerwał widok wracającego Wysoty. Dopadł księcia i zadyszany krzyknął:

- Ruś Mojsława od tyłu zachodzi i tu go nagna. Nam jeno zatrzymać go, by nie uszedł.

Jazda jeszcze wicherzyła się na przedpolu, ale za nią równina zaczęła się chmurami nadciągających wojsk Mojsława, które parły ku brodowi. Na stojących w pierwszym szeregu tarczowników Kazimierza lunęła ulewa strzał, a niemal jednocześnie bród zapienił się od tysięcy nacierających. Kazimierzowi z tylnych szeregów odpowiedzieli strzałami i pierwsze trupy popłynęły do Bugu, ale zaczęła się już walka wręcz z wzrastającą zajądłością.

Mojsław rozumiał, że na jazdę, wciąż jeszcze w rozproszeniu stawiającą opór przewadze nieprzyjacielskiej, liczyć już nie może, własną przewagę w pieszych wykorzystać zdoła, jeśli całą siłę na lewy brzeg przeprawi. Toteż, nie bacząc na straty, pchał na bród oddział za oddziałem, sam stojąc na brzegu, niebacznym na wciąż jeszcze idące strzały. Jeżeli zdoła odepchnąć obrońców od brzegu, przeprawi całą resztę, a wówczas bitwę może uważać za wygraną. Chociaż jednak bród był szeroki, niemal pół dnia zajęła przeprawa kilkunastu tysięcy ludzi, a teraz należało to uczynić w krótkim czasie i odepchnąć od brzegu broniących przeprawy. Wzrastająca zaciętość obrony pochłaniała coraz więcej ofiar, ale nacierający po trupach własnych i nieprzyjacielskich parli naprzód, spychając obrońców. Bitwa coraz prędzej przenosiła się na lewy brzeg rzeki.

Kazimierz, który zrazu wycofał się na tyły, w napięciu czekał na pojawienie się Rusi. Sforne zrazu szeregi jego wojsk spychane były coraz wzrastającą przewagą nieprzyjaciela, jeszcze chwila, a obrona się załamała, ten i ów wymykać się zaczynał ze skrzętu. W tłoku walczono już połamanymi drzewcami włóczni, nożami, nawet gołymi rękami. Jeszcze tylko stojący w odwodzie oddział tarczowników stanowił ostatnią nadzieję, że zdoła powstrzymać napór nieprzyjaciela do nadejścia Rusi. Jeżeli znowu się spóźni, zamiar zniszczenia sił Mojsława nie tylko zostanie udaremniiony, ale bitwa może zakończyć się klęską.

Nie czas jednak było na rozważania. Kazimierz sam stanął na czele odwodu. W powszechnej wrzawie i zamęcie nie słychać było rozka-

zów, ręką dał znak tarczownikom i sam z mieczem w ręku wbił się w tłum, by wziąć udział w walce.

Przeliczył się jednak z siłami. Po źle przespanej nocy, w bezustannym napięciu, poczuł zamęt w głowie, poczerwiano mu przed oczyma i nie czuł już, że ktoś chwającego się w siodle ściągnął z konia i wynosi go ze skrzętu. Nie widział też tak długo oczekiwanego uderzenia Rusi.

Mojśław, który stojąc u brodu, zajęty był forsowaniem go, nie zmiarkował, że bitwa zaczyna przybierać zły obrót. W panującej wrzawie nie od razu też usłyszał dochodzące z tyłu odgłosy walki. Nasilały się jednak i rzuciwszy okiem Mojśław ujrzał gromady uchodzące niemal bez oporu przed jazdą, która z obydwu skrzydeł ogarniała bezładny już tłum. Kto dopadł rzeki, próbował ująć wpływ, ale i tu nie było ucieczki. Jeźdźni, wparłszy konie w wodę, cięli bezbronnych. Jazdy było wielokrotnie więcej, to nie jazda polańska. Zaskoczenie było zupełne, powszechny popłoch opanował Mojśławowc szeregi; rozumiał, że bitwa jest przegrana, przed śmiercią lub niewolą ujdzie jeno ten, kto zdoła wyrwać się ze skrzętu. Nie bacząc, że tratuje swoich, uskoczył w bok od zatłoczonego brodu i wparłszy konia w rzekę, zmierzał ku przeciwległemu brzegowi. Ale nie sam tylko szukał tam ocalenia, resztki rozbitej jazdy pruskiej również uchodziły na wschód, nie myśląc o stawianiu oporu. Bezładne gromady gnały, ufając już tylko ścisłości koni, ale znużone trwającą od kilku godzin bitwą zaczynały ustawać, a jeźdźcy szli pod miecz.

Mojśława ogarnęła wściekłość rozpacz; nawet gdyby zdołał ująć, schronić się może tylko u Prusów; nie darują mu zakończonej klęską wyprawy, do której ich nakłonił. Zawrócił konia, by drogo sprzedać życie, ale nie spełniło się i to ostatnie życzenie. Nim zdołał z przesładowcami skrzyżować miecz, obalony wraz z koniem nie zdążył nawet spod niego się wydobyć.

Bitwa gasła wraz z dniem, zamieniała się w rzeź. Stłoczona ze wsząd gromada samym ciężarem wyrwała się z koliska i w rozproszeniu uchodziła ku północy, w lesie i ciemnościach szukając ocalenia

i tyle tylko zdołało ujsć; za resztą zamknął się pierścień, więc ciskano broń, wyciągając ręce do pęt.

Jarosław, stojąc z tyłu i nadzorując bitwę, polecił przybocznym, by zanieśli starszyźnie rozkaz zaprzestania rzezi, a sam ruszył ku brodowi, dopytując o księcia.

Kazimierz długo leżał w omdleniu. Przytomność wracała mu z wolna, pierwsze co dostrzegł otworzywszy oczy, było ciemniejące już na wschodzie niebo. Przypomnił sobie chwilę, w której urwała mu się świadomość i usiłował się dźwignąć, ale dostrzegł nad sobą brodatą twarz nieznanego człowieka, który z życzliwą poufałością, rzekł:

- Leżcie, miłościwy panie. Bez was dorzną już tam resztę, wojowanie nie dla was sprawa. Od czego macie wojewodów.

Pomógł jednak usiąść Kazimierzowi, który rozejrzał się, ale gęstwinna krzów zasłaniała widoczność, z dala tylko dochodziły zmieszane odgłosy gasnącej bitwy. Zapytał:

- Ty mnie wyniosłeś ze skrzętu? Ktoś jest i jako cię zowią?

- Starszy tarczowników - odparł zagadnięty. - Na chrzcie świętym pono nazwali mnie Grzegorz, ale swoi wołają mnie Jęzor, przeto, że mowny jeśm. Ale nie wiedzą, kamo jeście i szukać gotowi między ległymi, a sterta tego jest. Skoczę uwiadomić kogoś ze starszyzny.

- Siły mi już wracają - powiedział Kazimierz - pomóż mi jeno wstać i konia jakowego sprowadź, bo ani wiada, kamo mój jest.

- Iście siły wracają - mruknął Jęzor. - Raczej wóz wam sprowadzą niżli konia.

Z pomocą Jęzora książę wstał, zrazu zatoczył się, ale po chwili zawrót minął i wyszedł z kępy krzów. Istotnie, od dłuższej chwili szukano go, dopytywał o dziewierza Jarosław, a przede wszystkim wojewoda Michał, który dowiedział się tylko, że ktoś wyniósł księcia, nie wiedziano jednak czy rannego lub zgoła żywego. Toteż ujrawszy księcia, dopadł i zeskoczywszy z konia, zakrzyknął:

- Żywiście, miłościwy panie! Za nic wygrana bitwa, gdyby was nie stało. Raniony? - zapytał.

- Nic mi nie jest, jeno mnie zemdliło. Niemocny jeśm - dodał, jakby zawstydzony.

- Nie w tym wasza siła, miłościwy panie - odparł Michał. - Aże strach pomyśleć, gdyby was nie stało, wszystko na marne. Wasz dziedzic czędo to jeszcze.

- *Vae regni cuius rex puer* - szepnął do siebie Kazimierz. Zaciężyło mu przypomnienie, że dopiero rozpoczęta odbudowa państwa na nici jego życia zawisła. Nawet z Mazowszem jeszcze nie koniec. Mojsław, jeśli ocalał, już tu widno nie ma dość popleczników, skoro Prusów naprowadzić musiał, by się przy władzy ostać. Ale Mazowsze na poły pogańskie, z dawna nawykło żyć własnym życiem i nierychło zrośnie się z resztą kraju. Zwracając się do wojewody Michała, rzekł:

- Użycz mi swego konia, przystoi wielkiego kniazia powitać i za pomoc podziękować. Ty zasię zadbaj, by rannych opatrzone.

Wieść jednak o odnalezieniu księcia rozeszła się szybko i zanim Kazimierz dotarł do brodu, towarzyszyła mu już gromada radośnie witających go wojów, a naprzeciwko z przybocznym orszakiem nadjeżdżał Jarosław. W zapadającym półmroku Kazimierz z ciekawością patrzył na dziewczera. Wiedział, że w podeszłym jest już wieku, ale prócz siwizny nic go nie zdradzało. Gdy podjechali do siebie, Jarosław jak młodzik zeskoczył z konia, a gdy jednocześnie zsiadł Kazimierz, objął go i ucałował w obydwie policzki. Szeroki był w barach i o pół głowy Kazimierza przenosił. Kazimierz oddał mu uścisk i rzekł:

- Nie wiem, jak ci mam dziękować za pomoc, bez której mogło być źle, i nie wiem, jako za nią odplacić.

- Świętemu Spasowi dziękować, że wydołaliśmy zbić pospólnego wroga, a odpłaty zadość choć jedna pokojna granica. Za młodu bijałem się z twoim dziadem, na starość umu² przybywa, tedy wolej mi pokój i družba z Lachami, bo i tobie, i mnie innych wrogów nie brak.

- Tedy jeno w gości cię proszę do Krakowa - powiedział Kazimierz. - Małżonka moja rada cię ujrzy i za pomoc podziękuje.

- Rad bych i ja ją powitał - odparł Jarosław. - Czędem jeszcze była, gdy ja już żrałym mężem i jako córę ją miłowałem, gdy i z wieku

- 151

Vae regni cuius rex puer - biada królestwu, którego królem chłopiec.

² Um - rozum.

mógłbym być jej rodzicem. Ale nie pora mi sercu folgować, gdy sprawy czekają. Tu ucztę sprawim po zwycięstwie, a potem wracać nam doma.

Stratowana w krwawe błoto równina do późnej nocy świeciła tysiącem ognisk, przy których pożywiali się znużeni woje. Jeszcze nie ochłonęli z bitewnego podniecenia i sen ich nie brał. Znoszono i opatrywano rannych, prowadzono konie do wodopoju. Polegli muszą poczekać, trudno zresztą byłoby o ćmie wszystkich znaleźć na obszernym polu bitwy. Koło północy ogniska zaczęły przygasać, znużonych wojów zmorzył wreszcie sen, po wrzawie bitewnej, a potem szumie obozu, na równinie zapanowała cisza, ale nie na długo. Wczesny świt dopiero zabarwił niebo i zmasał gwiazdy, gdy z wielkim krakaniem zewsząd ciągnęły chmury czarnego ptactwa na zgotowaną im ucztę. Starszyzna zaczęła budzić ludzi, należy posprzątać po sobie. Tymczasem nadeszły wozy ze sprzętem i gromady jeńców pognano do kopania mogił, a swoich do znoszenia poległych. Nie było radości nawet wśród zwycięzców. Mocno się przeredziły polańskie szeregi, a ze zwyciężonych niewielu uszło. Między nimi widziano Mojsława, ale pościg za nimi i tych zdzięsił. Koło brodu i na nim leżała sterta zwłok, których jeszcze nie uniosła woda, inne jednak rozrzucone były po całym poboju, szukać ich jednak nie było trzeba, gdyż kruki już rozpoczęły żer, pokrywając poległych czarnym całunem, z gniewnym krakaniem wicherząc się nad tymi, którzy przetrwali im ucztę. Odgłosy te obudziły Kazimierza. Wyczerpany leżał jeszcze, przeżywając wspomnienia wczorajszej bitwy. Wstał wreszcie z westchnieniem, przystało odszukać i wezwać Grzegorza zwanego Jęzor, by mu podziękować i nagrodzić za ocalenie, gdy ujrzał nadbiegającego Wysotę. Spieszył, by donieść, że odnalazł poległego Mojsława.

Trudno było go poznać w ludzkim łachmanie z wyjedzonymi przez kruki oczyma i zakrzepłą już skorupą krwi na głowie, wleczonego przez dwóch ludzi na nogi, by cisnąć go na stertę trupów i pochować w bezimiennej mogile.

Książę przez chwile stał nad zwłokami. Śmierć równa wszystkim , aler
jedynym owocem pychy i żądy władzy jest ludzkie nieszczęście i wieczysta
niesława.

POSŁOWIE

Historia nie jest nauką ścisłą, można powiedzieć, że składa się z mniej czy więcej uzasadnionych czy udokumentowanych hipotez. Szczupłe zwłaszcza są źródła wczesnego polskiego średniowiecza, często ze sobą sprzeczne, nawet kolejność niewątpliwych wypadków nie da się ponad wszelką wątpliwość ustalić. Zdarza się, że historyk musi postawić dwie alternatywne hipotezy, częściej jeszcze dwóch historyków reprezentuje odmienne zdania, każdy na swój sposób usiłując przekonać o słuszności swojego.

Powieściopisarz historyczny musi jednak wybrać jedną z hipotez, a nawet ma prawo postawić własną, jeżeli żadna z oficjalnych go nie przekonuje. Jeżeli pisze „ku pokrzepieniu serc”, może fakty interpretować dowolnie, jeżeli jednak zależy mu na możliwie ścisłym przedstawieniu tła historycznego, musi mieć za swoją hipotezą poważne argumenty.

Centralną postacią ostatniej mej powieści jest oczywiście Kazimierz. Ścisłą datę jego urodzin, 25 lipca 1016, podaje rocznik kapitulny krakowski. Bardziej wątpliwa jest data jego śmierci. Ten sam nekrolog lubiński podaje dwie daty, 24 października i 28 listopada 1058. Tę datę przyjmuje Długosz, opierając się prawdopodobnie na zaginionym nekrologu tynieckim, można ją przeto przyjąć za trafną, z tym jednak, że Długosz twierdzi, iż Kazimierz zmarł w wieku 44 lat, podczas gdy z rachuby czasu wynika, że zmarł w wieku 42 lat, kwestionuje przeto bezpodstawnie datę jego urodzenia. Sporną jest kwestia mnichostwa Kazimierza. Rocznik kapitulny krakowski pod datą 1026 podaje, że Kazimierz „traditur ad discendum” (oddany na naukę); Gal podaje, że Kazimierz „a parentibus monasterio est oblatu*s* ibi sacris litteris cruditus” (przez rodziców został ofiarowany, gdzie kształcony w świętej wiedzy). Przyjąwszy, że został oddany w 1026 r., miał wówczas lat dziesięć, wyszedł przeto już z opieki niewieściej i zgoda matki nie była potrzebna. Z logicznej interpretacji wynika, że

odbyło się to raczej wbrew jej woli, wobec niewątpliwego zamiaru zapewnienia Kazimierzowi następstwa po Mieszku. Logiczne też jest, że gdyby Kazimierz był jedynym synem Mieszka, ten nie oddałby go na mnicha ze względów dynastycznych. Przemawia to także za istnieniem Bolka Zapomnianego, którego Mieszko widocznie przewidział na swego następcę, zapewne pochodzącego z jakiegoś wcześniejszego związku, nie uznanego przez Kościół. Że jest prawdopodobne, iż Mieszko przed małżeństwem z Rychezą w takim związku pozostawał, świadczy fakt, że miał już wówczas lat dwadzieścia trzy, podczas gdy w owym czasie zawierano małżeństwa wkrótce po dojściu do dojrzałości, np. Chrobry zawarł pierwsze małżeństwo w wieku szesnastu lat. Że „oblatu” oznacza ofiarowanie go na mnicha, wystarczy gramatyczna interpretacja tego słowa, pominąwszy nawet, na co słuszną uwagę zwraca Balzer, że prawo kanoniczne tak określa ofiarowanego na mnicha. Brak podstaw do przyjęcia, że Kazimierz był mnichem w Leodium, skoro były klasztory w kraju, a faktem jest, że przebywał w kraju po śmierci swego ojca, zapewne z inicjatywy Rychezy został od ślubów zwolniony, jako mnich bowiem nie mógł być konkurentem Bolka do władzy. Pewne również, że Rycheza mimo otrzymanego rozwodu wróciła do kraju i musiała w nim przebywać w chwili śmierci męża oraz że została z kraju wygnana i dokonała życia w klasztorze w Bauweiler. „Divortium” znaczy dosłownie rozwód i kwestionowanie tego jest co najmniej bezpodstawne.

Dość niepewnie podaje Balzer datę urodzenia Bolesława Śmiałego na rok 1039. Zdaje mi się, że bliższy prawdy jest Długosz, podając ją na 1042, a to z następujących powodów: jak wiadomo, cesarz Konrad II zmarł czwartego czerwca lub lipca 1039, wiadomo też, że pomocy w odzyskaniu państwa udzielił Kazimierzowi jego następca Henryk III. Po objęciu władzy miał pewno pilniejsze sprawy niż udzielanie pomocy, można więc bez obawy większej pomyłki przyjąć, że udzielił jej pod koniec r. 1039. Jakiś czas musiało trwać, zanim Kazimierz na tronie się ustalił. Jarosław wydając siostrę i zawierając z Polską przymierze, musiał mieć w tym własny interes polityczny. Dlatego trafna mi się zdaje podana przez Długosza data małżeństwa Kazimie-

rza z Dobronegą pod r. 1041. Bolesław nie mógł się przeto urodzić wcześniej niż z końcem tego roku. Balzer w niezbyt przekonującym wywodzie twierdzi, że musiał się urodzić w r. 1039, skoro w r. 1040 rodzi się Włodzisław. Ten wniosek, zresztą nie oparty na dokumencie, jest również dowolny. Długosz podaje daty urodzenia braci: na rok 1042 Bolesława, a na rok 1043 Włodzisława, i jakkolwiek na datowaniu Długosza nie zawsze można polegać, w tym wypadku słuszność należy przyznać raczej Długoszowi, wobec słabych argumentów przeciwnych. Pomijam nawet, że Nestor piszący w drugiej połowie XI w. podaje, że „w tych czasach 1043-50 wydał Jarosław siostrę swoją za Kazimierza”, co jeszcze przesunęłoby datę urodzenia Bolesława najwcześniej na koniec 1043. Oczywiście z faktu, że w tym wypadku słuszność można przyznać raczej Długoszowi niż Balzerowi, nie można wyciągać wniosku, że należy mu w każdym wypadku wierzyć bezkrytycznie. Nie tu miejsce na krytyczny rozbiór Długosza, ale można stwierdzić, że pominąwszy ambicje literackie, nie jest wolny od błędów, sprzeczności, a nawet tendencji. I tak, mówiąc o dwóch wyprawach przeciw Mojsławowi, podaje daty 1042 i 1043, zdaje mi się zbyt bliskie jak na siły wyniszczonej Polski, a także na zmontowanie przez Mojsława najazdu Prusów, przy czym, zapewne ze względów ambicjonalnie nacjonalistycznych, Długosz w ogóle pomija udział w drugiej wyprawie Rusi. Nestor, z drugiej strony, także nie wspomina o udziale Polaków w wyprawach na Mazowsze, z których pierwszą datuje na r. 1043, a drugą dopiero na 1047, mówiąc dosłownie: „Jarosław szedł na Mazowszany i zwyciężył ich i zabił ich Xięcia Mojsława i upokorzył ich Kazimierzowi”.

Kraków, 22 luty 1982